

**EWA  
PRZYDRYGA**

**BLŻEJ,  
NIŻ  
MYŚLISZ**

WCIĄGAJĄCY, ZASKAKUJĄCY, MOCNY!  
NA TAKI POLSKI THRILLER  
CZEKALI CZYTELNICY.

„NEWSWEEK POLSKA”

Genialnie skonstruowana intryga, trzymająca w napięciu do końca! Każdy fan thrillerów i niepokojących zwrotów akcji powinien tę książkę przeczytać. Idealna historia do ekranizacji.

SARSA

Oto wschodząca gwiazda polskiej literatury. Ewa Przydryga daje prztyczka w nos kolegom po fachu, tworząc thriller idealny, na który czekaliśmy od lat. Niepokojący, tajemniczy, taki, co to od pierwszej strony porywa, by nie wypuścić do samego końca. *Blżej niż myślisz* to prawdziwa gratka dla fanów mrocznych klimatów. Nareszcie doczekałam się rasowego przedstawiciela mojego ukochanego gatunku.

Przepadniecie!

MAŁGORZATA TINC, [ladymargot.pl](http://ladymargot.pl)

Opowieść pełna dramatycznego suspensu! Jesienna Gdynia poza sezonem, nieduży pensjonat i tajemnicza kobieta, która nagle znika. A wszystko to obserwuje traumatyzowana właścicielka, która nie wie, co jest prawdą, a co jedynie halucynacją. Szykujcie się na psychologiczny thriller pełen mylnych tropów i rosnącego napięcia od początku do samego końca!

OLGA KOWALSKA, [wielkibuk.com](http://wielkibuk.com)

Charyzmatyczna bohaterka, solidna intryga kryminalna i wyraziście zarysowane tło obyczajowe – to wszystko sprawia, że książka Ewy Przydrygi czyta się właściwie sama. Nie odłożysz, póki nie dotrzesz do końca.

JOANNA WÓJCIAK, [www.instagram.com/zupa.czyta](http://www.instagram.com/zupa.czyta)

Spodziewajcie się niespodziewanego. Autorka wodzi nas za nos i wpuszcza w maliny. Przenikliwa, mroczna i spowita tajemnicami fabuła, która do końca trzyma w niepewności.

NATALIA GOLIS, [@prostymislowami](https://www.instagram.com/prostymislowami)

*Blżej, niż myślisz* już od pierwszej strony niesamowicie wciąga w psychologiczny wir wydarzeń. To tajemnicza powieść, którą czyta się z niepewnością i niepokojem. Przydryga zadbała o to, aby utrzymać ten klimat do końca historii. Świetnie się to czytało!

PAULA SIECZKO, [instagram.com/ruderecenzuje](https://www.instagram.com/ruderecenzuje)

EWA  
PRZYDRYGA

BLIŻEJ,  
NIŻ  
MYŚLISZ



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Pola i Daniel Rusiłowiczowie*

Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna i skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Zdjęcie wykorzystane na okładce:

© Honored\_member/Shutterstock

© by Ewa Przydryga

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2020

**ISBN 978-83-287-1406-9**

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2020

*Mojej Mamie*

Piekło jest puste, a wszystkie diabły są tutaj.

WILLIAM SZEKSPIR *Burza*

# Spis treści

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi



Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Epilog

Podziękowania

# Prolog

Przesuwam palcami łańcuszek rolety, wpuszczając do łazienki trochę słońca. Jasna kula stoi w zenicie. Ostre i przenikliwe promienie kontrastują ze skradającą się zewsząd jesienną szarugą. Wzdrygam się, odruchowo zanurzam w fałdach obszernego swetra i zaciskam pasek wokół talii. Spoglądam na ulicę. Nie ma na niej żywego ducha. Tylko latarnia pod wpływem podmuchów wiatru poszczękuje jak metalowy gad z taniego filmu science fiction. Przepłoszone tym dźwiękiem mewy podrywają się i znikają ponad koronami drzew. A we mnie rośnie niepokój.

Wracam do kuchni i sięgam do torby z zakupami po plastikową butelkę, drugą ręką zaciągając rolety do połowy. W ten sposób zajmuję ciało, by nie dać się sprowokować swoim kolejnym odlotom. Kiedy tonę w bezpiecznej ciemności, łatwej jest mi stłoczyć w głowie zwyczajne myśli – ściśle, jedna obok drugiej. Obiad dla gości pensjonatu, faktury, nowe zasłony i pościel – wyliczam kolejne punkty dzisiejszego planu zajęć. Na umywalce stawiam butelkę z mydłem i krawędzią dłoni naciskam pompkę tak długo, dopóki smuga złocistego płynu nie przyłgnie do moich palców. Dociera do mnie słodki zapach mango, może z domieszką jakiegoś cytrusa, chyba limonki. Jest nawet przyjemny. Nieruchomieję jednak. Bez ostrzeżenia odpala się mój wewnętrzny radar. Wiem już, że wracają.

Co teraz będzie? Którego miejsca z rupieciarni przeszłości dosięgną tym razem? Staram się to jakoś przewidzieć.

To ten zapach mydła. Nie czułam go od ponad dwudziestu lat. Pobudza uśpione bestie, które wracają już trzeci raz w tym miesiącu. Czuję, jak kruche fundamenty tego, na co tak ciężko pracowałam, zupełnie się rozsypują.

Gdzieś na skraju mojej podświadomości zszarzałe, zatarte przez czas wspomnienie dopada mnie i ożywa na nowo. Jak na komendę ściany łazienki pochylają się do wewnątrz, odbierając mi przestrzeń i powietrze. Chcę uciec,

choćby do sypialni, zacisnąć powieki i zawinąć się w koc, ale tych kilka kroków to teraz otchłań nie do przebycia. Zamiast tego gapię się tylko na turkusowe kafelki. Falują lekko na ścianie. A ja ustępuję po raz kolejny temu, co czai się w dusznych zakamarkach mojej psychiki i dochodzi teraz do głosu. Momentalnie wycieka ze mnie cała wola walki.

Podobne bitwy toczyłam już niejedną raz. Flashbacki – tak nazwała je moja terapeutka. Ten suchy, medyczny termin przewija się przez publikacje, które czytam, żeby lepiej oswoić się z nimi, kiedy znowu nadejdą. Wiem, czym są i co ze mną robią. Wiem też, że muszę je przeczekać, choć świadomość kolejnego starcia przyprawia mnie o dreszcze. Przetykam wzbierającą w gardle panikę, zlizuję suchość z ust. I choć nie zamykam oczu, za bardzo bojąc się tego, co mogę zobaczyć pod powiekami, to i tak dzieje się to poza moją świadomością. Jak zawsze wspomnienia są wyraźne – z głosem, ruchem, zapachem. Resztką sił opuszczam klapę sedesu i osuwam się na toaletę. Palcami stóp zapieram się o posadzkę.

Na podniebieniu czuję już smak urodzinowego tortu, kremu czekoladowego i mięty, a kiedy mrużę oczy, widzę, że przez dawno zapomniane dwuskrzydłowe okno przeciska się smuga jasnego światła. Ściany obite są dębową boazerią, a znad świeżo woskowanych desek unosi się zapach pasty do podłogi. Mam na sobie tylko umazaną błotem białą koszulkę z Różową Panterą. To moje ósme urodziny – przypominam sobie. Zanim ściągnę T-shirt i wejdę do wanny, wyglądam przez uchylone okno. Nad chodnikiem parują obłoki szarej mgły, pozostałości po niedawnej burzy, która ostudziła nieco czerwcowy skwar, a wraz z nim gniew mojej matki. Inne ślady nawałnicy wniosłam z ogrodu do domu na podszwach swoich ulubionych czerwonych adidasów. Hania zrobiła to samo. Resztki błota osadziły się też na brezentowej płachcie, którą ściągnęłam wcześniej ze sterty polan. Miałam z niej zrobić dwie peleryny superbohaterek. Wystarczyło tylko sięgnąć po parę nożyczek i przeciąć płachtę w kilku miejscach. Pod nieobecność mamy, rzecz jasna. Po raz kolejny usłyszałam później od niej, że ma już tego dość, że nie jestem grzeczną dziewczynką i że mam na siostrę zły wpływ.

To prawda, lubiłam robić wszystko po swojemu, wbrew ciągłym zakazom i nakazom mamy. Teraz, na szczęście, zorientowała się zbyt późno, już po

tym, jak w naszym nowym superciuchu, całe oklejone małymi srebrnymi gwiazdkami, zdążyliśmy sturlać się z pagórka prosto w kałużę. Z mącącem ogrodową ciszę chichotem naklejałyśmy gwiazdki na siebie godzinę wcześniej, wierząc, że każda z nich daje nam magiczną moc. Dziecięca fantazja. Niewidzialność, zdolność przenikania przez ściany, umiejętność czytania w myślach, dar rozumienia szczeniaczków – to tylko kilka z cech, które czyniły nas wtedy wyjątkowymi.

Obu nam On, ten ktoś z góry, nie poskąpił zresztą bujnej wyobraźni, więc autentycznie wierzyłyśmy, że możemy więcej. Hania, choć miała tylko cztery lata, chłonęła wszystko z równą ciekawością i zainteresowaniem, co ja. Łączyła nas przy tym jakaś nierozzerwalna nić porozumienia i własny świat, nadbudowany nad tym, który nas w rzeczywistości otaczał. Szczególnie, odkąd zabrakło w nim naszego taty. Jak można się domyślać, po tamtej zabawie obie wyglądałyśmy jak utaplane w błocie prosiaki. Dzikie i szczęśliwe.

Pamiętam, jak na nasz widok mama ściąga brwi i składa na piersiach ręce. Jak jej stopa nerwowo draży w trawie dziurę. „Marsz do wanny” – woła, a ja czuję w jej głosie, że nie zniesie sprzeciwu. Potem siedzimy z Hanią w tej starej przedwojennej wannie na mosiężnych lwich łapach, tonąc w pianie. Nasze koszulki i szorty lądują w pralce, peleryny superbohaterek – w śmietniku. Segregacja dyktowana wzburzeniem mamy. „Jeszcze, jeszcze trochę” – prosi Hania, więc bez namysłu otwieram płyn o zapachu mango i obie roztrzepujemy go dłońmi w wannie. A wtedy spod naszych palców, jak pod wpływem magicznego zaklęcia, wypadają białe obłoki. Okrągłe, owalne, bezkształtne, dziwaczne. Ledwie widzę zza nich swoją siostrę, tak fizycznie niepodobną do mnie samej.

„Z wyjątkiem oczu. Nika to skóra zdarta z Marii, Hania to wykapany tatuś” – tak o nas mówili.

Spod delikatnej skóry mojej siostry przebija sieć fiołkowych żyłek. Drobne ramiona wiosłują wodę, paluszki stroszą grzebienie piany. Lśniące, niemal białe włosy i te olbrzymie błękitne oczy nadają jej wygląd kogoś nie z tego świata. Zupełnie jakby była skrzatem, a może elfem z bajek, które jej nieraz opowiadałam. Patrzę na nią w sposób, w jaki nie patrzyłam na nikogo już nigdy później.

Jakiś tęskny dreszcz przeszywa teraz moje ciało, chcę zatrzymać kadr z tamtej chwili na dłużej, może nawet na całą wieczność. Byle tylko moja siostra była bezpieczna. Czuję stalowy uścisk w sercu. Dzieje się tak z prostej przyczyny: serce dobrze wie, co wydarzy się dalej.

W tej materializującej się równoległej rzeczywistości na powrót dorosła ja osuwam się na kojąco chłodną posadzkę. Przylegam do niej policzkiem. Zapieram się stopami o ścianę i przygryzam wargę. Ale to i tak nic nie daje. Nawet nie znieczula. Drugi obraz nakłada się w swojej najwyraźniejszej odsłonie, pochłaniając i błękitne płytki, i moje stopy, i przechodniów za oknem. Całą przestrzeń.

Znów słyszę Hanię. Chichocze, a ja wymyślam dla nas nową zabawę. Odlepiamy od siebie gwiazdki, których jeszcze nie ściągnęła z nas mama, i dekorujemy nimi wnętrze wanny.

„Idę po ręczniki. Pilnuj jej” – rzuca mi nad głową matka i omiata mnie jakimś nieobecny spojrzeniem.

Wtedy zauważam, że jej oczy są czerwone i szkliste, może od niewyspania, a może znów od płaczu. Znam tę twarz. Matka już się na mnie nie wścieka, jest po prostu smutna. Kiwam głową, a cień jej wychudłej sylwetki tańczy jeszcze przez chwilę przede mną, aż zupełnie znika. Mija chwila, nim wracam do zabawy, tym razem nakładam na głowę „wianek” z piany.

„Haniu, zobacz” – mówię do kryjącej się za mydlaną barierą małej.

Ale ona nie odpowiada.

„Ej, nie wygłupiaj się” – dodaję głośniejszym głosem, trącając pod wodą jej stopę.

Kiedy przedzieram się przez pianę palcami, woda gniewnie chlupocze. Za kolejnymi jej warstwami nie ma jednak mojej siostry. Zamaszystymi ruchami rozchlapuję wodę poza krawędź wanny, zalewa mnie fala przerażenia. Hania zniknęła – dociera do mnie. Wiem, co to znaczy. Mija sekunda, najwyżej dwie. Zanurzam głowę, chyba dość płytko, bo natrafiam na Hanię niemal natychmiast. Jest ciężka i bezwładna, jak ta japońska lalka w kimonie, której nie wolno nam było dotykać ani tym bardziej się nią bawić. Szarpię Hanię za ramiona, a kiedy wreszcie udaje mi się unieść jej głowę nad powierzchnię, ledwie rozpoznaję w niej moją siostrzyczkę. Dziewczynka w moich ramionach ma zamknięte oczy, a włosy, które przylegają do jej buzi, skręcają

się w wilgotne kosmyki, niektóre płaczą się po twarzy, inne wdzierają w usta.

„Haniu”. – Uderzam ją po policzku raz za razem. „No dalej, ocknij się!”

Wciąż nie reaguje, wstrząsa mną spazm płaczu.

„Mamo! Mamo!” – wołam w głuchą pustkę korytarza. „Mamo! Coś się stało Hani!” – wydzieram się wniebogłosy.

Lecz odpowiada mi tylko cisza i przytłumione światło, które wciąż przesącza się przez korytarz. Z każdą kolejną sekundą coraz bardziej mdleją mi ręce, w pewnym momencie już ledwie udaje mi się ją utrzymać. Nie ma mowy, bym sama dała radę wyciągnąć ją z wanny. W głowie mam jedynie pustkę, którą wreszcie rozprasza jedna sensowna myśl. Przyciskając Hanię do krawędzi wanny, szarpię za korek i patrzę, jak powoli odpływa woda. Kiedy zostaje już tylko piana, kładę Hanię na dnie, a sama wyczołguję się na zewnątrz. Chyba biegnę, choć nogi mam jak z waty, więc zamiast mnie nieść, stawiają nieposłuszne kroki. Wewnętrzny kompas prowadzi mnie do pralni.

Znajduję mamę nad stertą ręczników i innych niewyprasowanych jeszcze rzeczy. Wygląda, jakby po prostu ucięła sobie nad nimi drzemkę. Szturczę ją i szlochając jej nad głową, wyduszam z siebie słowo po słowie. Kiedy do niej dociera to, co mówię, zrywa się z miejsca. Moje przerażenie odbija się też w jej oczach. Jest jak nakręcona kukła. Pędzę za nią, czujnie śledząc każdy kolejny ruch – patrzę, jak wyciąga Hanię z wanny, jak przykłada głowę do jej policzka, jak zatyka jej nos i wdmuchuje powietrze do ust.

„Dzwoń, trzy dziewiątki!” – ledwie słyszę, choć mama przecież krzyczy.

Widocznie natychmiast robię, co mi każe, bo kilka chwil później słyszę przyspieszony stukot butów, a przed oczami migają mi białe kitle. Ciągnie się za nimi ten sterylny zapach, którego nienawidzę. Jest mi niedobrze. To, co sanitariusze robią za zamkniętymi drzwiami, trwa w nieskończoność.

Wciąż mokra i naga, wciskam się w kąt pokoju, byle tylko pozostać jak najbliżej drzwi. Kiedy podnoszę wzrok, za oknem rozpościera się pusty przestwór nieba – mój wyłączny kanał rozmów z tatą. Tą drogą proszę go o pomoc, także i tym razem wierząc, że mi odpowie. Zamiast wyczekiwanego głosu Hani po chwili słyszę jednak inny głos. To mama. Wydobywa z siebie ten sam straszny dźwięk, który słyszałam z jej ust tylko raz kilka miesięcy temu, kiedy do naszych drzwi zastukał barczysty gość w mundurze. Pamiętam, jak zwyczajnym beznamiętnie płaskim głosem

oznajmił, że tatuś miał wypadek.

Ta chwila niepewności trwa jeszcze minutę, może dwie. W końcu drzwi otwierają się na oścież z ostrym stuknięciem, w przejściu pojawia się młody dwudziestokilkuletni sanitariusz. Na jego twarzy szukam jakiegoś zaprzeczenia albo chociaż znaku otuchy. Ale widzę, że wbił wzrok w podłogę i napiął wszystkie mięśnie twarzy. W ramionach trzyma biały materiał, spod którego coś wystaje. Kiedy wyostrzam wzrok, zauważam, że to kilka krótkich blond kosmyków. Gdyby nie one, nadal trzymałabym się kurczowo nadziei. Ale włosy już podeschły, wyslizgnęły się spod okrycia i niczym nieskrępowane rozsypały się po jej plecach. Światło, które na nie pada, tworzy wokół głowy coś w rodzaju aureoli. Jasny krąg wiruje mi przed oczami, stopniowo się zaciera i wreszcie zanika.

Odzyskuję na nowo kontrolę nad swoim dorosłym ciałem i każę mu zaprowadzić się do łóżka. Tym razem okazuje się posłuszne. Otulona wełnianym kocem, pozwalam prawdziwemu światu powrócić powoli na swoje miejsce. Oddech za oddechem, zakotwiczam się w bezpiecznej przystani i wypływam na powierzchnię tego czarnego jak smoła wspomnienia. Oddycham. Piersi unoszą się i opadają w równym, zgodnym rytmie.

– Wdech. Wydech. Wdech. Wydech – powtarzam utartą formułkę.

# Rozdział pierwszy

*12 października 2018  
dzień*

Za płotem wije się mokra po deszczu ulica, nad którą unoszą się pierwsze jesienne liście. Wprawione w ruch przez pęd powietrza, toną na moment w kłębie spalin, jakie zostawił za sobą autobus. Nad moją głową rozpościera się czysta ściana błękitu. Jest w niej coś kojącego. Schodzę ze schodów, naciskam kłamekę, a furka wypuszcza mnie na zewnątrz. Rzucam szybkie spojrzenie przechodniom, którzy przechodzą obojętnie wzdłuż zaparkowanych na chodnikach samochodów. Powoli nauczyłam się rozpoznawać ich twarze.

Po przeciwnej stronie ulicy sunie chodnikiem lokalna lalunia – ma wysokie szpilki, jest koścista i ruda, ma bladą cerę nakrapianą piegami. Dźwiga przed sobą duży sterczący biust. Wzdrygam się. Podobno takie jak ona wyznaczają najnowsze kanony piękna – trend, przyznam, trochę dziwaczny, za którym chyba nie nadążam. Wypuszczając z ust kolejne kółka papierosowego dymu, ruda prowadzi na smyczy tłustego ratlerka. Nie odrywa wzroku od wyświetlacza smartfona. Jej lubieżny chichot i przygryzione wargi mówią mi, z kim świntuszy. Idę o zakład, że jej łysejący mąż siedzi teraz za biurkiem i nie ma pojęcia o kochasiu, który wpada przynajmniej dwa razy w tygodniu i pieprzy jego żonę. Skąd wiem?

Odkąd sięgam pamięcią, obserwuję, przeżywam i piszę. Dlaczego? Najłatwiej byłoby mi wyjaśnić to jakąś wewnętrzną potrzebą, która, ze zmiennym powodzeniem, pomaga mi uporać się z moją własną, raczej skomplikowaną rzeczywistością. Chcę jednak wierzyć, że tworzeniu powieści przyświeca też jakaś inny, wyższy cel. Nie przyszłam na świat tylko po to, żeby tak zwyczajnie wykonać swoją serię oddechów. Nie mam zamiaru przebiec na oślep tego morderczego maratonu i finiszować ani nie



wiadomo kiedy, ani nie wiadomo gdzie.

Zanim to jednak nastąpi, chciałabym zostawić po sobie jakiś ślad. Niech to będzie błysk w czyimś oku albo uśmiech, może ła.

Piszę więc, a mówiąc ściślej, pisałam, z nadzieją, by móc podzielić się tym, co będzie dla innych prawdziwie dobrym bodźcem. Jeszcze do niedawna umiałam pisać z całkiem niezłym skutkiem. Dziewięć moich publikacji – powieści motywacyjnych – przez kilka tygodni po premierze w szybkim tempie znikало z półek bestsellerów w dowód potwierdzenia słuszności tego, co robię. Odkąd TO się wydarzyło, a ja przyjechałam do Gdyni i całą energię włożyłam w przywrócenie pensjonatu do życia, ekran mojego komputera pochłonęła pustka.

Sięgam do skrzynki na listy. Zza jej plastikowego języczka wystaje moje imię i nazwisko, znak tego, że zaczynam od nowa. Przeprowadziwszy się do Gdyni, zostawiłam za sobą właściwie wszystko – dawne relacje i prawie wszystkie rzeczy z wyjątkiem łączących mnie z przeszłością kilku zamkniętych pudeł. Nadal stoją jedno na drugim w piwnicy pensjonatu i pokrywają się coraz grubszą warstwą kurzu. Na samą myśl o ich rozpakowaniu przechodzi mnie dreszcz, a wciąż jeszcze nabrzmiała blizna pod moim brzuchem zaczyna żyć swoim własnym życiem.

Nie pozwalałam jednak myślom, by znów zrobiły swoje, wyciągam ze skrzynki kilka kopert i gruby zwitek reklam. Nie ma tam nic istotnego poza jednym pismem sądowym. Nie muszę nawet otwierać koperty, by wiedzieć, co jest w środku. Termin rozprawy rozwodowej. Moje małżeństwo z Marcinem od zawsze było fikcją, bo związaliśmy się ze sobą z niewłaściwych, samolubnych powodów. Musiały minąć aż dwa lata, nim to zrozumiałam. Chciałam chyba po prostu na siłę wypełnić pustą przestrzeń w swoim życiu. Ambitny, inteligentny pracownik korporacji pociągał mnie fizycznie i intelektualnie, a przy tym zostawiał mi w naszym związku miejsce na moją własną przestrzeń. Jemu też to chyba odpowiadało. Ciągłe podróże pozwalały zawierać mu nowe znajomości, które, jak się okazało, szybko przybierały formę łóżkowych numerków. Na wyjazdach służbowych zwykle nie mógł odbierać wieczorami moich telefonów, bo zajęty był coraz to inną cipą. Okej, może i ja nie dość się starałam. Nasze ciała i nasze cele szybko więc przestały do siebie pasować. Nie wierzyłam mu już nawet wtedy, kiedy obiecywał, że przestanie, i silił się na troskę, gdy zamknięta w klinice

staralam się jakoś po TAMTYM wyjść na prostą.

Wciskam korespondencję w kieszeń swetra i wracam do domu. Wciągam mocny, uzależniający zapach świeżej farby i morskiego powietrza – zapach mojego nowego miejsca na ziemi. Jestem z niego dumna. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, dom, a raczej jego szkielet, przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Powybijane okna, zardzewiałe rynny, poodrywane dachówki, sypiący się ze ścian tynk i zarośnięty samosiejkami ogród. Dokładnie tak wyglądał. Całkowicie spustoszony, jakby we wnętrzu nie pozostało już nic poza zimnym powietrzem, czekał na mnie. Byliśmy do siebie trochę podobni. Kiedy stałam tam z gadającym od rzeczy agentem nieruchomości, fala wspólnych możliwości zalała mój umysł. Nie mogłabym jednak sobie na ten dom pozwolić, gdyby cena, jak na tę lokalizację, nie była tak śmiesznie niska i gdybym nie mogła liczyć na dobrą ekipę remontową.

Dziś nie ma śladu po tym, co zastałam tutaj niecały rok temu. Stoi przede mną strzelista kremowa willa o prostej bryle typowej dla modernistycznego stylu, którą odrestaurowałam według znalezionych na strychu zdjęć. Na dwóch balkonach wiją się liliowe klematisy, a okna oranżerii wychodzą na gdyński port.

Nasłuchując, mijam czwórkę – jedyny wynajęty teraz pokój, i dochodzę do wniosku, że mój gość chyba gdzieś wyszedł. To kobieta. Ma około czterdziestki, podniszczone rozjaśnianiem dość długie blond włosy i oryginalną urodę, którą nadwątlili chyba troski jakiegoś większego kalibru. Unika kontaktu wzrokowego, a kiedy już udaje mi się na nią gdzieś natknąć, po prostu znika. Kojarzy mi się z egzotyczną tancerką, którą ktoś kompletnie pozbawił chęci do życia i dobrej zabawy. Może mąż kat albo ciężka praca? Coś mówi mi, że widziałam ją wcześniej, choć zupełnie nie mogę skojarzyć, gdzie ani kiedy. Ona nie ma pojęcia, że jej drobne gesty i język ciała są dla mnie jak otwarta księga. Nie ma pojęcia też, że wiem o kłamstwie, na którym nakryłam ją, prosząc o dowód osobisty. Odpowiedziała, że wraz z samochodem ukradziono jej wszystkie dokumenty. Przypuszczam, że to ściema, a ona przed kimś się ukrywa. Za każdym razem, gdy wychodzi, naciąga na głowę kaptur, a wokół szyi oplata szal, jakby zupełnie chciała zniknąć. Jest w tej kobiecie coś, co wzbudza moją ciekawość. Chcę wiedzieć, kim jest i po co tak naprawdę tutaj przyjechała.

## Rozdział drugi

*13 października 2018*

*noc*

Ocknęłam się zwinięta na krześle pod jakimś dziwacznym kątem. Mam przed sobą stary mechaniczny budzik należący jeszcze do mojego ojca. Jego wskazówka wyznacza godzinę pierwszą. Prostuję plecy i dociera do mnie, co się święci – łupanie w skroniach to dopiero początek. Za godzinę, może dwie ból głowy rozsadzi mi czaszkę. Mam nadzieję, że do tego czasu zdołam zasnąć.

Światło bijące z monitora komputera nie pomaga. Przyzwyczajam więc stopniowo wzrok, a ostre krawędzie mebli i obrazów powoli się wygładzają. To, co zastaję na stole, zdradza mi, czym zajmowałam się wczorajszego wieczoru. Jestem cholernym słabeuszem, bez silnej woli. Na dnie niewielkiej plastikowej buteleczki leżą dwie pigułki ketrelu, które łypią na mnie jak osadzające mnie oczy mojej terapeutki. Na podniebieniu wyczuwam znajomy posmak goryczy – potwierdzenie tego, że musiałam już wziąć swoją wieczorną dawkę leku. Tuż obok tabletek stoi kieliszek z wygrawerowaną datą mojego ślubu. Niemal wybucham śmiechem – gdybyśmy z Marcinem nadal udawali kochające się małżeństwo, za kilka dni świętowalibyśmy naszą trzecią rocznicę. Kieliszek jest pusty, jeśli nie liczyć czerwonego zacieku na wewnętrznej ścianie. Widzę na szkle odcisk pomadki. Wygląda na mój. Serio? Cholera, czemu nic nie pamiętam?!

Opróżnioną do połowy butelkę merlota wcisnęłam za serwetnik na kredensie, pewnie po to, by w przypływie wyrzutów sumienia czuć się mniej winna. Wyciągam alkohol z barku tylko czasem i tylko przed snem, jeśli wiem, że szykuje mi się ciężka noc. Dzień mogę wypełniać aktywnością, ale jak mam przetrwać porę zapadającego za oknem zmierzchu, a szczególnie jak znieść ten moment, w którym muszę iść do łóżka?

Teraz już najwyższy czas się położyć. Zapomnieć o wszystkim chociaż na tych kilka godzin. Zerkam jeszcze tylko od niechcienia na monitor, na wypełniające go biało-czarne kwadraciki z ruchomym obrazem. Obserwuję ekran przez chwilę, ale jestem zasnana i oczy niechętnie rejestrują obraz. Podwórce i ganek są puste. Z pozostałych ujęć też wieje nudą. Ziewając, odnoszę kieliszek do kuchennego zlewu. Wylewam resztę wina, a butelkę wciskam do kosza na śmieci. Wygaszam w sypialni światło i kiedy to samo chcę zrobić z laptopem, jeden z kwadratów na monitorze ożywa. Z początku przypomina tylko trochę ziarnisty, ruchomy punkt, ale kiedy wyostrzam wzrok, widzę, że drzwi czwórki są uchylone. Ujęcie nadawane jest przez kamerę umieszczoną w holu na parterze. Ciekawe, gdzie moja tancerka egzotyczna wybiera się o tej porze. Zapominając na chwilę o bólu głowy, rozsiadam się na krześle i czekam na dalszy rozwój wydarzeń.

Zamiast kruchej tlenionej blondynki po chwili w przejściu pojawia się jakaś ciężka sylwetka. Jej kochanek? – przechodzi mi przez myśl. Marszczę brwi i czekam, ale kiepska jakość obrazu nie pozwala mi dostrzec szczegółów. Niech to szlag! Mężczyzna (?) obraca się na pięcie, jakby czegoś zapomniał i miał zaraz wrócić do środka. Faktycznie, po chwili znów znika w ciemności. Zamiast zamknąć drzwi, otwiera je na oścież, a światło wpadające z holu do pokoju odsłania podłużny przedmiot leżący nieruchomo na wykładzinie. Kiedy podnosi go z podłogi, to, co początkowo biorę za spory tekturowy rulon, okazuje się kobietą (?) – wygląda na bezwładną i nieprzytomną. Obraz jest zbyt niewyraźny, żebym mogła się przyjrzeć jej twarzy. Przez chwilę wmawiam sobie, że jestem świadkiem jakiejś erotycznej gierki, ale im dłużej patrzę, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że nie o to chodzi. Kobieta ma na sobie tylko zwykłą, bawełnianą piżamę, której daleko do rozbudzania erotycznych fantazji. Może to włamywacz? Albo jej mąż kat? Odnalazł ją, zaskoczył i po prostu wyciągnął z łóżka. Uderzył albo obezwładnił w inny sposób? Ale przecież z pokoju nie dobiegały żadne krzyki. A może ich po prostu nie słyszałam, bo usnęłam na krześle, pieprzona alkoholiczka, po raz kolejny pijana.

W mojej wciąż obolałej głowie trwa gonitwa myśli, dyktując mi same czarne scenariusze. W końcu jestem z nimi przecież za pan brat. Przyciskam usta dłonią i wydaję z siebie zduszony okrzyk. Wraz z nim powstrzymuję napływającą falę mdłości.

Kiedy hol na nowo pustoszeje, wmawiam sobie, że to tylko mój stępiony winem i pigułkami umysł chce mi wyciąć jakiś koszmarny numer. Trę palcami powieki, ale to i tak nie wymazuje zarejestrowanej wzrokiem sceny. Zniekształcona postać mężczyzny (?) wyłania się z mroku na nowo, kiedy na monitorze uruchamia się obraz nadawany przez kamerę zainstalowaną na ganku. Ciało kobiety chyba mu ciąży na ramieniu, bo pokonując rząd stopni, które oddzielają ganek od ogrodu, raz po raz się zatrzymuje i opiera bezwładne ciało o balustradę. Kiedy jest już na dole i szarpie furtkę, włosy kobiety wplątują się w gałęzie rózanego krzewu. Furtka po chwili puszcza, pozwalając mężczyźnie wydostać się na ulicę. Z tłukącym się w piersi sercem podchodzę do ekranu komputera. Rozczarowana nie widzę jednak niczego w ciemnościach nocy.

Układam w myślach jakiś sensowny plan działania, uchylam drzwi sypialni i po cichu przenoszę się do sąsiedniego pokoju, z którego mam widok na ulicę. Wciskam się za filar oddzielający dwa okna i zajmuję dogodnie do obserwacji miejsce, takie, z którego on nie będzie mnie w stanie zobaczyć. Kiepski pomysł – mimo że skupiam wzrok, sosny odgradzające mój dom od ulicy przesłaniają mi widok na część chodnika. Pewne wskazówki podsuwa mi tylko trzask, który słyszę za oknem. Rozpoznaję w nim odgłos kłapy bagażnika, a może drzwi jego wozu. Czekam, aż odpali silnik, ale zamiast tego pojawia się znowu na moim ganku. Tym razem jest sam. Płynnym ruchem wślizguje się za uchyloną furtkę. Widząc go z bliska, staram się wyłapać jakieś detale wyglądu, ale nie dostrzegam niczego charakterystycznego, bo twarz zakrywa mu czarna kominiarka. Na dłoniach ma rękawice.

Sparaliżowana strachem, że natknę się na niego w holu i podzielę los tamtej kobiety, nie wracam do sypialni, gdzie w panice porzuciłam swój telefon. Idiotka, kompletna kretynka, wyrzucam sobie. Po tym, przez co przeszłam ponad rok temu, powinnam być bardziej ostrożna. W odruchu trzeźwości wyciągam szufladę bieliźniarki, przetrząsam ją i wydobywam z niej atomizer z gazem pieprzowym. Oddycham z ulgą i zaciskam palce na chłodnej srebrnej buteleczce, jednej z siedmiu poukrywanych w różnych zakamarkach domu. Kucam i nasłuchuję z głową przy drzwiach, ale słyszę tylko łomot mojego serca i ciche pulsowanie w skroniach.

Zaczynam chyba powoli wariować. W pewnym momencie nareszcie

dociera do mnie cichutki szmer, który dobiega najpierw z parteru, a potem z ganku. Nie zbliża się w moją stronę. Nie kojarzy mi się też z niczym konkretnym, ot jakiś matowy dźwięk, najpierw cichnie, a wreszcie zupełnie zanika. Nie mam pojęcia, po co wrócił tu ten typ ani co robił. Czuję tylko, jak powoli opuszcza mnie napięcie, kiedy dwie, a może trzy minuty później wychodzi i tym razem już nie wraca.

Korzystam z tej chwili, idę do sypialni i łapię za komórkę. Kiedy odpala silnik, znowu stoję przy oknie wychodzącym na ulicę. Mrużę oczy, próbując dostrzec markę samochodu i numer rejestracyjny. Robię telefonem dwa zdjęcia, jedno po drugim, ale każde z nich przypomina tylko czarną plamę. No tak, ręce mi drżą, a w głowie wciąż mnie ćmi. Jedyne, czego jestem prawie pewna, to kolor i rodzaj wozu – granatowy, może czarny metalik, SUV albo terenówka. Jestem na siebie wściekła, że nie dostrzegłam niczego więcej. I nic nie zrobiłam. Jak zwykły tchórz ukryłam się w swoim pokoju, odgradzając się jak najdokładniej od kobiety, którą może jeszcze udałoby się uratować.

– Myśl, do cholery. Zrób wreszcie coś jak trzeba! – To chyba mój głos. W zupełnej ciszy brzmi głucho i jakoś tępo. Ale i tak go słucham. Przesuwam palcem po wyświetlaczu telefonu i znajduję zapisany w nim numer. Wolałabym uniknąć tego połączenia, ale nie mam chyba innego wyjścia.

## Rozdział trzeci

*noc  
pół godziny później*

Widok tego gliny wcale mnie nie uspokaja. Wręcz przeciwnie. Stefan Kubacki działa na mnie jak płachta na byka. Myśl, że to przed nim będę musiała zaraz złożyć zeznania, burzy we mnie krew. Sam język jego ciała mówi mi, że mam do czynienia z niereformowalnym zjebem. Gramoli się po moich schodach jakby z pretensją, że znowu przerwałam mu drzemkę albo cholera wie, od czego go oderwałam. Mundur opina jego niezgrabne ciało, skórzany pas wpija mu się w tłusty brzuch. Nadęty kurdupel, który chce tylko odfajkować swoje – takie zdanie wyrobiłam sobie o nim po jego kilku wizytach w moim domu.

Kiedy stajemy ze sobą twarzą w twarz, jestem pewna, że chce warknąć „Co znowu?!”, a potem jeszcze wytknąć mi, że niepotrzebnie go wzywałam. Wkładam wielki wysiłek w udawaną uprzejmość, patrzę w te jego oczy, patrzę na sztywną gęstą szczecinę zarostu, sypiącą się na skroniach siwiznę i przykurczone ramiona. Trudno jest mi to wszystko zlepić w jedną całość, te elementy skierowane w moją stronę unoszą się przed moimi oczami jak skrawki jawnej niechęci. Staram się znaleźć w jego wzroku jakiś cień sympatii, a przynajmniej szczerego zainteresowania, ale widzę tylko wrogość.

– Czy zgłaszała pani napaść i porwanie? – zaczyna. Ton jego głosu jest zupełnie beznamiętny. Leniwym ruchem wyławia z kieszeni notatnik i coś do pisania.

– I próbę morderstwa – dopowiadam.

Słyszę, jak ciężko wzdycha. Kiedy gestem ręki zapraszam go do środka, niechętnie przechodzi przez próg, skubiąc koniec długopisu.

Stoimy na parterze w holu, a on zaczyna mnie wypytywać. Przez chwilę milczę, czekając, aż mózg uporządkuje kolejne elementy tej układanki. Mówię mu o wszystkim. Może nieco płaczą się w zeznaniach, ale tylko dlatego, że wciąż jestem zdenerwowana. Na to tylko czekał. Kiedy na jego twarzy coraz widoczniej maluje się niedowierzanie, moja pewność siebie znika.

– Ma pani zapasowy klucz? – pyta wreszcie, wskazując na drzwi oznaczone cyfrą cztery.

– Są tylko przymknięte. – Podchodzę bliżej i popycham je. Otwierają się bezszelestnie pod naporem mojego ciała.

Nie to spodziewałam się zastać w środku. Starannie posłane łóżko, nietknięte butelki z wodą mineralną, czajnik, torebki z herbatą, tyle samo, ile zostawiłam tu przedwczoraj. Wszystko jest na swoim miejscu. Patrę po prostu na jeden z trzech czekających na przybycie gości pokoi. Wydaje się, że ona nie ma tam żadnych osobistych rzeczy. Zawiedziona, podchodzę do parapetu, by na nim poszukać jakichś drobiazgów, które mogła zostawić ta kobieta. Bezskutecznie.

W przylegającej do pokoju łazience brakuje jednej rolki papieru, ale czyste ręczniki przewieszane są przez kabinę prysznicową na tej samej wysokości, na której sama zwykle sama je zostawiam. Nietknięte zafoliowane mydło leży w mydelniczce obok buteleczek z płynem do mycia i balsamem do ciała. Kosz na śmieci jest pusty. I tylko z toalety wydobywa się jakiś kwaśny zapach, którego nie rozpoznaję. Kłapa i muszla sedesowa są jednak czyste. Nic nie rozumiem. Funkcjonariusz z satysfakcją odnotowuje moje zdezorientowanie. Podchodzi wtedy do stołu, jednym ruchem ręki zbiera z niego regulamin pensjonatu i czyta z uwagą.

– W swoim rejestrze gości ma pani oczywiście dane tej kobiety: jej imię, nazwisko, PESEL, serię i numer dowodu? – rzuca mi badawcze spojrzenie.

Brzmi to, jakby stwierdzał fakt, a nie pytał. Przez chwilę kręci mi się w głowie, ale mój wzrok szybko łapie odpowiednią ostrość.

– Tylko jej imię i nazwisko – odpowiadam. – Twierdziła, że ją okradziono. Uwierzyłam jej – kłamie.

– Regulamin jasno określa zasady meldunku – stuka w niego palcem. – Zlekceważyła to pani?



– To ja je ustanowiłam, więc i ja je dostosowuję do sytuacji, jeśli uznam to za konieczne. Chciałam jej pomóc – wyjaśniam, wzruszając ramionami. – Tak jak mówiłam, sprawiała wrażenie przestraszonej i dość zdesperowanej.

Funkcjonariusz unosi prawą brew, która przypomina mi tłustą, włochatą gąsienicę. Mam ochotę zerwać mu ją z twarzy.

– To chyba tym bardziej powinno wzbudzić pani czujność?

Milczę. Nie mam zamiaru mu się z tego tłumaczyć.

– Będę chciał zabezpieczyć obraz z rejestratora kamer – mówi po chwili, rozglądając się po holu.

– Nie mam niczego takiego.

Rzuca mi nowe, podejrzliwe spojrzenie.

– To w jaki sposób zapisywany jest obraz?

– Kamery wyposażone są w slot z kartą pamięci. Oczywiście, mogę ją udostępnić.

Nim zdąży zareagować, sama przesuвам stojący w narożniku fotel, który ostatnio wytropiłam na pchlim targu. Jest ciężki, a z tapicerki unosi się zapach kurzu. Staję na podłokietniku, chybocząc się w prawo i lewo, sięgam do zawieszanej nad drzwiami wejściowymi kamery. Ręce trochę mi się trzęsą, ale wreszcie natrafiam na szczelinę, w której spodziewam się znaleźć kartę SD. Jest pusta.

– Co jest, kurwa? – szepczę, ale gliniarz chyba mnie słyszy.

– Coś nie tak? – Czuję na sobie jego niechętny wzrok.

– Ten skurwiel ją zabrał – syczę, schodząc z fotela.

– Może pani nieco jaśniej?

– Naprawdę muszę jeszcze jaśniej?

Kubacki milczy.

– No to niech pan wreszcie mnie posłucha. Stoimy tu i tylko tracimy czas. Zamiast patrzeć na mnie jak na idiotkę, może sam wykaże pan nieco więcej inicjatywy?

– Jak na razie nic nie wskazuje na to, że ktokolwiek spędził noc w pokoju numer cztery. – Kubacki celuje palcem w drzwi czwórki.

Dosłownie gotuję się z wściekłości. Muszę udowodnić mu, jaki z niego opieszaly dupek. Mijam Kubackiego i wychodzę na ganek. Ale moje obawy potwierdzają się, kiedy i wewnątrz kamery umieszczonej nad drzwiami frontowymi nie znajduję karty pamięci. Dociera do mnie, czym był chrobot, który wtedy słyszałam.

– A co z kopią zapasową? – pyta policjant.

Potrząsam przecząco głową.

– No to podsumujmy fakty – oblizuje spierzchnięte usta, a ton jego głosu nabiera triumfalnego brzmienia. – Wydaje się pani – kładzie nacisk na pierwsze słowo – że była świadkiem napaści. Problem w tym, że poza pani zeznaniami nie mamy żadnego dowodu, który potwierdzałby te słowa. Powiem więcej, nie ma tu niczego, absolutnie niczego, co dowodzi, że ktoś faktycznie spędził w tym pokoju dzisiejszą noc. Ile pani dziś wypila, pani Werner?

Ostatnie zdanie wprawia mnie w osłupienie. Czuję w gardle kwaskowaty posmak merlota niczym gorzkie wspomnienie wieczoru. Palący wstyd przed samą sobą na chwilę sznuruje mi usta. Szybko jednak przytomnieję.

– Nie rozumiem, co to ma niby do rzeczy. Nigdy nie pija pan lampki wina do kolacji?

– Nie o to chodzi. – Uśmiecha się jakoś trupio, zmarszczka między jego brwiami się pogłębia. – Nie chodzi tylko o dzisiejsze zgłoszenie, prawda?

Chcę mu pokazać środkowy palec, bo moja cierpliwość powoli się wyczerpuje. Mimo wszystko nie daję się sprowokować.

– W ciągu ostatnich paru miesięcy zgłaszała pani na swojej posesji kilka... incydentów. Bezpodstawnych, żeby była jasność.

Splatam dłonie na klatce piersiowej, unoszę głowę i wypinam pierś na znak tego, że nie ruszają mnie jego insynuacje.

– Czułam się zagrożona, te pijaczyny dwukrotnie wparowały do mojego domu! – podnoszę głos, wracając myślami do pierwszych wydarzeń sprzed kilku miesięcy. – Broniałam się!

– Spierałbym się o to, kto tak naprawdę był wtedy ofiarą.

Mówiąc całkiem serio, korci mnie, aby podejść do tego gliny i strzelić go prosto w twarz. Mijają cenne minuty, które oddalają mordercę od miejsca

zbrodni. Wiem jednak, jak to działa. Własnymi oczami widziałam świat zza policyjnej szyby. Godziny spędzone na poznańskim komisariacie, gdzie w związku z wydarzeniami sprzed ponad dwóch lat błagałam o wysłuchanie i pomoc, spotykały się tylko z zimną obojętnością. Mój naiwny obraz zaangażowanych w swoją pracę funkcjonariuszy zderzył się ze smutną rzeczywistością. Pamiętam, jak spod sterty papierów patrzyły na mnie wtedy ich zmęczone twarze, pamiętam, jak odsyłano mnie od biurka do biurka. Niektórzy tłumaczyli się nadmiarem ważniejszych spraw, inni rozkładali bezradnie ręce. Byli i tacy, którzy totalnie wyluzowani parzyli sobie herbatę i gapili się na mnie, jakbym była całkowicie oderwaną od rzeczywistości histeryczką. To gorąca herbata, a nie przerażona kobieta pochłaniała całą ich uwagę. Ale to nie oni, tylko ja i moje dziecko zapłaciliśmy za ich błąd najwyższą cenę.

Teraz już rozumiem, że chcąc ugrać z nimi swoje, trzeba to zrobić w inny sposób, który wciąż staram się wypracować. Wypuszczam więc z ust powietrze, żeby pozbyć się wzbierającego we mnie wzburzenia.

Przed oczami staje mi tegoroczny kwietniowy poranek, kiedy krzątałam się przed pensjonatem, przygotowując się na przyjazd pierwszych gości. Na klombach sadziłam białe lilie i krzew jaśminu, do niewielkiej sadzawki wpuściłam parę karpia koi. Przepęniała mnie radość i przekonanie, że po przeprowadzce z Poznania zapuszczam tu na nowo swoje korzenie. Nie zorientowałam się nawet, że brama brzęknęła pod ciężarem zataczającej się pary. Mieli koło czterdziestki, cuchnęli tanim alkoholem i moczem. Ich czerwone, zniszczone twarze i podpuchnięte oczy płonęły nienawiścią.

Obwiniali mnie o to, że przejęłam ich własność. Owszem, kupiłam pensjonat na aukcji komorniczej, ale to ich własny nałóg, niewypłacalność, a finalnie ręka komornika odebrały im dom. Coraz bardziej natarczywi, grozili, że kiedyś go spalą. Kazałam im się wynosić. Zanim zdeptali świeżo posadzone kwiaty, zapowiedzieli, że wrócą. Słowa faktycznie dotrzymali. Następnym razem przezornie zabrałam ze sobą flakonik z gazem i użyłam go, kiedy nadarzyła się okazja.

Oczywista napaść na mnie i mój dom obróciła się jednak przeciwko mnie. Oboje oskarżyli mnie o naruszenie ich nietykalności cielesnej.

– Postępowanie wobec mojej osoby umorzono – przypominam

detektywowi. – To chyba jasne, kogo faktycznie napadnięto?

Funkcjonariusz kręci sceptycznie głową.

– Widząc sarnę na leśnej drodze, powiedziałaaby pani, że to sarna przechodzi przez drogę, czy że jest odwrotnie, to droga przechodzi przez las sarny?

Nie wiem, o co mu chodzi, ale podejmuję tę jego grę.

– To chyba oczywiste, kto jest w tej sytuacji intruzem – odpowiadam.

Na jego twarzy maluje się wyraz cichej satysfakcji.

– Nie tak prędko. Właśnie wyciągnęła pani pochopny wniosek.

– Do czego pan zmierza?

– Do prostej puenty. Właściwa odpowiedź to wypadkowa wielu czynników, ale na pewno niepodyktowanych dawnymi emocjami. Chyba wie pani o tym najlepiej.

Tak, jasne. Wiem, do czego ten glina nawiązuje. Pieprzę go. Milczę, ale mój umysł pracuje na przyspieszonych obrotach.

– A jak wyjaśni pani kolejny incydent, tym razem z sąsiadem z naprzeciwka?

Wywracam oczami. Mimo to odpowiadam, wciąż trzymam nerwy na wodzy.

– Facet fotografował mnie kilkakrotnie z okna swojego pokoju. Bez mojej zgody – podkreślam. – Prosiłam tylko, żebyście go sprawdzili.

– Tak się składa, że pan Wolny jest cenionym fotografem.

– Teoretycznie mógłby być jednocześnie i geniuszem, i psycholem? Czy nie?

– Fotografował nie panią, ale ptaki. Dobrze pani o tym wie. Myślę – robi pauzę, waży słowa – że jest pani, jak by to powiedzieć, nieco przewrażliwiona.

Wygaduje te bzdury, a we mnie burzy się krew, w uszach słyszę łomot swojego serca.

– Może to pan jest stronniczy? Ja mam powód, by obawiać się o swoje bezpieczeństwo. Zresztą teraz nie chodzi przecież o mnie.

Wzdycha i spina mięśnie, jakby się szykował do skoku. Czekam.

– Dzięki dokumentom, które dostałem z naszej poznańskiej jednostki, wiem, co panią spotkało dwa lata temu. Zresztą i w mediach było na ten temat głośno. Przykro mi – odchrząkuje. – Proszę tego nie traktować jako mojej prywatnej kruczaty przeciwko pani. Ale najwyższa pora zrozumieć, że nie mogę pozwolić, i nie pozwolę, by pani przewrażliwienie wpływało na moją pracę. Nie pozwolę także, by marnowała pani mój czas.

Dosyć. Nie pozwolę temu palantowi poruszać tamtych wydarzeń. To nie ma nic wspólnego z Gdynią. Gorset samokontroli, którą utrzymywałam do tej pory, pęka. Teraz to ja wytaczam swoje najcięższe działa. Mój głos brzmi jak wycelowana w niego broń.

– Pana obowiązkiem jest reagować – mierzę w niego oskarżycielsko palcem, czuję, że się nakręcam. – A jeśli zżarła pana rutyna albo od zawsze ma pan gdzieś swoje obowiązki, to może czas pomyśleć o innym zajęciu, które nie wymaga tyle sumienności. Wie pan w ogóle, co to takiego?

Chyba chcę go sprowokować, byle tylko coś z siebie wykrzeszał. Umysł podsuwa mi kolejne wyzwiska, mam je już na końcu języka. Ale on ciągle stoi niewzruszony z tym pustym notesikiem, nieruchomy jak kamienna figura.

Tupot pędzących po schodach stóp odwraca naszą uwagę. Marszczę brwi – nie spodziewam się przecież o tej porze nikogo. Wsłuchawszy się w rytm kroków, rozpoznaję natychmiast, do kogo należą. Długie rude włosy fruną na wietrze jak wściekłe płomienie. Kiedy przystaje, żółty jęczyczek ognia zapalniczki liże końcówkę jej papierosa. Biegnąc, dziewczyna wypuszcza z ust smużkę dymu. Na jej zgrabnym, wypracowanym na treningach ciele powiewa orientalny szlafrok w kwiecisty wzór. Na stopach ma różowe bambosze z pomponikami.

To Natalia, moja przyjaciółka. Mieszka dwa domy dalej, tuż przy lesie. Kiedy wpada przez uchylone drzwi, widzę, że w jej oczach czai się niepokój. Zupełnie mi to do niej nie pasuje. Zawsze emanuje pewnością siebie, którą lubię i której na nowo się od niej uczę. Wraz z Nat do holu wślizguje się korzenny zapach goździków, jaki zazwyczaj nosi w swoich włosach.

– Wszystko w porządku? Widziałam policyjny wóz – rzuca w moją stronę. Mierzy glinę niechętnym wzrokiem. Opowiadałam jej o nim.

– Proponuję, by pomogła pani koleżance ochłonać – mówi funkcjonariusz. Jego ton jest lodowaty.

Zamyka swój notatnik i wsuwa go wraz z ołówkiem do kieszeni. Przygląda kłapy marynarki i kieruje się do wyjścia.

– Hej, nic nie zamierza pan z tym zrobić?! – wołam za nim.

– Przyjąłem zgłoszenie. Do widzenia – mówi, nawet się nie odwracając.

Wiem już, że nie zmuszę go tej nocy do niczego więcej. Ale on wkrótce się przekona, że ja dopiero się rozkręcam.

Nim się orientuję, Nat wchodzi już po schodach na piętro, otwiera kuchenne drzwi i siada przy starym stole, którego blat kształtem przypomina kłapę od fortepianu. Upolowałam go w jakiejś rupieciarni i tchnęłam w niego nowe życie. Wysechł, ale pachnie jeszcze świeżą farbą.

– Powiesz mi, o co chodzi? – pyta Nat, dogaszając w popielnicze papierosa.

Nie spieszę się z odpowiedzią. Nie jest mi łatwo, ale z powrotem układam myśli w logiczny ciąg. Chcę, by mi uwierzyła. Napełniam szklankę wodą i lodem, podsuwam jej pod nos. Kiedy bierze chłodny łyk, płyn bulgocze w szkle, przeciskając się przez kostki lodu.

– Co znowu? – Palcem wskazuję na zdrapany z paznokci obu jej kciuków hybrydowy lakier. Znam ją na wylot, więc wiem, że w ten sposób odreagowuje w sytuacjach kryzysowych. Pozostałe paznokcie lśnią nienaganną czernią.

– Nic takiego – wzrusza ramionami. – Widziałam nową część „Jak wytresować smoka”. Szczerbatek był w tarapatkach. To smok – wyjaśnia, kiedy widzi, że nie mam pojęcia, o kim mówi. – Stresowałam się przez niego.

– I dlatego zdrapałaś lakier?!

– A coś w tym dziwnego?

To cała Nat. Nie ma znaczenia, czy chodzi o kreskówkowego stwora, czy o prawdziwego zwierzaka. Ma na ich punkcie zupełnego bzika. Studiuje weterynarię, jest na ostatnim roku, a swoje mieszkanie zdążyła już zamienić w małą lecznicę. W zeszłym tygodniu przyniosła z lasu kosa ze złamanym skrzydłem, a dwa miesiące wcześniej opiekowała się rannym jeżem. Regularnie organizuje wiece i akcje przeciwko przemocy wobec zwierząt

i sama zawsze staje z największym transparentem na ich czele. Dała dom trzem szczególnie pokrzywdzonym przez los psiakom ze schroniska. Staruszek labrador z kataraktą, mały corgi z amputowaną łapką i nieufny kundelek, regularnie katowany przez poprzedniego właściciela. Od dłuższego czasu były skazane na samotność w ciasnych, zakratowanych boksach. Chyba nigdy nie widziałam w psich oczach większej wdzięczności i miłości od tej, którą te czworonogi oddają z nawiązką swojej pani. To jeden z powodów, dla których uwielbiam tę dziewczynę.

– Ej, nie zmieniaj tematu – słyszę jej ponagląjący głos. – Mów, co się dzieje. Czego chciał tu ten glina?

Zbieram się wreszcie na odwagę, patrzę, jak Nat podnosi się z krzesła i wrzuca do śmietnika małe, lepkie mazidło, chyba zżutą gumę. Po kuchni roznosi się ledwie wyczuwalny zapach mięty. Nat z obrzydzeniem wyławia z kosza pustą butelkę po winie i gromi mnie wzrokiem.

– Co to tu robi?! – pyta.

Wzruszam ramionami.

– Eee... To nic takiego... Po prostu miałam ciężki dzień. Wypiłam lampkę, a resztę wylałam – tłumaczę jakoś nieporadnie.

– Wiesz dobrze, że nie możesz tych swoich prochów mieszać z alko. Bo albo stanie ci pikawa, albo zaliczysz zjazd i nawet nie będziesz wiedziała, kiedy ani jak.

Na usta ciśnie mi się pytanie „Serio?!”, ale siedzę cicho.

– Chodzi o twoją matkę? Znowu dzwoniła? – próbuje zgadnąć Nat.

– A co ona ma do tego? – mówię najswobodniej, jak tylko potrafię.

Słowo „matka” odbija się głuchym echem w mojej głowie. Dwie pusto brzmiące sylaby bez czułej treści, jaką niosą dla większości ludzi. Chciałabym otworzyć usta, pozwolić im jak najszybciej wypłynąć na zewnątrz. Mimo to duszę je w sobie, a do serca napływa chłód. Dobrze, że czujne oko Nat przynajmniej tego nie widzi. Zrzuca swoje włochate kapcie, odgarnia włosy z twarzy i zapada się w siedzisko fotela. W przytłumionym, ciepłym świetle wydaje się delikatna, nawet trochę mistyczna, a jednocześnie bije z niej siła.

– No taaaa... Co ktoś, kto mógłby zdobyć tytuł „Toksa Roku”, może mieć

wspólnego z twoim nastrojem?! Hmm, niech pomyślę – mówi, karykaturalnie przeciągając sylaby.

– Nie dzwoniła – ucinam, wbijając wzrok w parapet. Nie wiem nawet, czego tam szukam. – A jeśli to zrobi, to sobie z nią poradzę. Chcesz wiedzieć, po co był tu ten gliniarz, tak czy nie? – pytam zniecierpliwiona.

Choć przyjaźnimy się dopiero od kilku miesięcy, ja i Nat wiemy o sobie wszystko. To ona, nie licząc terapeutki, była pierwszą i do tej pory jedyną osobą, przed którą się otworzyłam. Ochronny pancerz nie dopuszcza ludzi do mojej kruchej i wrażliwej powłoki. Nienawidzę litości, a sensacją brzydzę się jeszcze bardziej. A to właśnie one obie bombardowały mnie w zeszłym roku.

Z Natalią było inaczej i dlatego wpuściłam ją do swojego świata. Wie o Hani, o moim ojcu, o mojej relacji z matką, o Marcinie, o naszym dziecku. Powiedziałam jej też o NIM, mężczyźnie, którego imienia nie wypowiadam ani na głos, ani szeptem i którego twarzy nie chcę pamiętać. Czasem, kiedy zamykam oczy, wyświetla mi się tylko pobiełały, zamazany od środka kontur twarzy, pusty i upiorny powidok. Gdy je otworzę, krąży za mną jeszcze chwilę, nie opuszczając na krok, ale zawsze w pewnym momencie zaciera się i znika.

Nat wie o Poznaniu i o tym, co mi ten człowiek zrobił. Wie o tym, co przez wiele miesięcy działo się z moją głową, o moim niemal rocznym pobycie w zamkniętej klinice, który miał mi pomóc wszystko na nowo poskładać w całość. Miał. W kolorowych folderach wszystko wygląda lepiej. Białe wyprasowane kitle lekarzy i pielęgniarek i przyklejone do twarzy uśmiechy. W rzeczywistości trudno powrócić do normalnego życia po utracie czegoś najcenniejszego, co bezpowrotnie mi odebrano. Udać jest dużo prościej, a akurat tę sztukę udało mi się opanować do perfekcji.

Tylko dlatego, że dziś jej ciekawość sięga zenitu, Nat nie ciągnie mnie dalej za język ani w kwestii wina, ani matki. Skubiąc rękaw szlafroka, po prostu mnie słucha. Kiedy kończę, dobiega czwarta nad ranem. Z pewnym lękiem patrzę na nią wyczekująco. Nie mówi tego wprost, ale po prostu wiem, że mi wierzy. Żeby raz jeszcze rozwiać wątpliwości, idziemy przeszukać czwórkę. Wygląda dokładnie tak samo, ale są dwa szczegóły, które wcześniej mi umknęły. Wraz z moją lokatorką z pokoju zniknął tylko klucz. Odkładamy ustalanie dalszych faktów na poranek, bo zmęczenie



dosłownie ścina nas z nóg.

– Co robisz? – pytam, kiedy Nat znów wspina się na piętro, a zaraz potem w pokoju gościnnym grzebie przy rozkładanej sofie.

– Szykuję nam wyro. Padam na twarz – rzuca, nurkując w skrzyni z pościelą.

– Nam? Jakim nam?

Odwraca się. Z kieszeni szlafroka wyławia telefon i potarciem kciuka wybudza ekran wyświetlacza z uśpienia: patrzą na mnie stamtąd trzy psie mordy z naciągniętymi na czubek ich głów urodzinowymi czapkami w neonowe pasy. Trochę nie wyobrażam sobie tego psiego party na plaży, ale i tak, albo właśnie dlatego, wybucham śmiechem.

– Przyprawdzą je. Jak ktoś jeszcze będzie się chciał tu wbić, to najpierw niech z nimi gada. Potrafią wszcząć niezłą awanturę.

Nie protestuję. Wręcz przeciwnie, jestem jej wdzięczna, bo po tym, co stało się dzisiaj, mimo zmęczenia, nie zmrużyłabym oka. Pół godziny później psy i Nat układają się na sofie, a ja rygluję wszystkie zamki. Wreszcie przykładam głowę do poduszki i pozwalam myślom odpłynąć w sen.

Jeszcze nie wiem, co zrobię, ale znajdę jakiś dowód na to, że ona, kobieta z czwórki, naprawdę tu była.

## Rozdział czwarty

13 października 2018  
rano

Budzę się zagrzebana w skotłowanej pościeli. Wilgotny top i bokserki lepią się do mojego ciała na potwierdzenie tego, że sen raczej nie należał do spokojnych ani przyjemnych. Zza uchylonego okna dobiega warkot autobusu, a na ulicy słychać gwar dzieciaków pędzących do szkoły. Wyostrzone dźwięki ranią mi uszy z siłą rozpryskujących się w powietrzu odłamków szkła. To efekt zmieszania wina i tabletek, które pozostawiły po sobie potężnego kaca. Mimo to wyślizguję się z łóżka i naciągam koszulkę. Czas działać, pora przedrzeć się przez wspomnienia z dzisiejszej nocy. Przez moment wątpię nawet w to wszystko, co faktycznie pamiętam, co rozegrało się w moim domu. Może to był zwyczajnie wyjątkowo realistyczny koszmar, z zapachem, kształtem i żywą emocją? Miewałam już takie. Ale karteczka, którą znajduję na stoliku nocnym, szybko rozwiewa moje wątpliwości.

*Musiałam lecieć na uczelnię. Potem mam trening z Danielem. Ale pogadamy o wszystkim, jak tylko wrócę. N.*

A więc to naprawdę się wydarzyło.

Za sofą w pokoju gościnnym znajduję butelkę z wodą nie pierwszej już świeżości. Mimo to biorę trzy duże łyki, które przynoszą ulgę drapiącemu gardłu. Poza dobrze znanymi przedmiotami w pomieszczeniu znajduję pustą miskę, a obok niej trzy przeżute przez psy kości.

Zza garderobianej szafy wystaje krawędź zakurzonej tablicy korkowej. Na jej widok przechodzi mnie zapomniany dreszcz ekscytacji. Wyciągam ją i kładę na sofie z przytłaczającym poczuciem winy, że ostatnio bardzo ją zaniedbałam. Pokłuta pinezkami, popisana długopisem i mazakami, jest jak dobry, stary przyjaciel, a jednocześnie kompas, który przy pisaniu każdej

powieści sprowadzał mnie z manowców na właściwą drogę. Długie godziny tworzenia fabuły, oddzielania nudy od podjarki, sensu od bezsensu, prawdy od patosu. Tak to zawsze mniej więcej wyglądało, kiedy stawiałam ją przed sobą i zapełniałam jej pustą przestrzeń. Kolorowe pinezki i karteczki są teraz w idealnym porządku, jakiego szczerze nienawidzę. Odkąd jestem w Gdyni, nie pozwalają mi się zapełniać, a ja nie mam zamiaru próbować na siłę od nowa.

Teraz jednak zapełniam przestrzeń planszy innymi informacjami. Jest tam wszystko, co udało mi się zapamiętać z wczorajszego wieczoru – karteczki zapełniają się faktami i spostrzeżeniami. Dzielę je na dowody – których, na razie, jest najmniej – oraz na swoje przypuszczenia. Są też znaki zapytania. Właściwie jest ich całe mnóstwo. Pod jednym nabazgrałam:

*Jak ją zidentyfikować? Joanna Nowak – kobiet o tym imieniu i nazwisku są setki.*

*Przypuśćmy, że to i tak fałszywa tożsamość??*

W momencie kiedy kończę podkreślać jej nazwisko, spływa na mnie coś w rodzaju oświecenia. To tylko wąta niteczka nadziei, ale łapię się jej desperacko. Pamiętam, że czytałam kiedyś o aplikacji Find Face bijącej rekordy popularności w Rosji. Stworzono ją, aby ułatwić użytkownikom portalu społecznościowego VKontakte, takiej rosyjskiej wersji Facebooka, nawiązywanie ze sobą znajomości. Nie namierzemy jednak konta osoby, którą chcemy znaleźć, po wpisaniu w wyszukiwarkę imienia i nazwiska. Dopiero po załadowaniu do tej wyszukiwarki fotografii – dzięki jakiemuś szalenie inteligentnemu algorytmowi rozpoznawania twarzy – Find Face w ciągu sekundy przeszukuje bazę miliarda zdjęć i z siedemdziesięcioprocentową dokładnością wskazuje nam tego, kogo szukamy. Poza bestmatchem wyświetla jeszcze dziesięć innych kont, najbardziej zbliżonych do naszego wyniku.

Artykuł przykuł moją uwagę głównie dlatego, że rozpętała się wokół niego zażarta dyskusja: czy i jak bardzo funkcjonowanie apki wymknęło się spod kontroli i nie służy swojemu pierwotnemu założeniu. Jakiś fotograf robił podobno regularnie zdjęcia ludziom podróżującym w metrze po to, by potem publikować je wraz z ich danymi. Ktoś inny wykorzystał Find Face,

aby dotrzeć do profili aktorek występujących w pornosach, a później te dziewczyny skompromitować. A to dopiero początek. Każdy, komu spodoba się ktoś nieznajomy, może zrobić mu zdjęcie i wysłać zaproszenie do grona znajomych. Posuńmy się jednak o krok dalej. Wyobraźmy sobie, że ktoś poważnie myśli o tym, by związać się z ulubioną gwiazdą filmową albo chociaż z kimś, kto mu ją przypomina. Znalezienie profili dziesięciu dziewczyn, które są najbliższe ideału, to dla tej apki nic trudnego. Wiem, że mamy XXI wiek, ale to jest po prostu nieźle popaprane. Na poziomie politycznym sprawy mają się jeszcze gorzej. Za pomocą aplikacji autorytarne reżimy mogą identyfikować i namierzać uczestników protestów i ulicznych demonstracji. A konsekwencje są nietrudne do przewidzenia.

Teraz jednak na moment zapominam o swojej niechęci, bo w działaniu Find Face widzę dla siebie szansę. Oczywiście nie mam zdjęcia kobiety spod czwórki, ale wciąż mam jej twarz przed oczami. Studiowałam malarstwo i rysunek na ASP, więc jestem w stanie wiernie odwzorować ją na papierze. Pytanie tylko, czy to wystarczy i czy w jakiś sposób uda mi się przeszukać bazy Twittera, Facebooka albo Instagrama. Bo przecież nie znajdę Joanny Nowak na rosyjskim VKontakte. Im dłużej o tym myślę, efektywna początkowo koncepcja wydaje mi się coraz bardziej nieprawdopodobna. Zbyt wiele ma luk i znaków zapytania. Jest jednak ktoś, kto mógłby rozwiązać moje wątpliwości.

Nie mam zielonego pojęcia, jak ten chłopak się naprawdę nazywa, ile ma lat ani nawet jak wygląda. Sądząc z treści mejli, które ze sobą wymieniliśmy, obstawiam, że to jeszcze dzieciak. Kazał mi mówić do siebie „Buzz”. Niewiele o nim wiem, poza tym, że Buzz to samouk i komputerowy maniak, który kiedyś bardzo mi pomógł. Przyznaję, chłopak jest świetnie zorientowany w temacie. Aby znaleźć poszukiwane informacje w sieci albo na twardym dysku, nieraz potrafi balansować na granicy prawa. W zasadzie zawsze ją przekracza. Wtedy nie interesowało mnie, w jaki sposób udało mu się zdobyć to, o co go prosiłam, szczególnie że poprosiłam o to tylko jeden raz. Mimo że po tamtej „usłudze” miałam usunąć z pendrive’a przeglądarkę Tor razem z jego adresem mejlowym, nie zdecydowałam się, by to zrobić. Zostawiłam wszystko na wszelki wypadek. Wiem, że jeśli mój pomysł z Find Face ma w ogóle szansę wypalić, Buzz będzie potrafił mi pomóc.

W Darknecie tacy jak on poruszają się swobodnie, z zachowaniem pełnej

anonimowości. Z początku bałam się sama zapuszczać do tego internetowego podziemia znanego też jako wylęgarnia cyberprzestępczości, handlarzy narkotyków, pornografii, płatnych zabójców i hakerów. Ale desperacja i lęk prowadzą często do najmroczniejszych miejsc, takich jak to. Zwykłych ludzi, podobnie jak ja postawionych pod ścianą, w sytuacji bez wyjścia. Tylko że gdy byłam już w środku, okazało się, że moja wiedza o Darknecie jest niekompletna.

Poza zamiarami na dobrych hakerów natknęłam się tam też na garść legalnych i pożytecznych informacji, w tym na niezależne serwisy gazet. Mimo wszystko od nieco ponad dwóch lat, odkąd w ciągu tygodnia zrealizowałam swój plan – nawiązałam i zakończyłam współpracę z Buzzem – nie wracałam tam więcej. Aż do dziś. Podłączam pendrive'a do laptopa, odpalam przeglądarkę Tor i loguję się na Mail2Tor, skrzynkę mejlową zapewniającą mi anonimowość. Adres Buzza to jedyny, jaki zapisany jest w historii Tor.

*Potrzebuję pomocy.*

Tylko tyle, tylko ten komunikat wpisuję w treść wiadomości. Siedzę przez chwilę przy komputerze ze wzrokiem wbitym w ekran, ale odpowiedź od Buzza nie nadchodzi. Kieruję się do mojej korkowej mapy myśli i przyglądam się pierwszemu punktowi, przyszpilonemu do lewego narożnika tablicy. Pod karteczką FAKTY kołysze się samotna notatka.

*Wyszarpnął z krzewu jej zaplątane włosy.*

Dorzucam więc kolejną kartkę i gryzmołę słowo po słowie.

*Zostawił na nim wyrwany kosmyk???!!!!!!!*

*Sprawdź!!!*

Nakręcona przecuciem, że to może być właściwy trop, stawiam kolejne wykrzykniki. W przeciwieństwie do pomysłu z Buzzem ten wydaje się prosty – wystarczy zejść na ganek.

Zostawiam tablicę i pędzę na dół. Na zewnątrz dzień płynie jakoś przerażająco spokojnie. Kiedy staję przy furtce, widzę zwyczajne, trochę znudzone twarze nieznamomych przechodniów, niemających pojęcia o przemocy ani o morderstwie, do którego być może doszło pod moim dachem, zaledwie kilka kroków dalej. Słyszę chichot grupki dzieciaków,

które mają z czegoś niezły ubaw. Mija chwila, nim się orientuję, że chodzi im o mnie. Jest październik, lodowaty wiatr rozsypuje jesienne liście, a ja paraduję przed nimi w kusych bokserkach i kapciach. To wiele wyjaśnia. Całe szczęście szybko im się nudzę, więc ruszają w stronę spożywcza, nawijając coś o chipsach i coli.

Wtedy zauważam kosmyk. Dowód na to, że kobieta spod czwórki nie uroiła się tylko w mojej głowie. Był tam przez cały ten czas. To zresztą nie tylko pojedynczy włos, ale długi kosmyk wplątany w nadłamaną gałązkę. Mrużę oczy, by lepiej mu się przyjrzeć. Nie jestem specem w tej dziedzinie, ale czytałam kiedyś, że aby uzyskać z włosa najbardziej wartościowe jądrowe DNA, należy włos wyrwać wraz z cebulką.

Znajduję dokładnie to, co jest potrzebne. Błyszczący w słońcu pukiel złożony z kilkunastu włosów zakończony jest korzeniami, do których gdzieś przylegają nawet fragmenty skóry. Ostrożnie usuwam kosmyk z krzaka wraz z gałązką. W tej chwili ma dla mnie wartość bezcennego trofeum.

Wibrujący w kieszonce T-shirtu telefon odrywa mnie od obmyślenia nowej taktyki działania. Wdrapując się na szczyt schodów, odbieram połączenie. Ze słuchawki dociera do mnie jakiś spięty, kobiecy głos. Brzmi znajomo, ale dopiero po chwili udaje mi się połączyć go z właściwą twarzą. W sercu czuję ostre szarpnięcie skrzętnie ukrywanej tęsknoty za ludźmi i miejscami, wspomnień, które zaginęły, jeszcze zanim szalenciec bez twarzy zamienił moje życie w piekło. Pojawiają się po kolei, uporządkowane według miejsc i dat. Roześmiane oczy ojca, mentolowy zapach z jego ust. Silny, ale i czuły uścisk zamknięty w mojej małej kilkuletniej dłoni. Hania, niewinność i ciepło jej delikatnego ciała, które na moich oczach z tamtej gorącej wanny zabrała śmierć. Nawet Marcin, nasze początki nie zapowiadały tego, co miało stać się później. On i ci wszyscy przed nim. Bunkry wokół jeziora Rusałka, rozsypujący się stadion lekkoatletyczny. Ostre światło jupiterów, wdzierające się pod plandekę okrywającą materac do skoku wzwyż, które często zastawało tam nasze skulone ciała. Takich miejsc naszych schadzek było dużo więcej. Pani Ludwika, obca, starsza kobieta, a bliższa mi niż własna matka. Dzieciaki, z którymi prowadziłam kreatywne warsztaty, pyskate, ale ufne i otwarte na to, by chłonąć świat.

– Hej, Milena – mówię, staram się, by mój głos brzmiał naturalnie, nie ma

w nim śladu pretensji.

Twarz Mileny była kiedyś częścią mojej poznańskiej układanki. Kiedyś.

– Och. Super, że cię złapałam. Co u ciebie? – pyta, a ja nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wcale nie chce tego wiedzieć.

W tle słyszę dziecięce głosy i strumień wody spływający do zlewu.

– W porządku. Dużo pracy w pensjonacie. Zadamawiam się tu powoli – mówię, starannie ważąc słowa.

– Och. Super. Super – odpowiada Milena nieobecny głosem, sprawia wrażenie, jakby nie słyszała albo jakby nie to spodziewała się usłyszeć.

– A u ciebie? Jak dzieciaki? – pytam.

– Och, super. No wiesz, szkoła, zajęcia. Leoś zaczyna mówić. Mam masę roboty.

Nastaje krępująca cisza, jakbyśmy w zasadzie powiedziały sobie już wszystko. Mam tylko ochotę dodać: „Och! Super”. Oszczędzam nam obu tej błazenady, do której sprowadzają się teraz nieliczne rozmowy z moją dawną przyjaciółką. Dzwoniłam do niej kilka miesięcy temu, kiedy z całym swoim dobytkiem w postaci kilku kartonowych pudeł wylądowałam w Gdyni. Od tamtej pory nie kontaktowałyśmy się ze sobą. Zresztą nasza rozmowa tamtego dnia niewiele różniła się od dzisiejszej: kurtuazyjna gadka szmatka, pozbawiona treści i szczerego zainteresowania. Było mi trudno zebrać się na odwagę i powiedzieć, że, do cholery jasnej, nie jest mi samej z tym wszystkim łatwo, a i ona bała się pytać w obawie, że przez słuchawkę zainfekuję ją wirusem mojej własnej tragedii. Że rozprzestrzeni się on potem na nią i jej rodzinę.

Nasze dzieci miały się urodzić w odstępie trzech tygodni. My spodziewaliśmy się córeczki, oni synka. Z tym że naszej Hani on, Człowiek Bez Twarzy, odebrał życie, nim w ogóle zdążyło się rozpocząć. Powinnam więc Milenę w zasadzie zrozumieć, tak pewnie działa instynkt obronny matki. Być może gdyby to ją, a nie mnie, po stracie dziecka na rok zamknięto w klinice psychiatrycznej z podobną do mojej diagnozą, też odsunęłabym ją od siebie. Być może równie dyskretnie i taktownie odmawiałabym jej odwiedzin w swoim domu, a i sama wcześniej nie odwiedziłabym jej w szpitalu przez tych koszmarnych dwanaście miesięcy.

„Robiłam to w dobrej wierze”, powtarzała równie często, jak wyświechtane „Och! Super”. Nie tylko to ciążyło zresztą na naszej relacji. Tłumaczyłam sobie, że to kolejna próba dla empatii, jaką ja zawsze dla niej miałam.

– Długo będziemy jeszcze to ciągnąć? – pytam, bo wreszcie dociera do mnie, że mam już dosyć.

– Ciągnąć co?

– Tę farsę. Po co dzwonisz?

Słyszę, jak Milena odchrząkuje i oblizuje wargi. Zbiera się na to, by przejść do sedna.

– Odezwała się do mnie twoja matka – jej serdeczny początkowo ton powoli tężeje. – Podobno nie odbierasz od niej telefonów.

Wybucham nerwowym śmiechem.

– Więc zadzwoniłaś do mnie, bo masz za zadanie zdać jej relację, co u mnie?!

Charyzma. To pierwsze słowo, które ciśnie mi się na usta, kiedy myślę o mojej matce. Ten niesamowity wpływ, który miała na ludzi ze swojego otoczenia, zawsze mnie zadziwiał. Potrafiła manipulować nimi pod każdym kątem, byle uzyskać to, co chciała, a jednocześnie pozostać dla wszystkich autorytetem. Pokręcona sprawa. A jej komitywa z Mileną była dla mnie zupełnie niezrozumiała.

– Och, przestań wreszcie. Nie bądź taką zimną... – nagle milknie, czuje, że nerwy ma napięte jak struna.

– Zimną?!?! No dalej, czym? Dokończ!!!

– Niczym.

– Suka?! To chciałaś powiedzieć, prawda? – wciskam jej w usta. – No dawaj, przyjaciółki nie mają przed sobą żadnych tajemnic! – Parskam śmiechem.

– Sama się niszczysz, wiesz?! Im dalej brniesz w tę paranoję w stosunku do mnie czy swojej matki, tym dłużej będziesz się po tym podnosiła.

– Wow! To cholernie trafna diagnoza, biorąc pod uwagę, że przez rok ani razu nie zapytałaś mnie, jak się czuję. Wolałaś te cotygodniowe hot newsy



z psychiatryka, które sprzedawała ci moja matka – rzucam słowa do słuchawki na jednym oddechu.

– To nie tak – zarzeka się. – Wiesz, że wtedy nie mogłam przychodzić. Byłaś zagrożeniem dla siebie samej, a co dopiero dla innych... Nie mogłam ryzykować... – urywa.

W zasadzie jestem jej nawet wdzięczna, że wreszcie zdobyła się na tę szczerość.

– Śmierdzący z ciebie tchórz, Milena! I wiesz co... Spieprzaj! Serio. Odwal się ode mnie raz na zawsze – rzucam impulsywnie i rozłączam się.

Czuję nowy przypływ adrenaliny. Mogłam zakończyć to inaczej, ale chyba nie chciałam upodobnić się do tej zimnej, fałszywej suki ani tym bardziej sięgnąć po jej własną broń. To jasne, że plaster powinno się usunąć jednym szybkim pociągnięciem, a nie odrywać go kawałek po kawałku. Żałuję tylko, że tak późno to zrozumiałam. Mimo wszystko w obliczu kolejnej zamkniętej karty czuję, jak do oczu napływają mi łzy.

Siadam na ostatnim schodku, skąd widzę szarość smogu opadającego powoli na miasto. Ten obraz zapamiętuję jako ostatni, nim trafiam w kolejne miejsce.

Nie wiem, w jaki sposób się tu dostałam, ale stoję pośrodku piwnicy. Sama sobie nie potrafię odpowiedzieć, co tu właściwie robię. Rozglądam się dookoła, chociaż przecież dobrze znam to miejsce. Jest prawie puste, jeśli nie liczyć kilku starych mebli i kilku nierozpakowanych jeszcze pudeł, które stoją pod ścianą dokładnie w tym samym miejscu już od dobrych kilku miesięcy. Pokrywa je warstwa kurzu i naniesione czarnym mazakiem litery, układające się w imię mojej córeczki. Nie czekam dłużej. Przecieram pierwsze pudło wierzchem dłoni, a drobinki pyłu wzbijają się w powietrze. Podważony palcem sznur trzaska pod moim paznokciem, pozwalając wślizgnąć się miękkiemu przedmiotowi prosto w moje dłonie. To maleńki różowy śpioszek z błękitnymi naszywkami. W środku pudła znajduję też inne nietknięte akcesoria niemowlęce. Przeglądam je kolejno: pościel, kocyki, maskotki, ubranka, pozytywka z żyrafą. Są bezużyteczne, ale są dla mnie symbolem życia Hani, do którego nigdy nie zdążyła mnie wpuścić.

Raz nawet, kiedy do głosu dopuściłam nie emocje, ale rozsądek, prawie udało mi się zawieźć te rzeczy do domu dziecka. Zaparkowałam wóz zaraz

obok wejścia, a od wypełnienia mojego postanowienia oddzielało mnie dosłownie parę metrów wąskiego chodnika. Trzymając w dłoniach najcięższe pudło, naprawdę próbowałam postawić pierwszy krok ku temu, co słuszne, ale odległość między samochodem a drzwiami budynku wydawała mi się wtedy otchłanią nie do przebycia. Wrzuciłam karton z powrotem do bagażnika i, zapuchnięta od płaczu, wróciłam do domu.

Kiedy myśli o tamtej chwili odpływają, unoszę głowę i zawieszam wzrok na czymś odbiciu w wiszącym na ścianie ogromnym lustrze. To przecież ja. Szklana tafla, choć częściowo zarysowana, obnaża całą prawdę. Wyraźnie schudłam, ubyło mi kolejnych kilka kilogramów; T-shirt wisi na mnie jak na przetrąconym sklepowym wieszaku, a szorty prawie zsuwają mi się z bioder. Sińce pod oczami wyglądają jak czarne pierścienie zatopione głęboko w skórze. Spod uniesionej koszulki wynurza się fragment nabrzmiałej wciąż blizny, wijącej się na podbrzuszu jak wąż. Wyobrażam sobie ją otwartą, niemal widzę, jak ziejże stamtąd jałowa pustka. Kasztanowe włosy, jeszcze całkiem niedawno pięknie błyszczące, wyraźnie się przerzedziły. By to zamaskować, spięłam je wczoraj w kucyk, który zwisa niedbale znad mojego ramienia.

Stojąc i gapiąc się tak na nową wersję siebie, łapię się na tym, że w jednej ręce zaciskam niemowlęce śpioszki, w drugiej zawiniątko z kosmykiem włosów obcej kobiety. Dwie rzeczy, które są dowodem, że śmierć pojawia się w moim życiu ostatnio zbyt często. Poprzysięgam sobie, że nie pozwolę jej odebrać sobie już nikogo więcej. Patrzę raz jeszcze w lustro, bardziej czujnym, ale i przychylnym okiem. W moim spojrzeniu nadal wyraźnie płonie wola walki. Zamierzam ją po prostu wykorzystać.

# Rozdział piąty

13 października 2018  
południe

*Pobierz apkę Brier na komórkę. Tak będzie szybciej.*

Odpowiedź Buzza nadchodzi dokładnie wtedy, kiedy myślę, że coś poszło nie tak.

*Jesteś pewien, że to bezpieczne?* – wystukuję na klawiaturze.

Tym razem odpowiedź Buzza przychodzi natychmiast.

*To komunikator. Historia rozmowy zostaje tylko na naszych urządzeniach i nie przechodzi przez serwery. Luz!!! :D*

Reaguje tak jak poprzednio. Wtedy też nie wyczułam w stylu jego pisania cienia niepokoju. Nie zadawał zbędnych pytań, a przede wszystkim nie dociekał, dlaczego proszę go o to, by włamał się na skrzynkę pocztową Człowieka Bez Twarzy. Finalnie, choć miałam stały wgląd w jego wiadomości, nic mi to nie dało. Człowiek Bez Twarzy kilkanaście tygodni później i tak zrobił swoje. Oczywiście, nie było w tym żadnej winy Buzza. Ten chłopak nie miał zielonego pojęcia o tym, co działo się w moim życiu. Niech tak zostanie.

Robię to, co mi przed chwilą polecił – instaluję apkę komunikatora na swoim telefonie. Po chwili udaje nam się połączyć.

*Chodzi o Find Face.* – Wstukuję w telefon. *Słyszałeś o tej aplikacji?*

BuzzSuperstar: *No raczej.*

*Muszę się dowiedzieć dwóch rzeczy. Po pierwsze: czy mając odręcznie narysowany portret, mogłabym załadować go do tej aplikacji zamiast zdjęcia?*

BuzzSuperstar: *Rozumiem, że nie znasz imienia ani nazwiska tej osoby.*

*Znam, ale to fejk.*

*BuzzSuperstar: A może masz podejrzenia co do jej tożsamości? Gdzie mieszka, kim jest?*

*Nie. Mam tylko ten portret.*

*BuzzSuperstar: Potrzebuję szczegółów. O jakim portrecie dokładnie mówimy?*

*Powiedzmy, że to szkic ołówkiem, ale realistycznej, fotograficznej jakości.*

*BuzzSuperstar: Powiedzmy?!*

*Jeszcze go nie narysowałam.*

*BuzzSuperstar: No to zależy od twoich możliwości. Ale wydaje mi się, że to całkiem możliwe. A druga rzecz?*

*Myślę, że Buzz czeka na trudniejsze wyzwanie.*

*Które bazy danych będą mogła za jego pomocą przeszukać?*

*BuzzSuperstar: Ty sprawdzisz na legalu, czyli na VKontakte. Ja poszperam głębiej.*

*Czyli gdzie?*

*BuzzSuperstar: Zabawiałem się w to już kiedyś. Z Fejsem, Instagramem i LinkedInem był totalny fakap. Nie ruszę ich zabezpieczeń. Z Twitterem też może być ciężko.*

*Ale?*

*BuzzSuperstar: Ale z bazą fot Naszej Klasy poszło gładko.*

*Mam ochotę napisać: Chyba żartujesz. Nasza Klasa to już przeżytek... Ale trzymam się kurczowo chociaż tej szansy.*

*Zajmiesz się szkicem, jeśli prześlę go dzisiaj wieczorem?*

*BuzzSuperstar: Pewka.*

*A jeśli powiem, że mi się śpieszy?*

*BuzzSuperstar: To jutro rano masz w skrzynce wszystko to, co uda mi się na ten temat wygrzebać.*

Otwarty, wyluzowany gość, na którego próbuje się przede mną wykreować, to tylko pozory. Prawdziwa twarz Buzza już od dawna ukryta jest w podziemiu cyberprzestrzeni. Wiem, jaki przebieg będzie miała nasza

dalsza współpraca. Za zlecenie pewnie znów zapłacę mu bezpieczną i nieujawniającą danych odbiorcy kryptowalutą. Bitcoinami. Nie mam pojęcia, gdzie ten chłopak się znajduje. Mógłby siedzieć w pokoju za ścianą albo być setki tysięcy kilometrów stąd. Nie powinno mnie to zresztą obchodzić. Życie nauczyło mnie, że pewnych rzeczy po prostu lepiej nie ruszać.

*Odezwę się wieczorem* – wpisuję w okienko.

Kończę naszą rozmowę, bo widzę kręcącego się pod moją furtką mężczyznę.

Facet nosi sportową kurtkę North Face i ma naciągnięty na głowę kaptur. Wystaje spod niego tylko fragment twarzy i gęsta, ale starannie wystylizowana broda. Na nogach ma ciężkie trapery, a w ręku aparat fotograficzny z długim jak luneta obiektywem, bez którego, takie odnoszę wrażenie, nigdzie się nie rusza. Jest jak przyspawana do jego prawej ręki piąta kończyzna. Kojarzy mi się z drwalem albo taternikiem, choć dobrze wiem, że jego prawdziwe zajęcie nie ma ani z jednym, ani z drugim absolutnie nic wspólnego. To mój sąsiad z naprzeciwka, dziennikarz, fotograf i podróżnik. Po rozdmuchanej przeze mnie aferze ze zdjęciami i po tym, jak złożyłam na niego skargę, oboje staramy się schodzić sobie z drogi. Nie mam więc pojęcia, co go tu przygnało i dlaczego węszy pod moim domem. Nie naciska na dzwonek, zwyczajnie stoi pod furtką. W mgnieniu oka staram się doprowadzić do względnego ładu: wkładam bluzę i dresowe spodnie, w locie, gdzieś między schodami a drzwiami, poprawiam kucyk.

Kiedy otwieram drzwi, powiew zimnego przenikliwego wiatru spycha mnie na bok w stronę kolumny. Naciągam na głowę kaptur i zaciągam szlufki, podchodzę do bramy. W zasadzie po raz pierwszy widzę go z tak małej odległości.

Jego twarz zawsze widziałam z oddali, z bliska zauważam, że ma w sobie łagodny wyraz, którego zupełnie się nie spodziewałam. Oczy w kolorze akwamaryny wydają się ciekawą anomalią pośród gęstych czarnych włosów i wysokich kości policzkowych. Ze zgrozą przyznaję, że jest w nim coś diabelnie pociągającego. Na szczęście w głowie tłuką mi się też trzeźwe myśli. Jasne, pamiętam, by nie ufać pierwszemu wrażeniu.

– Dzwonek nie działa – wyjaśnia. – Bartosz Wolny – przedstawia się

i wyciąga do mnie dłoń przez zamkniętą bramę.

Mam mu ochotę powiedzieć, że od dawna wiem, kim jest, bo zdążyłam już przewertować mnóstwo artykułów i sporo się naczytałam na jego temat.

– Chyba poznaliśmy się w nie najlepszych okolicznościach – dodaje, patrząc na mnie czujnie.

Peszy mnie ciekawski, może nawet natarczywy sposób, w jaki mi się przygląda. Opatulona w za dużą bluzę, z kapturem na głowie zasłaniającym połowę twarzy, powinnam być raczej niewidzialna. Zamiast tego nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ten facet mnie czyta, rozbiera mnie i moje myśli kawałek po kawałku. Nie chcąc jednak wyjść na zupełną paranoiczkę, otwieram bramę.

– Nika Werner – mówię i zmuszam się do serdecznego uśmiechu. Ściskam jego dłoń. Jest ciepła i miękka, pokryta wyraźnymi żyłami. Mam nieodpartą ochotę przesunąć po nich opuszkami palców. Nie wiem, co mi odbiło. Powstrzymuję się.

– Słyszałem o tym, co wydarzyło się dziś w nocy – mówi z pewnym wahaniem.

– Skąd pan wie? – Puszczam jego dłoń i unoszę czujnie brew.

– Znam się z dochodzeniowcem, który spisywał pani zeznania. Rozmawialiśmy dziś rano – tłumaczy się.

Robi to dość nieporadnie. Chyba wyczuł, że moja nieufność wobec niego znów się pogłębia, bo po chwili dodaje:

– W zasadzie przyszedłem tylko to po, żeby powiedzieć, że i ja widziałem tę kobietę. Niestety, nie wczorajszej nocy, ale natknąłem się na nią dzień wcześniej. Powiedziałem o tym śledczemu i opisałem mu ją. Mam nadzieję, że to pomoże. Bo, mówiąc serio, oni chyba nie rwą się do rozpoczęcia poszukiwań.

– Dziękuję – mówię, bo tylko to przychodzi mi do głowy. – Wracając do tamtego... incydentu między nami sprzed kilku miesięcy... Przepraszam, pomyliłam się – wyduszam z siebie. – A tak właściwie, skąd pan wie, że zaginiona kobieta to ta sama, którą pan widział w moim pensjonacie? – znów przyglądam mu się bacznie.

– Nie ma pani o tej porze roku zbyt wielu gości, prawda?

– Nie wiedziałam, że tak interesuje pana mój pensjonat.

– Nie ponad granice sąsiedzkiej ciekawości. – Obdarza mnie słabym uśmiechem, pewnie chcąc rozładować atmosferę. – Może w ramach zawieszenia broni mógłbym zaprosić panią na otwarcie wernisazu moich prac? To wystawa fotografii „Tunel czasu”. Dziś na dwudziestą. W galerii przy Gdyńskim Centrum Filmowym.

On tak na serio?

– Och, gratuluję. Ale mam jednak już na wieczór inne plany. Mimo wszystko dzięki – odpowiadam, starając się, żeby zabrzmiało to uprzejmie.

Nawet jeśli jest zaskoczony albo zawiedziony, zupełnie nie daje tego po sobie poznać.

– Jeśli będzie wiało nudą – mówi, jakby doskonale rozszyfrował moje kłamstwo – zawsze jest możliwość, żeby po prostu wślizgnąć się bocznym wejściem do kina obok. – Uśmiecha się jeszcze raz, a wraz z kącikami ust lekko unoszą się też kąciki jego oczu. Pojawia się w nich coś nowego, czego jeszcze nie mogę rozgryźć. Kiedy nie reaguję, Bartosz kiwa głową i po prostu odchodzi.

– Do zobaczenia – rzucam mu jeszcze, kiedy jest już po drugiej stronie ulicy.

Człowiek sukcesu, którego spotkało ogromne nieszczęście. Za takiego Bartosz tutaj uchodzi. Parę miesięcy temu, właściwie zaraz po incydencie ze zdjęciami, sprawdziłam go w internecie – począwszy od zawodowych sukcesów, których miał zresztą sporo, kończąc na osobistej tragedii, po której na jakiś czas wycofał się z życia publicznego. Tabloidy rozpisywały się o tym przez długie tygodnie. Trzy lata temu jego żona, znana i ceniona w Trójmieście prawniczka, spadła z klifu podczas zakrapianej alkoholem imprezy na plaży i skręciła kark. Nieszczęśliwy wypadek – tak brzmiała oficjalna wersja policji po dość krótkim i, mam wrażenie, niezbyt drobiazgowym śledztwie. I choćby sprawa z jego żoną miała być faktycznie nieszczęśliwym wypadkiem, facet nadal wzbudzał moją nieufność, a może raczej ciekawość.

Jakim cudem dowiedział się od dochodzeniowca o moim zawiadomieniu tak szybko? I dlaczego zależało mu, aby się tym ze mną od razu podzielić? Czy mógł kręcić się pod bramą, bo był zamieszany w zaginięcie kobiety spod

czwórki i chciał się upewnić, że na różanym krzaku nie został pukiel jej włosów?

Postanawiam zmienić swoje plany na dzisiejszy wieczór. Nie chcę iść tam sama, więc dzwonię do Nat i pytam, czy nie miałyby ochoty do mnie dołączyć. Kiedy wyjaśniam jej, o co chodzi, marudzi, że najprawdopodobniej czepiam się tego gościa bez powodu, a ona zamiast tego wolałaby zawieźć do schroniska dla psów paczkę z karmą. Po negocjacjach godzimy się pójść na kompromis. Żeby, jak twierdzi Nat, „przewietrzyć głowę” i „ruszyć porządnie tyłek”, godzę się pójść z nią na siłownię na jakiś hardcorowy, interwałowy trening, który prowadzi jej nowy chłopak – Daniel. Między innymi ma to być pretekst, żebym go wreszcie poznała. Potem mamy wspólnie wyskoczyć do galerii.



# Rozdział szósty

*13 października 2018  
wieczór*

Jak po zderzeniu z tonowym betonowym blokiem. Dokładnie tak czułam się po treningu, który dowiódł, że mojej kondycji potrzebna jest pilna regeneracja. Ale nie chciałam wyjść na niezdarę przed Nat, a tym bardziej przed Danielem, który okazał się wyjątkowo dobrym trenerem. Kiedy motywował nas do wytężonego wysiłku, jego uśmiech przypominał mi trochę knującego coś po cichu Grincha, co wraz z androgeniczną urodą i sprężystym ciałem nadawało mu aurę kogoś nie z tej ziemi. Swobodny, pewny siebie, ale nie władczy, jako lider naszej grupy zrobił na mnie dobre wrażenie. Czy poza salą był też fajnym gościem, wartym uczuć Nat? Tego jeszcze nie wiedziałam, ale miałam nadzieję, że tak.

Jedziemy teraz na wernisaż wozem Daniela, starym, ale zadbanym audi, które wydaje z siebie takie pomruki, jakby na najbliższym zakręcie miało wyzionąć ducha. Obserwuję ich z tyłu. Chemia, która była między nimi na treningu, teraz dosłownie ich rozsadza. Cieszę się, widząc Nat znów szczęśliwą, bo po spektakularnym zerwaniu z poprzednim chłopakiem przez ostatnie miesiące chodziła jak struta. Po kilkuminutowej jeździe wreszcie zwalniamy i zatrzymujemy się na czerwonym świetle przy zjeździe do centrum. Daniel trzyma jedną rękę na kierownicy, drugą kładzie na udzie Nat. Ten sygnał moja przyjaciółka natychmiast podłapuje. Chwyta Daniela za policzek i, wbijając paznokcie w jego szyję, wsuwa mu język do ust, potem do ucha. Kiedy go wyciąga, Daniel wydaje z siebie niski pomruk podniecenia. Przez ostatnie dwa lata prawie zapomniałam, jak to jest.

– Jak było? – Daniel zwraca się do mnie, zlizuje smak Nat ze swoich warg. Przez moment wydaje mi się, że pyta o ich pocałunek. Widzę jego twarz w lusterku. Dopiero teraz, kiedy Nat zapala lampkę, by poprawić

szminkę, zauważam, że jego oczy mają turkusową barwę, a w podbródku ma niewielki dołek – kolejna cecha, która może działać na dziewczynę jak magnes.

Unoszę się wyżej na siedzeniu i szczerzę zęby, by na twarzy lepiej było widać moje zmęczenie.

– Sam widzisz.

– Jeśli to twoje pierwsze ćwiczenia po tak długiej przerwie, to szacun, udało ci się. Nat wspominała, że piszesz – mówi, kiedy wrzuca dwójkę.

Modłę się, by Nat przy okazji nie wspominała mu, że cały zeszły rok spędziłam w szpitalu psychiatrycznym. Kręci uspokajająco głową, zupełnie jakby odczytywała moje obawy. Do końca nie jestem pewna, czy to się tyczy mojej przeszłości, czy może wczorajszego wieczoru. Mam szczerą nadzieję, że nie wydała mnie w żadnej sprawie.

– Mam chwilową przerwę, ale, faktycznie, wydałam wcześniej kilka książek. Właściwie to siadam właśnie do kolejnej – kłamię. – Od jak dawna jesteś trenerem? – rzucam, byle o coś spytać.

– W Rivierze pracuję dopiero od miesiąca. Ale prowadzę zajęcia z krav magi. Może będziesz chciała kiedyś spróbować?

– To sztuka walki – dorzuca wyjaśniająco Nat, a palcem wpycha do ust paseczek gumy do żucia. – To jest dopiero hardcore. Słowo!

– Po dzisiejszym pewnie nie tak prędko spróbuję czegokolwiek – reaguję. – Dałeś nam niezły wycisk. Ale było super – dodaję szybko, posyłając mu uśmiech.

Daniel nagle zwalnia i wskazuje na plakat wiszący na słupie. Wielkie litery układające się w nazwisko mojego sąsiada błyszczą gustowną czernią na białym, kredowym tle. Jesteśmy prawie na miejscu.

– Co to w ogóle za gość? Serio jest na tyle dobry, że ściągnął tu takie tłumy? – pyta Daniel na widok chmary ludzi zbierających się przed galerią.

– Nie wiem – odpowiadam, mrużąc oczy. – Właśnie mam zamiar lepiej mu się przyjrzeć.

Kiedy przejeżdżamy tuż pod budynkiem Gdyńskiego Centrum Filmowego, na chodniku pod galerią stoją dwie ekskluzywne gabloty. Dotychczas widziałam takie tylko na billboardach: czerwony chevrolet cabrio

i grafitowe ferrari aż się proszą, by wślizgnąć się za kierownicę i do dechy docisnąć pedał gazu. Parkujemy w prostopadłej do galerii uliczce, a od wejścia dzieli nas zaledwie kilka kroków. Choć do kina studyjnego, które mieści się w tym samym budynku, chodzę dość często, jego futurystyczna bryła wciąż robi na mnie wrażenie. Jest jak ogromna, szklana rękojeść pistoletu. Podświetlona elewacja rzuca jasne światło na białe, lśniące płytki i kłębiących się przed wejściem gości. Noszą wyszukane upięcia, zaprasowane koszule i jedwabne bluzki, roztaczają wokół siebie woń drogich perfum.

Ustawiam się w kolejce za facetem w lnianych spodniach. Zastanawiam się, czy wciąż daje się wyczuć moje wczorajsze pijaństwo, głęboko ukryte w porach skóry. Mimo że po treningu wzięłam prysznic i zmieniłam ubranie, i tak czuję się cała lepka. Pocięszam się, że Nat w zasadzie nie wygląda dużo lepiej.

Kiedy docieramy wreszcie do wejścia, od progu wita nas przeszklona przestrzeń i pękata pluszowa kanapa w kształcie kobiecych ust. Nie zatrzymujemy się tam na dłużej. Fala napływających wciąż ludzi wymusza na nas przejście do kolejnego pomieszczenia, przeszklonej sali na planie prostokąta. Pod ścianą stoją patery z przekąskami i kieliszki, niektóre puste, inne napełnione szampanem. Na ich widok rozpadam się na milion kawałeczków. Schłodzone bąbelki są tym, czego mi teraz naprawdę trzeba. Gdyby nie stali tam ci wszyscy eleganccy ludzie, wyzbyłabym się wszelkich hamulców i sięgnęła po jedną lampkę. By się dłużej nie katować, odrywam od nich wzrok i zawieszam go na panoramicznej ścianie. Są na niej kolorowe fotografie, ale stoję zbyt daleko, by móc przyjrzeć się szczegółom.

W lewym narożniku sali, wokół stolika albo gabloty, zebrała się grupka czterech kobiet, patrzą na coś jak wygłodniałe stado sępów. Zanim sprawdzę, co wzbudza w nich takie zainteresowanie, staram się zlokalizować Bartosza Wolnego. Stoi pod ścianą w stalowoszarej marynarce, dzinsach i białych adidasach. Wygląda lepiej niż dzisiejszego poranka. W jego stronę zmierza właśnie pulchna kobieta po pięćdziesiątce, połyskując złotymi naszyjnikami i masywnymi pierścionkami. Rzuca się Wolnemu na szyję, a za moimi plecami rozlega się odgłos korka wyciągniętego z butelki. Jak spod ziemi wyrasta obok mnie Daniel, trzymając dwa kieliszki, jeden dla mnie, drugi dla Nat. Natalia, gapiąc się sugestywnie na moją lampkę szampana, odstawia

pantomimę pod tytułem „Tylko nie przeginaj!”, w odpowiedzi dostaje ode mnie spojrzeń mówiące „Nie baw się w moją matkę”.

Przykładam usta do krawędzi kieliszka i wypijam szampana do dna.

Tracę na moment Wolnego z oczu, mija chwila, nim lokalizuję go na nowo. Stoi teraz przy paterach z ciasteczkami i rozmawia z jakąś parą oraz kilkuletnią dziewczynką. Łysy chudzielec o mysiej twarzy ma przynajmniej sześćdziesiątkę. Jego rozbiegany wzrok krąży między twarzą a biustem żony. Kobieta jest przynajmniej o trzydzieści lat młodsza od swojego partnera. Wije się przed mężczyznami jak piskorz; nie wiem, czy ten taniec godowy jest przeznaczony dla męża, czy może dla Wolnego. Kobieta ma spódniczkę, która kończy się kilka centymetrów poniżej jej krocza, a skąpa koszulka eksponuje płaski brzuch i rozkołysane piersi. Jej uśmiech wydaje się trochę obłąkany. Jeśli to w jakiś sposób porusza Wolnego, nie daje tego po sobie poznać. Blond włosy i niebieskie, wodniste jak u ryby oczy świadczą o tym, że dziewczynka, którą kobieta trzyma za rękę, pochodzi od niej. Oby nie została wychowana na modłę swojej mamusi, bo inaczej najpewniej i ona będzie w przyszłości zdana na marny seks z jakimś podtatusiałym bogatym facetem.

– Zagryź chociaż tym, nie pij alko na pusty żołądek po takim wysiłku, bo odstawisz tu zaraz jakiś cyrk – brzęczy mi Nat nad uchem i trąca mnie łokciem.

W rękę wpycha mi ociekające lukrem ciasteczko.

– Idę siku – słyszę jej oddalający się głos.

– Okej – mruczę i kieruję się w stronę jakiegoś stolika, wokół którego tłoczyły się przed chwilą cztery kobiety, teraz stoi ich tam już sześć i jeszcze jakiś facet. Mijam Wolnego. Zauważa mnie i bez słowa kiwamy sobie głowami, wymieniając uśmiechy.

Nagle wyłania się przede mną ramka z biało-czarnym zdjęciem pięknej kobiety. Ma jasną twarz, szczery uśmiech i idealnie białe zęby. Widziałam ją wielokrotnie, kiedy przeglądałam artykuły o jej tragicznej śmierci.

Tę wystawę dedykuję *Idze, swojej żonie* – obwieszcza srebrna tabliczka w prawym narożniku ramki. Iga z fotografii jest tak rzeczywista, że mogę sobie bez trudu wyobrazić, jak powoli materializuje się tutaj piękna i charyzmatyczna, żywa. Ktoś obok mnie pije szampana, ktoś wpisuje się do

księgi gości, a Iga wciąż tkwi nieruchomo w ramce. Ja natomiast czuję w głowie pustkę, a w ustach ciepłe opary alkoholu.

Odchodzę od stolika i idę w stronę tac z szampanem, by zebrać myśli i zejść wszystkim z drogi. Nawet nie sięgam po nową lampkę, odbieram ją zwyczajnie od kogoś, kto puszcza w obieg następną kolejkę. Kiedy opróżniam kieliszek, czuję lekki i przyjemny rausz. Szampan uwalnia swoją pierwszą falę optymizmu i rozluźnia napięcie w moim karku. Gwar rozmów milknie wraz z pojawieniem się faceta w czarnym, eleganckim garniturze. Jest dobrze po pięćdziesiątce. Wchodzi na niewielkie podwyższenie między blatem szklanego stołu a ścianą i przedstawia się jako dyrektor galerii. Opisuje genezę wystawy i pierwotny zamysł Wolnego, a ja słucham ze szczerym zainteresowaniem.

– „Tunel czasu” to nie jednorazowy, gładki artystycznie strzał, ale okupiona trudem wieloletnia podróż po pięciu kontynentach, apel z ważnym przesłaniem – niesie się po sali głos dyrektora.

Nie zdążyłam rzucić okiem na żadną z fotografii, ale już sam zamysł brzmi intrygująco. Podobno każdego roku przez kolejnych piętnaście lat Bartosz odwiedzał pięć rodzin mieszkających w różnych zakątkach świata, żyjących w całkowicie odmiennych środowiskach; ludzi o różnym statusie materialnym i wykształceniu. Każde kolejne zdjęcie tej samej rodziny robione było na tle fotografii z lat poprzednich, tworząc kolaż z różnych warstw czasoprzestrzeni. Myślę o tym, ile determinacji i cierpliwości potrzeba było, by dojść do tego punktu, do tego konkretnego wieczoru. Za tę pasję i nowatorstwo bardzo go w tej chwili cenię.

– Na niektórych fotografiach – zapowiada dyrektor – pojawią się nowi członkowie rodziny, inni będą znikać. Zmieniają się też miejsca, relacje międzyludzkie, rządzące nimi emocje. Zobaczcie i oceńcie państwo sami – dodaje i usuwa się na bok.

Po przetaczającej się po sali fali gromkich oklasków na podest wchodzi Wolny. Wydaje się trochę skrępowany, jakby peszył go ten szum wokół jego osoby. Z pochyloną do przodu sylwetką i mikrofonem trzymanym od niechcienia nie sprawia wrażenia kogoś, kto czuje się swobodnie na scenie. W lakonicznych słowach zaprasza na wystawę, mówiąc, że to w taki, a nie inny sposób chce wyrażać siebie. Potem znika gdzieś w tłumie.

Wykorzystując ogólne zamieszanie, sięgam po następną lampkę szampana. Od razu czuję, że przesadziłam, bo odurzenie weszło już w niebezpieczną fazę. Moja twarz robi się spięta i rozpalona, ale i tak już nic nie mogę na to poradzić. Kiedy wpada na mnie Nat, w ostatniej chwili udaje mi się odepchnąć kieliszek na krawędź stołu. Chyba nie jest ze mną aż tak źle, bo nie prawi mi kazań i pyta tylko, czy chcę razem z nią i Danielem obejrzeć wystawę. Odpowiadam, że wolę to zrobić w swoim tempie. Kiwa więc głową i szepce konspiracyjnie, że i ona będzie czujna.

Kiedy oboje znikają mi z pola widzenia, z unoszących się nad moją głową pochwał wyławiam słowo „Iga”. Pada chyba z ust tej kuso odzianej blondynki z rybimi oczami. Stoi oddalona o dwa, może trzy metry ode mnie. Przedzieram się przez tłum, ale rausz wcale mi tego nie ułatwia.

Kolaż, który mam teraz przed oczami, jest inny niż wszystkie kompozycje. Jest na nim tylko pięć fotografii. **My** – oznajmia tytuł naniesiony na biały pasek pogrubioną kursywą. Z czterech pierwszych zdjęć bije niemal jakieś odrealnione szczęście dwojga zakochanych w sobie ludzi.

Na ostatnim portrecie Wolny stoi sam, zupełnie inny, jakby ktoś odebrał mu całą chęć życia. Nie jestem jednak przekonana, ile w tym ostatnim ujęciu jest prawdy.

– Och, popatrz tylko! Byli tacy szczęśliwi – mówi do mnie blondyna zbyt melodramatycznie, bym mogła jej uwierzyć.

Wyciąga z czarnej lakierowanej torebki telefon i robi kolażowi zdjęcie. Potem drugie i trzecie. Z zoomem. I bez. W orientacji pionowej. I poziomej. Nie wiem, po co. Dopiero kiedy na ósme, zadowolające ją ujęcie nakłada migoczący brokatem GIF rozdartego serduszka, dociera do mnie, że chce je wstawiać na swoje Instastory.

– Och, nie mogę uwierzyć, że to tak się skończyło – zawodzi i otwartą dłonią uderza się w pierś.

A ja wiem, że ciebie jednak kręcą takie sensacje. Nie przyszłaś tu, żeby czegoś doświadczyć, przyszłaś tylko po to, żeby udowodnić, że twoje życie u boku tego starego pryka wcale nie jest takie żałosne. I serio, nigdy nie przemknęło ci przez myśl, że Wolny mógł sprzątnąć swoją żonę?! Takie zamroczone ketrelem i alkoholem myśli tłuką mi się w głowie.

W miarę jak te myśli cichną, milkną też głosy dookoła mnie. W zgięciu

łokcia czuję nagłe szarpnięcie. Podnoszę wzrok i napotykam kilka wściekłych par oczu wycelowanych we mnie jak sztylet. Nie wiem, o co im chodzi, ale wokół unosi się zapach ogólnego potępienia. Instynktownie próbuję się uwolnić, ale uścisk jest jeszcze mocniejszy.

– Myślę, że powinna pani ochłonać. Na zewnątrz. – To chudzielec. Głos ma ostry i natarczywy. W jego oczach widzę wzburzenie.

Przecież to niemożliwe, żebym wypowiedziała tamte słowa na głos.

– Puść ją! – Daniel wyrasta jak spod ziemi. – Mówię poważnie.

Uścisk słabnie.

– Chodź, zmywamy się stąd – szepce mi do ucha Nat.

Jeszcze trochę oszołomiona, ulegam jej łagodnemu, ale stanowczemu uściskowi i pozwalam wyprowadzić się z sali. Tłum falujących mi przed oczami sylwetek rozprasza się przed nami i wypuszcza nas gładko na zewnątrz. Jest już czarno, zupełnie jakby rozlany atrament wsiąkł w ulice, budynki i drzewa. Tylko oświetlony żółtym światłem krzyż na szczycie Kamiennej Góry wybija się z mroku, przypominając mi wycelowany w niebo palec boży.

– To było niezłe – słyszę czyjś głos za moimi plecami.

Odwracam się w jego stronę. Drzwi za zgrabną, elegancką kobietą w czerwonej garsonce zamykają się z głośnym kliknięciem. Opiera stopę o szklaną ścianę i zapala papierosa z nonszalancją aktorki filmowej. Jest mniej więcej w moim wieku.

– Nie jesteś jedyną osobą, która myśli, że to nie był zwykły wypadek. Tylko nikt nigdy nie mówi o tym głośno.

I właśnie wtedy urywa mi się film.

# Rozdział siódmy

*14 października 2018  
południe*

Trzeba na moment zanurzyć się w innym świecie, aby lepiej zrozumieć swój własny. Tej wymówki używam za każdym razem, kiedy sięgam po kieliszek wina w nadziei, że jeden niewinny łyk przeniesie mnie w krainę chwilowego szczęścia. Liczę, że wymaże z pamięci te wspomnienia, których ja sama nie potrafię zablokować. Że wypełni pustkę przynajmniej w moim łóżku. Że stanie się doraźnym pocieszycielem. Do tego ciągu mogłabym bez zająknięcia dokładać kolejne wiarygodnie brzmiące argumenty.

Marny to jednak pretekst wobec tego, jak wyglądam i jak podle czuję się teraz. Jest południe, a ja dopiero dobudzam się na wilgotnym prześcieradle o słodkawym zapachu potu, otumaniona i lepka. Trzę zaschniętą w kącikach ust ślinę, która zdążyła zamienić się w cieką skorupę, a teraz kruszy się jak zakrzepły strup pod moim palcem. Z odrazą patrzę na swoją pościel. Resztki rozmazanego tuszu i szminki w miejscach, gdzie twarz zetknęła się z materiałem, barwią biel granatowo-czerwonymi plamami. Są nawet tam, gdzie zazwyczaj powinny znajdować się stopy. Nie wiem, o co tu chodzi. Na oparciu krzesła, bez ładu i składu, leżą wczorajsze ciuchy. Jestem niemal pewna, że nie ja je z siebie ściągnęłam. Nie ja włożyłam na siebie tę szkaradną niebieską piżamę, która już dawno temu powinna wylądować w koszu na śmieci.

Jest kolejnym dowodem, że wczoraj ostro przegięłam i zapewne popsułam Bartoszowi Wolnemu ważny dla niego wieczór, na który, w artystycznym sensie, z pewnością sobie zasłużył. Przed nim, jego gośćmi i Danielem wysłałam na pozbawioną wszelkich hamulców idiotkę. Na własne życzenie. Po raz pierwszy od dłuższego czasu do tego stopnia utraciłam nad sobą kontrolę i jest mi za siebie naprawdę wstyd.



Nie mam żadnych dowodów potwierdzających moje podejrzenia wobec Wolnego. Powinnam po prostu stulić dziób i szukać prawdy. Akurat tego, co chlapnęłam, nie żałuję. Widok tamtej pary, dosłownie gotującej się z wściekłości, był tego wart. Ale przy okazji ściągnęłam na siebie uwagę wszystkich obecnych.

Nat, pamiętam to jak przez mgłę, zaczęła mi już nad ranem marudzić o pójściu na terapię. Oczywiście, nie zgodzę się na to. Nie jestem tego rodzaju alkoholiczką. Kiedy trzeba, czyli wtedy, gdy mam wytyczony konkretny cel, potrafię zachować trzeźwość.

Na zawieszonej przede mną korkowej tablicy widnieją zebrane przeze mnie informacje oraz lista zadań na dziś. Ze zrealizowaniem pierwszego mam już czasową obsuwę. Teraz w przypływie poczucia winy wyciągam z szuflady swój przyborek: szkicownik, paczkę chusteczek, gumkę i ołówek. Jestem gotowa, by zacząć.

Zagrzebuję się znowu w pościeli i rozkładam wszystko przed sobą. Sięgam po ołówek z taką samą precyzją, z jaką dobry chirurg chwytą swoje narzędzia pracy. Ale we mnie nie ma ani spokoju, ani opanowania. Moja dłoń drży nad blokiem, w pierwszej chwili w ogóle wątpię, czy dam radę narysować twarz kobiety spod czwórki. Niepotrzebnie się martwię. Po chwili łapię ostrość, a ręka sama mnie prowadzi. Jedną za drugą stawiam pewnie kreski, które przechodzą w krzywizny twarzy, nosa, ust, czoła i wreszcie uszu. W pewnym momencie owijam chusteczką palec wskazujący i rozcieram cienie. Dopiero wtedy obca kobieta zerkająca na mnie z kartki powoli zaczyna przypominać tamtą. Gumką zbieram nadmiar cienia, wprowadzam jasne smugi światła. Dwie godziny mijają jak ułamek sekundy i tylko stojący na stoliku zegar przypomina mi o tym, że czas rządzi się własnymi prawami.

Kiedy kończę, wstaję z łóżka i podchodzę do biurka. Jedną ręką sięgam po telefon i wystukuję wiadomość do Buzza, drugą kładę portret na szybie skanera i naciskam czerwony przycisk. Urządzenie buczy, a zaraz potem obraz pojawia się na ekranie laptopa. Jednym kliknięciem otwieram przeglądarkę Tora, drugim załączam plik, trzecim naciskam pole okienka odbiorcy. Wypełniam je i klikam *wyślij*. Kilka minut później dostaję wiadomość od Buzza.

Buzz Superstar: *Miałaś to przesłać wczoraj.*

*Przepraszam, coś mi wypadło. Zajmiesz się tym od razu?*

Buzz Superstar: *To będzie cię kosztowało trochę extra.*

*Zrób co trzeba, okej? Zapłacę.*

Kiedy czekam na wiadomość, natrętne burczenie w brzuchu przypomina mi, że nie miałam niczego w ustach od poprzedniego wieczoru. Idę do kuchni, z lodówki wyjmuję wodę, pociągam kilka chłodnych łyków i zagryzam suchą bułką. Potem wchodzę pod prysznic. Czuję, jak wraz z brudem w odpływie znikają zamglone wspomnienia z wczorajszej wystawy. Widziane teraz, już całkiem na trzeźwo, za cholerę nie wypadają nawet ciut lepiej. Mówi się – trudno.

Owinięta w ręcznik, siadam na koszu do brudnej bielizny i czekam. Nie mija więcej niż dwadzieścia minut, kiedy telefon wibruje mi w mokrej jeszcze dłoni. To Buzz.

Buzz Superstar: *Sprawdziłem. Nie mam perfect matcha, ale jeden z nich wygląda całkiem obiecująco.*

Nastaje chwila przerwy. Ale po migającym w okienku komunikatora wielokropku poznaję, że Buzz zbiera się, żeby powiedzieć coś jeszcze.

Buzz Superstar: *Szukasz kogoś, kto może się ukrywać?*

*Skąd wiesz?*

Buzz Superstar: *Find Face to zdolna bestia. Wiesz, że jego algorytm przetwarza nie tylko zmienne cechy fizyczne?*

*Zmienne cechy fizyczne? Czyli co?*

Buzz Superstar: *Uwzględnia nie tylko takie dane jak kolor oczu, długość włosów czy kształt nosa. To można łatwo zmienić, by oszukać niewprawne oko. Find Face bierze pod uwagę przede wszystkim anatomiczne cechy twarzy: jej symetrię, układ kości, czaszkę, nawet dojrzałość. A to zmienić już trudniej, chyba że ktoś robi sobie operację plastyczną na full wypasie. Piszę o tym po to, żebyś nie odrzucała pozostałych dziewięciu wyników, które ci podlinkowałem. Uruchom wyobraźnię, dziewczyno! Dopiero tam robi się ciekawie!*

Nie czekając na kolejne wiadomości, z przejściem odświeżam skrzynkę

pocztową. Znajduję w mejlu od Buzza dziesięć linków. Klikam na każdy z nich o kilka razy za dużo. Wszystkie odsyłają do kont użytkowników Naszej Klasy. Pierwsze dwa profile nie wyglądają w żaden sposób znajomo. Z trzecim jest za to zupełnie inaczej. Nos kobiety na fotografii profilowej jest, co prawda, perkaty, a nie mały i zadarty, jak ja go zapamiętałam. Ale to w zasadzie nic nie znaczy, mogła go faktycznie ulepszyć wprawna ręka chirurga plastycznego. Jest jeszcze kilka innych elementów, które nie pasują do portretu rysującego się w mojej głowie. Twarz kobiety na fotce jest dużo młodsza, a jej cera świetlista i upstrzona piegami. Jest w niej też swoboda, jakiś mimiczny ruch, którego nie widziałam w twarzy Joanny, bardziej przypominającej mi beznamietną, nieruchomą maskę niż fragment żywego organizmu. Oczy tamtej dziewczyny nie są brązowe, tylko jasnozielone. A przede wszystkim jest w nich radość i ciekawość życia, która dawno zgasła w kobiecie spod czwórki. Dziewczyna na zdjęciu ma włosy dużo krótsze i rude. To jeszcze nie wszystko. Kobieta na fotografii w lewej dłoni trzyma papierosa i jest otoczona kłębam szarego dymu. Mojej lokatorki ani razu nie widziałam z fajką w ręku. Na jej rzeczach ani w samym pokoju nie wyczułam zapachu tytoniu.

Mimo tych wszystkich niezgodności nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że patrzę na tę samą osobę. Kobiety dzieli od siebie kilka lat i parę celowo wyretuszowanych szczegółów. Tylko to. Otwieram nową kartę i w wyszukiwarce wpisuję *Dominika Kalita* – imię i nazwisko, które podaje mi Nasza Klasa. Nie znajduję na jej temat zbyt wiele, ale Google podpowiada mi, by zamienić *Kalita* na *Łukasiewicz*, co posłusznie robię. To faktycznie ta sama osoba, po ślubie przyjęła nazwisko męża. Nowe wyszukanie daje ponad tysiąc wyników. Całkiem nieźle. Tylko że nawet nie wiem, od czego zacząć.

Trochę na chybił trafił wchodzę więc na jej profil facebookowy, z którego wynika, że Dominika jest wziętą wizażystką i *make-up artist* mającą ponad trzydzieści tysięcy followersów. Na licznych zdjęciach Łukasiewicz przypomina tę wersję Dominiki, do której dotarł Buzz – władczą i czerpiącą z życia bizneswoman o kasztanowych włosach i przenikliwie zielonych oczach. Od sierpnia 2016 roku, czyli od nieco ponad dwóch lat, kiedy to załadowała ostatnią relację z Targów Wizażu, jej profil nie był aktualizowany. Wydaje mi się to dziwne, zważywszy, że wcześniej regularnie dodawała do niego posty i zdjęcia. Nie zwracam na to szczególnej

uwagi, bo wiem, że na temat tej kobiety znajdę w sieci dużo więcej.

Zamykam stronę i wracam do zakładki „wiadomości”. Bombardują mnie stamtąd doniesienia medialne z września i października 2016 roku, co mniej więcej pokrywa się z ostatnim wpisem na Facebooku. Przez nagłówki internetowych artykułów przewijają się wciąż te same słowa. Przebiegam po nich wzrokiem i cała drętwieję. Nic z tego nie rozumiem.

„Trzecia ofiara seryjnego mordercy”

„Zabójca z Obwodnicy uderza kolejny raz”

„Słynna wizażystka zamordowana”

„Krwawy horror na trójmiejskiej ekspresówce trwa”

Czytelnicy brukowców mogli zagubić się w natłoku brutalnych zamazanych fot i krzykliwych przymiotników, za to czytelnicy dzienników musieli zdać się tylko na fakty. Wszystkie na ten sam temat. Każda z publikacji, do której zjrzałam, relacjonowała podobny przebieg zdarzeń z nocy 31 sierpnia kończący się zawsze w ten sam sposób: śmiercią Dominiki Kality albo, jak kto woli, Dominiki Łukasiewicz.

Większość zdjęć ofiary zestawionych było ze zdjęciem mordercy. Kroczył na nim sztywno jakimś korytarzem z kajdankami na rękach. Gdyby nie jego naznaczony szaleństwem uśmieszek i zaniedbane, postrzępione włosy, wyglądałby na przeciętnego podtatusiałego pięćdziesięciolatka. Przybliżyłam jego twarz. Oczy miał stalowoszare, a spojrzenie zimne jak skute lodem jezioro. Między nim a Dominiką nie było podobno żadnych powiązań. To, co ją spotkało przy zjeździe z obwodnicy na Dąbrowę, było raczej perfidnym zrządzeniem losu. Według oficjalnej wersji policji makijażystka była trzecią i ostatnią ofiarą mordercy okrzykniętego Rozpruwaczem z Obwodnicy. Wielokrotnie dźgnięte kobiety z podciętym gardłem znaleziono odpowiednio cztery i osiem miesięcy wcześniej na siedzeniu kierowcy ich zaparkowanych na poboczu samochodów w okolicy zjazdu z trójmiejskiej ekspresówki. Czarnego mercedesa klasy A należącego do pierwszej ofiary, Klaudii Nowaczyk, trzydziestoletniej farmaceutki, znaleziono nieopodal węzła „Chylonia”. Okazało się, że kobieta była w Gdyni tylko przejazdem, z wizytą u swoich rodziców. Czerwonego saaba aero prowadziła Anna Lebioda, czterdziestoletnia gospodyni domowa, matka czworga dzieci. Jej samochód stał na włączonych światłach, na poboczu drogi, w niewielkiej odległości od

zjazdu na „Port”. Różne miejsca, niepowiązane ze sobą kobiety, znalezione martwe w pobliżu tej samej drogi. Tak jakby Rozpruwacz zatrzymywał je na chybił trafił. Kolejny wybrany przez niego zjazd, kolejne przypadkowe trofeum.

Świadkowie, którzy tamtędy przejeżdżali mniej więcej wtedy, kiedy dochodziło do kolejnego zabójstwa, twierdzili, że nic nie wzbudzało podejrzeń. Obok zaparkowanego tam samochodu stał wóz policyjny. Nikt nie przypuszczał, że psychopatyczny morderca był w policyjnym mundurze.

Trzecia zbrodnia dokonana na Dominice różniła się jednak od dwóch pozostałych. W jej sportowym audi nie znaleziono zwłok, a tylko ślady po krwawej jatce. Dwa litry krwi, które straciła w wyniku obrażeń, częściowo wsiąkły w fotel i pokryły deskę rozdzielczą, reszta spłynęła na gumowe dywaniki pod jej stopami. Jeden artykuł, pewnie w nawiązaniu do obrazu miejsca zbrodni, nosił tytuł „Krwawe rynny”. Zdaniem eksperta kobieta nie mogła przeżyć czegoś takiego, bo musiałaby wykrwawić się w ciągu najwyżej kilkudziesięciu minut.

Uznano, że to Rozpruwacz, pięćdziesięciodwuletni Henryk Z., uwielbiany przez lokalną społeczność uczynny księgowy, odpowiadał i za tę zbrodnię. Schwytany kilka tygodni później, sam zresztą przyznał się do każdego z trzech morderstw. Ku niezadowoleniu śledczych nie potrafił jednak wskazać miejsca, w którym porzucił zwłoki. Zasłaniał się czymś w rodzaju utraty pamięci, co biegli określili syndromem wyparcia. Tak czy inaczej, został skazany za trzy morderstwa, a karę dożywocia odbywa w celi „N” w więziennym oddziale o zaostrowym rygorze przeznaczonym dla szczególnie niebezpiecznych przestępców. Mniej więcej w tym samym czasie, w którym Rozpruwacz trafił za kratki, pusta trumna, ozdobiona tabliczką, na której zanotowano datę urodzin i śmierci Dominiki, spoczęła dwa metry pod ziemią na cmentarzu w Pierwoszynie.

Nie wiem jeszcze, o co tu chodzi, ale mam przeczucie, że coś cholernie śmierdzi. Skoro nie znaleziono ciała, które dwa lata później, wciąż ciepłe i żywe, zmaterializowało się w moim pensjonacie, oznacza to, że w jakiś sposób Dominice udało się wtedy ulotnić.

O ile się nie mylę, to właśnie wdepnęłam w niezłe bagno.

## Rozdział ósmy

*15 października 2018  
południe*

„Wiesz, czasami zastanawiam się, dlaczego to była Hania, a nie ty...”

Dokładnie tak brzmiały słowa wypowiedziane przez moją matkę czternaście miesięcy temu, kiedy widziałyśmy się po raz ostatni. Siedziałam wtedy na szpitalnym łóżku. Opierałam się plecami o jego metalową ramę, chłodną i orzeźwiającą, z nadzieją na to, że jednak mogłam się przesłyszeć.

Ale nie.

Dotarło do mnie dokładnie to, co chciała powiedzieć. Matka wparowała wtedy do mojego pokoju sprężystym krokiem, z koszem cytrusów pod pachą i krzepiącym, fałszywym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Jak zawsze ciągnęło się za nią słowo „sukces”, obce i tak bezdusznie brzmiące pośród wszystkich tych ludzi, którzy z całych sił starali się wyrwać ze szponów szaleństwa.

Z początku pomyślałam, że pod rondem słomkowego kapelusza, który widzę teraz z okna swojej kuchni, kryje się ktoś, kogo boję się choć trochę mniej. Ktoś, z kim nie łączą mnie więzy krwi, moje dzieciństwo ani te wszystkie wspomnienia okresu dorastania. Ale to właśnie srebrna honda mojej matki stoi na podjeździe, a ona sama napiera na uchyloną furtkę. Jest tak nierealna jak dyktowany halucynacjami obraz. Trę oczy, ale ona nadal prze do przodu, tak samo piękna, tak samo przerażająca. Nie zmieniła się przez ten rok. Ubrana w żółtą sukienkę z głębokim dekoltem i czerwone szpilki podkreślające jej długie, seksowne nogi, wygląda na dużo młodszą. Piaskowe włosy spięte przepaską połyskują na karku, kiedy lekkim krokiem idzie przez mój ganek. Poznaję ruch jej ciała. Jest w nim ta dobrze mi znana klasa, jakaś niewymuszona sensualność, wobec której wszyscy w jej

otoczeniu zwykle tracą rezon.

Jest i Adam, jej obecny partner. Jeszcze większe zakola na czole i te same rzednące blond włosy przyklejone po obu stronach płaskiej twarzy, z której wybija się ostry, szpiczasty nos. Błady i wychudły, jest jak jej duch, jak ślepo zapatrzony w nią cień. Z dwiema walizkami w rękach, dysząc, wlecze się za nią. Zachłannie korzysta z przyzwolenia na przebywanie u boku Królowej Matki. Jest całkowitym przeciwieństwem mojego ojca i absolutnym zaprzeczeniem tego, co zawsze pociągało ją u mężczyzn. Nie mam pojęcia, co ją zainteresowało w tym człowieku. Widzi zapewne jakieś korzyści. Nie chcę wiedzieć więcej.

Zbiegam na parter i ciałem przywieram do mahoniowej futryny – bariery dzielącej mnie od mojej matki. Podobno za każdymi zamkniętymi drzwiami czai się nadzieja. Za tymi, przy których stoję teraz ja, kryje się jeden z moich największych lęków. Nie do końca jestem pewna, czy to rozbudzona przez moją psychoterapeutkę świadomość, czy powodowany strachem odruch obronny, ale zwyczajnie coś każe mi nie otwierać.

Mam już dość chowania głowy w piasek. Odryglowuję trzy zamki i naciskam na klamkę, nim któreś z nich zdąży przycisnąć dzwonek. Wtedy staję z nią twarzą w twarz. Spojrzenie jej błękitnych błyszczących oczu zawiesza się na mnie. Obdarza mnie tym samym mdłym uśmiechem i jak zawsze taksującym spojrzeniem. Stoję nieruchomo, czuję niezgrabny uścisk dłoni; zupełnie jakby w ten sposób chciała mnie odsunąć na bok. Trwa ledwie ułamek sekundy.

– Co wy tutaj robicie? – udaje mi się wydusić.

– A cóż to za powitanie, córeczko? – mija mnie i dłonią zachęca Adama, by i on przeszedł z tobołami przez próg.

– Serio, po tym wszystkim liczyłaś na inne?

– Nie odbierasz moich telefonów, nie odpisujesz na wiadomości – mówi i rozgląda się po korytarzu, w jej oczach nie widzę ani aprobaty, ani potępienia. To nowość. – Martwię się. – Układa usta w maleńkie kółko.

Wiem, że to wierutne kłamstwo. Pod skórą czuję wrzenie. Terapeutka uświadomiła mi, że mój stan po przyjęciu na oddział wynikał nie tylko z tego, co zrobił mi Człowiek Bez Twarzy; on był wyłącznie iskrą, która odpaliła gotowy od dawna lont. To, co się ze mną działo, było też rezultatem

nawarstwienia się mojej relacji z matką i choć teraz mam tego pełną świadomość, nie powiedziałam jej wprost o tym, że wiem dobrze, jaką rolę odegrała moja matka. Wbrew swojej terapeutce uznałam, że samo odcięcie się od niej będzie najlepszą metodą i pozwoli mi skreślić ją ze swojego życia. Ale to nigdy nie okazało się możliwe. A teraz ona na nowo wchodzi z buciarami w moje życie.

– Zostajemy tu na kilka dni – oznajmia. – Chcę trochę побыć z tobą. – Mruży oczy, sonduje moją reakcję. – Poza tym chcemy z Adamem pozwiedzać.

– Ale... – Trzęsę się, a słowa zacinają mi się w ustach, chcę na poczekaniu wymyślić jakieś kłamstwo. – Wszystkie pokoje są zajęte. Ja też...

– Czyżby?! – Matka rozciąga usta w zwycięskim uśmiechu i podchodzi do jedyńki. W zamku wciąż tkwi klucz. Popycha go palcem, wprawiając breloczek w kołatanie. Klucze do pozostałych pokoi też sterczą w zamkach. Obie dobrze wiemy, że wszystkie są puste.

– Dopiero jutro spodziewam się gości. Będę miała urwanie głowy... – wyjaśniam. – Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać? – dodaję, by matka nie zdążyła zaprotestować.

– Trochę to przykre, że musiałam wyszukać twój pensjonat w internecie. Dziecko, chcę tylko porozmawiać. Wiem, że miałyśmy trudny czas, ale pragnę, by znów między nami się ułożyło – jej delikatny, kojący w tej chwili głos jest niczym miód lejący się na moje serce.

Znów?! – mam ochotę jej wykrzyczeć. To znaczy, że niby kiedyś było lepiej?! – mam na końcu języka. Ale milczę.

Kiedy patrzę na jej zatroskaną twarz, widzę na niej niemal szczerą chęć pojednania i znów prawie daję się nabrać. Ale zbyt mocno skrzywdziła mnie wcześniej, bym popełniła ten sam błąd. Jeśli – tak jak w mojej rodzinie – jad sący się powoli, po kropelce, na pewnym etapie możesz nie wyczuć trucizny. Ale ona jest podstępna. W coraz wyższym stężeniu wciąż krąży we krwi, a kiedy osiągnie apogeum, zabija.

Ona jest jednak moją matką i ta popieprzona biologiczna więź, a może wieczna chęć zrozumienia, o co mojej matce chodzi, sprawia, że nie jestem wciąż gotowa na to, by wyrzucić ją ze swojego domu. Przynajmniej nie dziś.



Zrobię to jutro. Do tego czasu coś wymyślę. Nim zdążę zareagować, moja matka i tak naciska na klamkę, po czym wraz z milczącym Adamem wchodzi do pokoju. Jasne, jak zawsze to ona, nikt inny, podejmuje ostateczną decyzję.

Kiedy kwadrans później kroję warzywa na sałatkę, a drugą ręką mieszam na patelni topiące się masło, myślę o tym, że jej przyjazd zburzył plan mojej dzisiejszej wizyty na komisariacie. Zdecydowałam, że to, co udało mi się zebrać w sprawie swojej lokatorki, przekażę policji. Mam już w ręku twarde dowody, a nie tylko mglistą teorię. Biorąc pod uwagę to, co odkryłam, nie mogę na własną rękę bawić się w detektywa. Jeszcze nie wiem, jak wytłumaczę się przed glinami z tego, w jaki sposób dotarłam do tożsamości Dominiki Kality. To i tak na razie najmniejszy problem.

Obiad nie jest zbyt wyszukany – risotto z kurczakiem i sałatką z dressingiem z rozmaitych ziół, bez których nie potrafię obejść się w kuchni. Ssę zacięty nożem palec, przez sokowirówkę przepuszczam kilka pomarańczy i liści jarmużu. Mimo presji czasu i obecności matki po całym domu roznosi się kojący zapach jedzenia. Siadamy przy stole. Serwetki, podkładki, świeże kwiaty, wyczyszczone na błysk sztućce i nawet ta pieprzona szklana kula z zatopionym w jej środku storczykiem. Wszystko ułożone w równych odległościach symetrycznie względem siebie. Oddycham w sposób, jaki nie powinien jej urazić. Nie muszę jej niczego udowadniać, ale mimo to nie chcę dawać matce pretekstu do słów krytyki.

– Jak klinika? – pytam najzwyczajniej, jak tylko potrafię.

To drugie ukochane dziecko mojej matki. Liczę, że ten temat zajmie nas na dłużej.

– Jesteś nie na bieżąco, skarbie. Otrzymaliśmy... – patrzy na Adama, jakby on miał coś z tym wspólnego, choć obie wiemy, że to tylko farsa. Przypomina kleszcza, który wczepił jej się w skórę. – Otrzymaliśmy – powtarza jednak, jakby chciała zrobić mi na złość – kolejne wyróżnienie za wdrożenie pionierskiej techniki podnoszenia i powiększenia piersi – mówi. – Mogłabyś sama skorzystać – patrzy na krągłości rysujące się pod moim swetrem. – Jako prezent od mamy – dodaje po chwili.

Krzywię się na każde z jej słów z osobna.

– Nie, dzięki. Jestem z nich zadowolona.

Na jej twarzy i poniżej linii brody szukam śladu chirurgicznej ingerencji. Tym się właśnie zajmuje. Moja matka jest specjalistką chirurgii plastycznej, rekonstrukcyjnej i estetycznej. Jako dziecko recytowałam z dumą te wyuczone określenia. Teraz brzmią w moich uszach pusto i szpetnie. Odkąd sięgam pamięcią, matka cierpiała na coś w rodzaju syndromu uciekającej poprzeczki. Perfekcjonizm i potrzeba aprobaty ze strony wszystkich i za wszelką cenę to, poza potrzebą rozwoju, zawsze były jej życiowe priorytety.

Z zupełnie innych pobudek niż te, które przyświecają jej teraz, założyła w latach dziewięćdziesiątych świetnie wyposażoną jak na tamte czasy klinikę. Jasne, w grę wchodziła też konkretna kasa, ale imponowała mi tym, że swoje umiejętności poświęciła przede wszystkim ludziom cierpiącym na wiele wad wrodzonych i zniekształceń pourazowych. Dla tych pacjentów zabieg oznaczał jedyną szansę na normalne życie. Matka podejmowała się też prób rekonstrukcji i replantacji utraconych części ciała, dzięki czemu w ciągu kilku lat stała się jedną z największych sław chirurgii plastycznej i rekonstrukcyjnej.

Tak było, kiedy żył mój ojciec. Po jego śmierci klinika uległa pewnemu przebranzowieniu. W jej bieżącej ofercie przebierać można wśród zniżkowych pakietów na korekcje powiek, nosa i uszu albo na lifting twarzy. Plastykę brzucha. Lifting ust. Powiększenie i podniesienie biustu. Lista możliwych upiększeń nie ma końca.

– A co u ciebie, Adam? – zwracam się do człowieka, z którego ust nie padło dzisiaj jeszcze żadne słowo poza zachowawczym „witaj”. Dziabie palcem w ekran komórki. Słyszając swoje imię, odsuwa od siebie telefon z taką siłą, jakby stał się on nagle radioaktywnym odpadem. Kręci się na krześle i niemal krztusi sałatką.

– Świetnie – odpowiada. – Ja... My...

– Pomówmy o tobie – przerywa mu matka. – Jak się tak naprawdę czujesz, Niko? Nie ma co się dziwić, że marnie wyglądasz, skoro pewnie stale jesz to, co właśnie nam podałaś – mówi, wydymając usta z niesmakiem.

Kęs kurczaka staje mi w gardle.

Przez dalszą część posiłku staram się nie dać sprowokować, ale próby hamowania wzbierającej we mnie wściekłości i cisnących mi się do oczu łez wypadają dość marnie. Czuję, że powieki mnie pieką, a policzki płoną. Nie

chcę jej mieć obok siebie ani chwili dłużej.

Nawet wtedy, kiedy żyła jeszcze Hania, często czułam, jakbym była dla niej jakąś kolejną przeszkodą. Na moją siostrzyczkę, delikatniejszą i nie tak krnąbrną jak ja, częściej spoglądała z aprobatą. W naturalnym odruchu wolałam spędzać czas z ojcem, który pokazał mi, czym jest prawdziwa rodzicielska miłość. Matka nigdy nie wiedziała, z kim się przyjaźnię, jaka jest moja ulubiona książka albo zabawa. Nie miała pojęcia o tym, jak nazywa się mój przyjaciel na niby ani co się dzieje w moich szkolnych zeszytach. A tym bardziej o tym, jakie radości i smutki mam w głowie. Tym także zajmował się tato.

Czasem tylko wciskała nas w urocze princeski i błyszczące lakierki, we włosy wpinała nam czerwone wstążki, w rękę wpychała kolorowego lizaka. Brała nas wtedy ze sobą na konferencje medyczne, na które była zapraszana – zwykle jako gość specjalny. Nie wiem, kim stawałyśmy się wtedy: tresowanymi zwierzątkami czy może obiektami służącymi do ocieplenia jej wizerunku? Siedząc w tym cukierkowym stroju w pierwszym rzędzie wielkiego audytorium, obserwowałam ją nieraz, jak z mównicy oczarowywała publiczność – w tym również i mnie. To były jedyne chwile uwagi, jaką od niej dostawałam. Po powrocie z takich wypadów na jej rozkaz szłam myć ręce, a kiedy wracałam z łazienki, zawsze zastawałam ją za zamkniętymi drzwiami jej pokoju. Tak jak teraz. To i tak moje najlepsze wspomnienia. O pozostałych, sięgających czasów, kiedy Hani już nie było, a ona obarczyła mnie winą za tamten wypadek, staram się nie myśleć.

Nasz wspólny posiłek wreszcie dobiegł końca. Z dwoma kompletami pościeli w rękach stoję teraz zawieszona między przeszłością a teraźniejszością pod zamkniętymi drzwiami jedyńki. Słyszę jej dźwięczny głos, który dobiega ze środka. Chyba rozmawia z kimś przez telefon. Raz po raz przez potok słów przewija się moje imię. Brzmi ostro, jak szpikulec wbijający się w lód. Zamiast wejść do środka, zwyczajnie podsłuchuję.

„Tak, jestem u Niki. Nie, wciąż jeszcze jest w rozsypce. Jak właściwie do tamtego doszło? Znasz historię ze stalkerem, tym jej psychofanem?”

Po drewnianej podłodze niesie się ożywiony stukot obcasów, a kiedy ustaje, z otwieranej butelki z wodą z sykiem ulatnia się gaz. Słyszę, jak przystawia ją do ust i wychyla kilka łyków.

„Policja nie reagowała. Odsyłali ją z kwitkiem za każdym razem, kiedy ten człowiek napastował ją jakimiś chorymi wiadomościami i makabrycznymi podarunkami. Twierdzili, że to jeszcze nie powód, by wydać mu zakaz zbliżania się do niej. Pieprzyli, że nie ma wystarczających dowodów na to, że on może kiedyś chcieć ją skrzywdzić. Kazali jej żyć w strachu i zbierać przeciwko niemu kolejne dowody, a sami nie kiwnęli nawet w tej sprawie palcem. /.../ Tak, wiem. /.../ Ech! /.../ Dokładnie. /.../ Masz rację. /.../ Jakaś paranoja. Ale to prawda, że pośród takiej znieczulicy i w takim chorym systemie żyjemy. Dlatego Marcin któregoś dnia wziął sprawy w swoje ręce. /.../ Tak, tak. To jej mąż. /.../ Wparował do mieszkania tego psychola z dwójką zakapturzonych mięśniaków, którzy zagrozili, że spuszczą mu łomot, jeśli nie przestanie. Wyobraź sobie, że on mieszkał tylko kilka ulic od Niki i Marcina. I nawet się z tym nie krył. Czuł się po prostu bezkarny. W każdym razie strategia Marcina poskutkowała, bo facet zniknął z horyzontu na kilka miesięcy. Potem okazało się, że to była tylko cisza przed burzą, bo przez mniej więcej pół roku szykował zemstę. Miesiąc przed terminem porodu...” – matka najpierw zawiesza głos, potem tylko go ścisza.

Zgięta w pół przyciskam się mocniej do drzwi, by móc lepiej ją zrozumieć. Nie wiem nawet, po co. Znam przecież dalszy ciąg tej historii.

„Kiedy wracała do domu, on już tam na nią czekał. Zaczaił się na klatce schodowej”.

Kolejna pauza.

„Nie chcę mówić o szczegółach”.

Ciężko wzdycha.

„To wciąż zbyt bolesne. Mojej wnuczki nie udało się uratować. A ciężki stan fizyczny Niki z czasem okazał się niczym w porównaniu ze spustoszeniem, które ten atak wywołał w jej psychice. Tydzień później usiłowała wyskoczyć przez okno szpitala, bo wydawało się jej, że mała żyje, ukrywana gdzieś przez pielęgniarki. W jakimś psychotycznym szale uznała, że musi uciec, aby ją znaleźć. W ostatniej chwili ściągnęli ją z parapetu okna na piątym piętrze. Wyobraź sobie ten koszmar. Kolejne halucynacje i urojenia. Nie mogłam patrzeć na to, jak moja własna córka popada w szaleństwo i staje się wrakiem człowieka. A w dodatku potem terapeutka włożyła jej jeszcze do głowy jakieś bzdury na mój temat, przez co Nika

traktuje mnie do teraz jak intruza, a nie matkę...”

Zadziwia mnie lekkość, z jaką przytacza tamte wydarzenia, robi to z dziennikarskim wręcz zacięciem. Zastanawiam się, który to już raz używa tego zestawu słów. Naprawdę chciałabym być wredną suką i po prostu pomylić się w swojej ocenie. Wiele dałabym, by móc kiedyś odszczekać swoje własne słowa. Ale wiem, że to się nigdy nie stanie.

Sama pamiętam z tamtego okresu tylko strzępy wydarzeń. Fragmenty wspomnień pozbawionych sensu i chronologicznego ciągu.

Dziekanka w Gnieźnie – placówka na obrzeżu krainy rozpaczy. Pierwszy rezonans magnetyczny. Błada skóra rąk w zgięciach łokci, podziurawiona fioletowiejącymi śladami po wkłuciach. Sztywna od krochmalu pościel, ostra jak tarka. To przez zmienioną, zbyt wrażliwą po lekach i nakłuciach skórę wydawała mi się zupełnie nieznośna. Prochy. Całe garście palących w przełyku psychotropów, ogłupiaczy i uspokajaczy. Kraty w oknach. Krajobraz roztaczający się za nimi zawsze wyglądał tak topornie. Biały sufit upstrzony odchodami owadów. Wlepiłam w niego swój tępy wzrok, kiedy zza okna o poranku dobiegał śpiew ptaków. Nie rozumiałam, co do cholery wprawia je w taki dobry nastrój, skoro mój świat zatrzymał swój bieg. I nadal stał w miejscu.

Krzepiące głosy nad moją głową. Szelest białych kitli. Nie ufałam tym obcym dźwiękom. Twarz nieznannej kobiety, podobno moja. Ona też nie wydawała mi się wiarygodna. Inna, jasna i czysta twarz młodej kobiety, powtarzającej raz za razem, że jest dobrze, a mój mózg w końcu się zablizni. Plakietka z odręcznie wykaligrafowanym nazwiskiem – dr Elżbieta Niżyńska – zawieszona na klapie jej fartucha. Niewiele więcej pamiętam z pierwszych kilkunastu tygodni w zakładzie psychiatrycznym.

Długotrwała psychoza reaktywna – tak brzmiała lekarska diagnoza.

Kolejne dni przeplatane grupową psychoterapią, końskimi dawkami leków przeciwpsychotycznych i wyjściami poza wąski prostokąt mojego pokoju i własnych myśli zwiastowały poprawę. Aż do pewnego poniedziałku, kiedy na łączeniu desek mojego łóżka znalazłam odstający rdzewiejący gwóźdź. Zahaczyłam o niego ramiączkiem od stanika i pociągnęłam. Z lekkością wyslizgnął się ze sztachetki, a ja, nawet z pewną bezradnością, patrzyłam, jak ręka robi swoje, a on chlasta mi oba nadgarstki. Wszystko to, co

wypracowałam przez trzy miesiące, wypłynęło ze mnie wraz z krwią kapiącą z poharatanych żył.

Odratowali mnie, a leczenie zaczęło się na nowo, jeszcze bardziej otepiające, jeszcze bardziej koszmarnie. Nie chcę pamiętać tamtej siebie. Wolę o niej, dawnej Nice, myśleć jak o obcej skrzywdzonej dziewczynie, której jest mi już tylko żal. Ale nie jest nam razem po drodze. Nie chcę się z nią zaprzyjaźnić ani tym bardziej wpuszczać pod dach swojego domu. Wiem dobrze, czym to grozi.

# Rozdział dziewiąty

16 października 2018

*rano*

Zatrząskuję za sobą drzwi komisariatu, odgradzając się od krzyku mew, które wściekle krążą nad moją głową, między ulicą a portem. W powietrzu unosi się zapach niewietrzonego od dawna pomieszczenia, kurzu i taniego płynu do podłóg. W dyżurce, za ubabraną jakimiś ludzkimi wydzielinami szybą, siedzi dwóch mężczyzn. Zarys szczęki pierwszego mundurowego właściwie przestał istnieć. Zniknął pod trzema fałdami tłuszczu, a doskonale okrągła twarz wygląda jak usmażony w oleju rumiany pączek. Usta i otaczające górną wargę wąsy rozciągnięte są w półuśmiechu. Sprawia przyjemne wrażenie. Ignoruję drugiego glinę o posępnym spojrzeniu, chudego i wysokiego jak tyczka, i zwracam się do pochylonego nad biurkiem grubaska.

– Chciałabym rozmawiać z detektywem Kubackim.

Z ust gliny znika uśmiech, zastępuje go pozioma kreska. Unosi też lewą brew.

– Jest pani umówiona?

– Nie, ale chciałam złożyć swój dowód w sprawie, którą on prowadzi.

– Pani nazwisko? – rzuca obcesowo, widzę, że taksuje mnie spojrzeniem.

– Werner. Nika Werner.

– Moment. Proszę zaczekać.

Chwyta słuchawkę w pulchną dłoń i wybiera numer. Wzrokiem odprowadza mnie w stronę rzędu obskurnych plastikowych krzeseł, skrytych w cieniu zawłaszczającym prawie połowę poczekalni. Siadam na jedynym bez wyszczerbionego siedziska i zerkam na wnękę w poczekalni. Przypomina

odpychający karny kąt z popękkanymi podłogowymi płytkami i ścianą oblepioną pożółkłymi plakatami informacyjnymi. Ciszę oczekiwania przerywa ciągły, rytmiczny dźwięk. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to ja trę rękami o dżinsy. W ten sposób zawsze odreagowuję stres. Nie wiem, ile czasu mija – pięć minut, może dziesięć. Wiercę się na skrawku niewygodnego plastiku. Chcę to załatwić jak najszybciej. Tym bardziej że lada moment do mojego domu zastuka instalator, żeby naprawić pieprzony bojler, który zepsuł się już trzeci raz w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Nat, dzięki Bogu, zgodziła się poczekać na tego faceta i wpuścić go do środka, jeśli nie zdążę wrócić na czas.

– Pani Werner? – Ciężkie, szklane drzwi puszczają na sygnał brzęczyka pod naporem krępych ramion. Poznają je.

Na widok Kubackiego kiwam głową, przyjaźnie i naturalnie. Wiem, że on pod tym niby neutralnym spojrzeniem kryje swoją niechęć do mnie, ale gestem zaprasza mnie do środka. Kiedy przechodzę przez drzwi, puszcza mnie przodem wąskim korytarzykiem, który skręca i rozwidla się kilkakrotnie, nim dojdziemy w końcu do małego pokoju z widokiem na port. Komputer na biurku, na nim sterta papierów i kilka teczek. Opróżniony do połowy kubek z czarną kawą. Na blacie, odwrócone do mnie grzbietem, stoi zdjęcie oprawione w szarą ramkę, jedyny osobisty element w tym bezosobowym pomieszczeniu. Ściany też są puste, jeśli nie liczyć zawieszanej na haku przekrzywionej mapy Gdyni. Kubacki siada na obrotowym fotelu, wskazuje na krzesło po drugiej stronie swojego biurka.

– Słucham. O czym chciała mi pani powiedzieć? – pyta, rozpierając się w fotelu.

Serce wyrywa mi się z piersi. W torebce mam kosmyk włosów, w teczce odręcznie narysowany portret. Chcę natychmiast zobaczyć, jak na widok tego, co przyniosłam, rzednie mu mina, ale jeszcze ich nie wyciągam.

– Jak postępy w śledztwie? Czy udało się już coś ustalić? – pytam. Staram się odczytywać język jego ciała.

Nie rusza się i nie patrzy mi w oczy. Wzrok utkwiał w dźwigu stojącym w porcie za oknem, jakby w tej kupie metalu starał się znaleźć właściwą odpowiedź.

– Sporządziłem notatkę z czynności podjętych tamtego wieczoru.



– Co to znaczy?

– Nich mnie pani posłucha uważnie... – wzdycha. – Dokonałem lustracji pomieszczenia, dobrze pani wie, że nie było tam śladu bytności osób trzecich ani żadnych uszkodzeń. Podane przez panią imię i nazwisko jest zbyt popularne, by tę kobietę udało się dokładnie spersonalizować.

– Może pan mówić konkretniej? – Niecierpliwie się. Tym razem chyba czubkiem buta stukam o nogę stołu.

– Nie będę przeciągał. – Kubacki przenosi wzrok z dźwigu na parapet, wreszcie zatrzymuje go na mnie. Splata palce i opiera ręce na blacie stołu, jakby miał gotowy wyrok w zasądzonej przez siebie sprawie. – Do tej pory nie wpłynęło zawiadomienie o zaginięciu kobiety, która odpowiadałaby podanemu przez panią rysopisowi.

– Do czego pan właściwie zmierza?

– Śledztwo nie zostało wszczęte. Na obecnym etapie żadne czynności w tej sprawie nie są podejmowane. Nie mam do tego żadnych podstaw. Ale oczywiście, jeśli pojawią się nowe dowody...

– To i tak nic pan z tym nie zrobi... – kończę za niego.

Kiedy wstaję i odstawiam krzesło, skrzypienie jego metalowych nóżek na podłodze niesie się z taką samą siłą, z jaką skrzypi kreda w dłoni zdenerwowanego ucznia sunąca po tablicy.

To koniec naszej rozmowy. Byłam idiotką, zakładając, że zrobi rozsądny użytek z tego, co chciałam mu powierzyć. Krzesło uderza o blat stołu z głośnym łupnięciem.

– Do widzenia – cedzę przez zęby.

Wychodzę, nawet na niego nie patrząc.

Nie mam żadnych znajomości w laboratorium kryminalistycznym ani nawet zaprzyjaźnionego gliniarza, z którym mogłabym pogadać, w nadziei, że mnie przynajmniej wysłucha. I będzie obiektywny. A sama od strony technicznej nie jestem w stanie zrobić nic. Wychodzę niezłe wkurwiona, zawłaszczam sobą całe przejście i potracam wchodzącego do komisariatu mężczyznę w czarnym prochowcu i skórzanych mokasynach. Teczka wypada mu z rąk.

– Przepraszam – mamroczę, schylając się, by ją podnieść.

– Wszystko w porządku? – pyta mężczyzna. Jego długi cień zatrzymuje się nade mną.

Wstaję i mu się przyglądam. Mężczyzna jest szczupły, ma koło pięćdziesiątki, pociągłą twarz i zaczesaną na czoło niemodną grzywkę. Patrzą na mnie wielkie i smutne błękitne oczy przywodzące mi na myśl psa Pluto. Ale jest w nich coś jeszcze, czego początkowo nie zauważyłam. Są bystre i czujne. Spojrzenie ma wręcz przenikliwe. To ono sprawia, że przypominam sobie tego człowieka. Kojarzę go ze zdjęć w prasie, może nawet z plakatów porozwieszanych w centrum. Kilka miesięcy temu, tuż po tym, jak przeprowadziłam się do Gdyni, w lokalnych mediach trąbiono o plebiscycie na trójmiejską Osobowość Roku.

Stojący nade mną mężczyzna to komendant Senny. Był jednym z nominowanych i ostatecznie został zwycięzcą plebiscytu. W zeszłym roku udaremnił nie tylko próbę tuszowania morderstwa, ale i dość konkretny przekręt dotyczący dwóch osób na eksponowanych stanowiskach – dyrektora teatru Nadbrzeże w Gdańsku i komendanta tutejszej dochodzeniówki. Ale to nie wszystko. Udało mu się z prawie stuprocentową skutecznością doprowadzić do końca kilkadziesiąt prowadzonych przez siebie spraw. Waham się tylko przez chwilę. Jest w nim coś, co wzbudza moje zaufanie.

– Możemy chwilę porozmawiać? – pytam.

Przygląda mi się, jakby i on usiłował połączyć moją twarz z jakimś obrazem w swojej pamięci. Jeszcze nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

– Za niecałą godzinę mam konferencję prasową...Proszę się zwrócić do któregoś z naszych śledczych.

Przyglądam mu się dokładniej. Widzę, że jest zmęczony, jakby nie przespał przynajmniej kilku nocy.

– Bardzo mi zależy, żeby dowody, które mam, przekazać bezpośrednio w pana ręce. Proszę, to potrwa najwyżej kilka minut. To naprawdę ważne.

Nie odpowiada. Robię krok do tyłu, by utrudnić mu ewentualnie wyminięcie mnie. I tak to robi, potem po prostu otwiera drzwi i przepuszcza mnie w przejściu. Dwaj gliniarze, którzy przyglądali nam się z dyżurki, witają Sennego, rzucając mi zdziwione spojrzenie.

Gabinet komendanta znajduje się za przeszklonymi drzwiami, w drugiej

wnęce po prawej stronie. Panuje w nim pedantyczny wręcz porządek. Segregatory ustawione są w jednej linii, krawędź żadnego z nich nie wystaje poza pozostałe. To samo dotyczy długopisów, temperówki i samoprzylepnych karteczek. Z dużego panoramicznego okna roztacza się widok na zieleni i dokujące w porcie statki. Parapet ugina się pod ciężarem siedmiu paprotek. W kącie stoi fikus, dwa kaktusy i zraszacz do kwiatów. Ufam ludziom, którzy pielęgnują życie, nawet jeśli chodzi tylko o rośliny. Siadamy, każde po swojej stronie biurka.

– O czym chciała pani ze mną rozmawiać?

Opowiadam mu o wszystkim, co wiem. Nie wspominam słowem o sobie i swoich problemach, rzecz jasna. To nie ma żadnego znaczenia. Wyciągam na blat swój rysunek oraz zabezpieczone w kopercie włosy. Kiedy kończę relacjonować wszystko, co pamiętam, Senny mnie nie spławia. Wręcz przeciwnie. Zadaje mi mnóstwo dodatkowych pytań. Notuje, pyta, notuje i znów pyta, a wyraz jego twarzy nie zdradza absolutnie nic.

– Zajmę się tym – mówi na koniec, jakieś pół godziny później. A ja mam nieodparte wrażenie, że nie kłamie. Kiedy podnoszę się z krzesła, dodaje: – Moja żona czyta pani książki. Dzięki niej wiem o tym, co panią spotkało. I dlatego rozumiem pani nieufność wobec policji. Ale musi pani wiedzieć, że moi ludzie rzadko nie sprawdzają się w takich sytuacjach. To system jest po prostu chory. Nie mając odpowiednich środków, człowiek, nawet jeśli chce, po prostu nie zawsze jest w stanie oddzielić sprawę ważną od błahostek...

– Wyniki pana pracy pokazują, że jednak można. Sęk w tym, że właśnie trzeba chcieć...

– Nie usprawiedliwiam nikogo – mówi wyjaśniająco, a ja nie mogę przestać patrzeć mu w oczy; jest w nich empatia, ale także czujność i determinacja. – To po prostu nie powinno się stać. Przykro mi z powodu pani dziecka.

Dziecka...

Jego głos, zmieniony, przepuszczony przez filtr mojej świadomości, grzechocze mi kilkanaście razy w uszach. Na dźwięk tego słowa umysł fałszuje nagle rzeczywistość; twarz Sennego oddziela się od korpusu, podwaja i patrzą na mnie nie jedna, ale dwie pary jego smutnych oczu. Potem zamazuje się i unosi, jak zjawą. To nie koniec. Znam ten stan. Ręce mi

mrowią, żołądek zaciska pętla. Kurwa, tylko nie *flashback*. Nie teraz. Ale zasnuty mgłą pokój wygląda już tak, jakby osiadła w nim nieprzepuszczająca światła warstwa pyłu. By odegnąć to, co wydaje się nieuniknione, siadam i stopami zapieram się o podłogę. Bez efektu. W tamtej chwili jestem już w innym miejscu.

Dochodzi dwudziesta, a sierpniowy skwar wciąż jeszcze nie odpuszcza. Rozpościera się przede mną ściana błękitu przecięta burzową chmurą. Do domu mam już niedaleko, zrzucam więc sandały z napuchniętych stóp i wciskam je pod pachę. Rozpalony asfalt pali skórę, ale wolę już znosić to niż wpijające się w stopy rzemyki. Wracam z wizyty kontrolnej z zakupami i wierzącą się pod moim sercem Hanią, odbitą na złożonym w kieszeni mojej sukienki czarno-białym zdjęciu USG. A przede wszystkim z ulgą, że wszystko z nią w porządku. Z nabrzmiałym ciałem jest mi trudno poruszać się jak dawniej, szczególnie w tak upalny dzień. Ale nie narzekam. Jeszcze tylko miesiąc. Zresztą doceniam ten nowy przywilej bycia matką i oswajam go coraz bardziej.

Mała znów daje mi o sobie znać mocnym kopnięciem. Choć nie była planowanym dzieckiem, odliczam dni do chwili, kiedy przestaniemy być jednym, a ja poczuję ją wreszcie w swoich ramionach. Z początku, doświadczona traumą z dzieciństwa, bałam się wejść w tę nową rolę. Nie chcę powtórzyć tego, co zrobiła ze mną moja matka. To idiotyczny lęk, bo jeśli matka jest po prostu normalna, w tę rolę wchodzi się akurat intuicyjnie. Zastanawiałam się setki razy, do kogo będzie podobna, jakie będą jej pasje, z czego będzie się śmiała, z kim się zaprzyjaźni, kogo pokocha, kto da jej miłość albo kim zostanie, kiedy dorośnie. Te i setki podobnych pytań zajmowały ostatnio sporą część moich rozmyślań.

O ciąży dowiedziałam się dokładnie wtedy, kiedy na jaw wyszły zdrady Marcina, ale i bez tego nasz związek już wcześniej zmierzał ku katastrofie. Nigdy nie rozumiałam par, które są ze sobą tylko ze względu na dobro dziecka. Brałam to za zwykłe tchórzostwo. Ale to, co słuszne w teorii, czasem nijak się ma do rzeczywistości, bo i w naszym przypadku było podobnie. Z pewnym niesmakiem do siebie samej, tylko przez wzgląd na Hanię, dałam mu ostatnią szansę. Zbyt mocno brzydziłam się tym, co zrobił, by móc zaproponować mu coś więcej niż udawanie. Jak się okazało, był to

koszmar dla nas obojga, bo kłamstwo mężczy bardziej niż konsekwencje rozstania. Marcin zgodził się, myśląc, że czas i mała to zmienią. Nie zmieniły i nie zmieniłyby nawet wtedy, gdyby wszystko potoczyło się inaczej.

„Hej, Nika!” Z zamyślenia wyrывa mnie znajomy głos dobiegający z drugiej strony ulicy. Unoszę głowę i napotykam sąsiadów z naprzeciwka. Wymieniamy pozdrowienia skinieniem dłoni i uśmiechem. Od mieszkania dzieli mnie już tylko klatka schodowa i wejście na piętro. Wkładam klucz do zamka i naciskam mosiężną klamkę, a chłodne powietrze płynące z wnętrza otula mnie jak kojący ciało balsam. Dokładnie tego mi trzeba. Pokonawszy kilka schodów, nieco wytrącona z równowagi, zatrzymuję się na kolejnym stopniu właśnie wtedy, kiedy odpala się mój wewnętrzny radar. Zawsze mu ufam, bo to coś więcej niż intuicja. Niby wszystko jest jak zawsze, ale z głębi korytarza zalatuje stęchlizną, jakby z otchłani zakurzonych regałów wydobyto nasiąkniętą wilgocią książkę. Nie taki zapach roznosi się tu na zawsze czystej i zadbanej podłodze. Wciągam go w płuca raz jeszcze. Smród jest teraz nieco inny. Słonawy, odstręczający zapach potu. W naturalnym odruchu pod powieki na nowo wdziera mi się obraz człowieka, z którego powodu budziłam się przez ostatni rok z krzykiem, mokra i przerażona. W tym samym czasie w głowie błyska też inna, uspokajająca myśl – to nie może być on. Mój stalker wyjechał. Zapadł się pod ziemię i nie dawał znaku życia przez ponad pół roku.

Ale niepokój nie maleje. Mrużę oczy w świetle słonecznym, by lepiej przyjrzeć się sylwetce wyłaniającej się z za filaru na półpiętrze. W jasnej smudze światła unoszą się drobinki kurzu, jak zapowiedź nadejścia kogoś lub czegoś. Zastygam w tej chwili nienaturalnie rozciągniętej w czasie. Mój wzrok wyławia go wreszcie, kiedy oślepiająca smuga światła znika pod burzową chmurą. Chwieję się na nogach, gubię krok i biodrem uderzam o poręcz. Mrużę oczy, licząc na to, że to absurd, chore wizje ciężarnej kobiety, dyktowane upałem i strachem. Ale nic z tego. To on. Wygląda nieco inaczej, ale nie mam wątpliwości. Na głowę naciągnięty ma workowaty kaptur, pod którym błyszczą oczy i rozszerzone gniewem źrenice. Z twarzy zniknął mu też ten przymilny, głupawy uśmieszek. Stoi we władczej pozie, nie ma w nim dawnej fajłapowatej nachalności. Nie potrafię go rozgryźć, wiem tylko, że teraz przybrał jakąś inną, mroczniejszą formę. Dociera do mnie wtedy, że cokolwiek zajęło mu te pół roku, pozwoliło mu się

przygotować. Przyszedł tu teraz w jednym celu – skrzywdzić mnie, tak jak to wielokrotnie obiecywał. Gaz pieprzowy leży na dnie torebki, zagrzebany wśród drobiazgów, nie wiem, czy starczy mi czasu, by po niego sięgnąć, a co dopiero odbezpieczyć zawleczkę. Nie ma sensu dobijać się do drzwi sąsiadów na parterze. Nikt mi nie otworzy – właśnie widziałam, jak wychodzą na piątkowy trening.

Ogarnia mnie panika tak silna, jak pierwotny instynkt przetrwania. Nim upuszczam zakupy, zbędny balast, wyławiam z nich szklaną butelkę wypełnioną sokiem. Odwracam się w stronę drzwi, mojej jedynej drogi ucieczki. Nie zastanawiam się jeszcze, po którą broń sięgnąć, po prostu docieram do drzwi frontowych, ciągnę za klamkę i wypadam na zewnątrz. To byłoby jednak zbyt łatwe, tak po prostu mu uciec. Jakby na dowód, staje tuż za mną, na karku czuję jego oddech.

– Zapłacisz mi teraz za wszystko, ty dziwko! – słyszę.

Jednym szarpnięciem zdiera mi torebkę z ramienia, bierze zamach i ciska nią w powietrze, w głąb ciemniejącej klatki schodowej. Oszołomiona i pozbawiona nagle broni, przez chwilę nie reaguję.

– Zostaw nas! – krzyczę.

Na jego twarzy staram się znaleźć ślady człowieczeństwa, do których mogłabym się odwołać. Moje słowa tylko wsiąkają w parne powietrze. Rozglądam się po ulicy kolejny raz, nadal jest pusta. Nie pozwolę mu nas skrzywdzić – ta myśl bierze górę nad strachem. Mocniej zaciskam więc palce na chłodnej szyjce butelki. Teraz już tylko ona mi została. Osuwam się po ścianie elewacji, twardej i porowatej, pełnej zagłębień po ukruszonym tynku. Chcę, żeby myślał, że się poddaję, ale w rzeczywistości tylko się przyczajam. Zapieram się o mur ciałem i biorę zamach, kalkulując w myślach jego ruch. Pojawiają się wtedy nade mną ciemne tęczęwki, niemal nie do odróżnienia od źrenic. Ma w oczach szaleństwo, to oczy psychopaty. Przerazona, nie nadążam zareagować, gdy chwyta mnie za gardło i zaciska ręce wokół krtani. Sekunda, może dwie. Tyle wystarczy, bym nie mogła złapać tchu. Tyle wystarczy, by nie było we mnie już wahania. Brzdęk szkła gładko wychodzi spod mojej ręki, po palcach spływa mi rozlany sok. Przed siebie wyciągam zaciśniętą na szyjce szklanego tulipana pięść, poszarpane szkło z krawędziami wystającymi z niej jak kastet. Ale jego to nie rusza – uścisk na

mojej szyi nie ustępuje. Z całą pozostałą we mnie siłą pcham rękę przed siebie. Pierwszy, chybiony cios zatrzymuje się w powietrzu, ale drugi trafia w policzek, trzeci – w ramię. Krwawi. Kiedy wyprowadzam kolejny cios, odskakuje ode mnie. Nieruchomieje i wiotczeje, jakby nie dowierzał albo może jakby chciał się poddać.

Wykorzystuję ten moment swojej przewagi, by podnieść się z ziemi. Z oddali dobiega jakiś wesoły gwar, a zza płotu wyłania się zarys kilku kolorowych sylwetek. Ratunek. Mam już wejść na pierwszy z kilku stopni, jakie oddzielają mnie od nich i od ulicy, kiedy czuję na żebrach jego palce, potem mocne pchnięcie. Uszy mi się zatykają, a pole widzenia zawęża. Udaje mi się jeszcze tylko osłonić dłońmi brzuch. Nic więcej. Trzask i wołanie o pomoc – tylko to słyszę, tylko to rozdziera powietrze. Kamienne schody pochłaniają mnie jak spiralna pętla, w której wraz ze mną wirują drzewa, niebo, liście, szarość betonu. Potem świat nagle przestaje się ruszać, a ja wraz z nim. To, co dookoła mnie, znika we wnętrzu czarnej dziury.

Kiedy otwieram oczy, po chwili, która równie dobrze mogłaby wlec się przez całą wieczność, mam nad sobą sześć par przerażonych oczu. Jeden z dzieciaków, rudy chłopak, wrzeszczy do słuchawki coś o krwotoku, o karetce, o tym, że sami nie potrafią im pomóc. Kiedy wymawia „im”, dociera do mnie eksplozja bólu napływającego spod krzyża. Zsuwam prawą rękę w miejsce, skąd ogniskuje, jest ciepłe, mokre i lepkie. Lewą rękę przyciskam do brzucha. Pod palcami nie czuję ruchu, tylko tę straszną ciszę. Wtedy tracę przytomność.

– Wszystko w porządku? – silna męska dłoń łapie przegub mojej ręki.

Chwila sprzed ponad dwóch lat jest tuż obok i ja wciąż jeszcze w niej jestem. Zawieszona w tamtym świecie, odpycham tę dłoń, a wolną ręką biorę zamach i szykuję się, by oddać cios.

– Przepraszam... Ja nie wiedziałam, że to pan – powstrzymuję się w ostatniej chwili, kiedy ze wspomnienia nie wyłania się Człowiek Bez Twarzy, tylko postać komendanta.

Spodziewam się, że oskarży mnie o napaść. Czekam, nie mówiąc mu o swojej przypadłości.

– Proszę chwilę odczekać – pada z jego ust. – Będzie pani w stanie

prowadzić? Może zadzwonić po kogoś, by po panią przyjechał?

W jego oczach widzę autentyczne zrozumienie, którego nie znalazłam do tej pory u żadnego innego funkcjonariusza policji. Bo stan, który wywołuje *flashback*, budzi lęk pośród obcych, niezrozumiały bywa nawet dla bliskich. Naprawdę nie wiem, skąd Senny może to wiedzieć. Mimo to teraz jestem mu za to po prostu wdzięczna.

– Nie. Dam sobie radę – wstaję, wkładam w biegu płaszcz i bez oglądania się za siebie wyślizguję się na rozmytą deszczem ulicę. Liczę się z tym, że jednak zmieni zdanie i wyjdzie, by mnie zatrzymać. Ale nie robi tego. Stoję przez chwilę na środku chodnika i odchodzę.

Wciąż roztrzęsiona wsiadam do auta i ruszam. Dociskam pedał gazu. Prawie ocieram się o trolejbus. Raz po raz dobiega mnie wycie klaksonów, ale nie zwalniam. Muszę ochłonąć, a jednocześnie nie chcę natknąć się teraz na matkę. Kiedy zajeżdżam pod dom, ulga miesza się z nową trwogą. Honda faktycznie zniknęła z podjazdu, ale miejsce, w którym stała, jest już zajęte. Stoi na nim ambulans z migającym na dachu niebiesko-czerwonym kogutem.



## Rozdział dziesiąty

*16 października 2018  
południe*

Nie wiem, gdzie zaparkowałam swój wóz ani jak pokonałam odcinek między bramą a otwartymi na oścież drzwiami frontowymi. Nie zapamiętałam niczego poza natarczywie pojawiającymi się w mojej głowie scenariuszami. Każdy z nich był upiorny. Zatrucie gazem, włamanie, napaść, Nat albo moja matka. Mogłabym wyliczać jeszcze więcej. Staram się opanować i kieruję się po prostu ku obcym głosom, które dobiegają z wnętrza mojego domu. Z urywków zdań nie mogę złożyć żadnego rozsądnego wyjaśnienia. Na szczycie schodów, na wspartym o balustradę krzesle, nieruchomo siedzi instalator. Poznaję go, bo był już w moim domu dwukrotnie. Teraz wygląda zupełnie inaczej. Ma ściągniętą niepokojem twarz, szarą jak popiół, a z prawego policzka ścieka mu krew. Otworzył usta, jakby chciał mi coś powiedzieć albo ostrzec, ale ja nie czekam – wbiegam po schodach, wprost do kuchni, skąd wciąż dochodzą te same głosy, damski i męski. Kiedy jestem w środku, milkną. Między innymi dlatego w pierwszej chwili pomieszczenie wydaje mi się puste. Jedynym niepasującym tu elementem jest otwarta torba medyczna leżąca na podłodze. Zieje z niej mdlący odór antyseptyków i kleju taśmy mocującej opatrunki. Zauważam ich, tę dwójkę w czerwonych uniformach, za stołem, na klęczkach, dopiero wtedy, gdy się poruszają. Jedno z nich, młoda kobieta, nakazuje drugiemu, mężczyźnie, aby przycisnął coś mocniej. Nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

– Jak się pani nazywa? – pyta kobieta wyczekująco.

Wtedy orientuję się, kim są i do kogo się zwracają. Zgięci w pół, pochylają się nad leżącą bez ruchu za stołem Nat. Od razu ją rozpoznaję. Nie widzę jej twarzy, ale adidasy z tymi wściekle fluorescencyjnymi sznurówkami nie mogą należeć do nikogo innego. Podbiegam i klękam obok niej. Wstrzymuje

oddech, boję się, że to, co zobaczę, może być ostateczne. Wokół głowy owinięty ma bandaż, który zdążył już lekko nasiąknąć krwią. Ku mojej radości, Natalia mruży oczy. Oddycha, więc ołowiany zacisk, który czuję w okolicy serca, puszcza. Mimo to niepokoję się, bo patrzy na mnie jakimś tępym, mętным wzrokiem i milczy. Na pytania sanitariuszy reaguje tylko sennym kiwaniem głowy.

– Proszę się odsunąć – warczy mi nad uchem facet w czerwonym uniformie. – Zabieramy ją do szpitala.

Pod ścianą stoją nosze na kółkach pokryte ohydą spękaną wyściółką. Sanitariusz rozsuwa stelaż z metalicznym brzęknięciem.

– Co z nią? To moja siostra – kłamię, odsuwając się tylko o krok. Wiem, że durne procedury nie pozwalają na ujawnianie żadnych informacji o stanie chorego, jeśli nie jest się jego najbliższym krewnym. Czekam na odpowiedź. Widzę, jak unoszą delikatnie jej ciało i umieszczają je na noszach. Wtedy zauważam, że ma na sobie moją zieloną bluzę z kapturem. Nie mam pojęcia dlaczego.

– To tępy cios w głowę. Pani siostra przede wszystkim musi mieć wykonaną tomografię. Wtedy zdecydujemy, co dalej – mówi sanitariuszka, młoda, najwyżej dwudziestokilkuletnia blondynka.

– Pojadę z wami – reaguję.

Dziewczyna potrząsa głową, w jej oczach widzę pewność, że mają wszystko pod kontrolą.

– Za kilka minut będzie tu drugi ambulans. Proszę zostać z tym rannym mężczyzną. I proszę się nie martwić. Zajmiemy się pani siostrą. Teraz w niczym jej pani nie pomoże. Niech pani przyjedzie później, po badaniach.

Nie wiem nawet, czy postępuję właściwie, ale faktycznie decyduję się zostać w domu. Nim zejda z piętra, ściskam zimną dłoń Nat. Przysięgam jej, że wszystko będzie dobrze. Banał, jasne, ale w ten sposób wierzę, że zaklinam rzeczywistość. Nie mam pojęcia, co zrobiłabym, gdyby coś jej się stało. Wiem, że mnie słyszy, bo bardziej przytomnie niż chwilę temu kiwa głową. Zdaje mi się nawet, że na ustach ma blady uśmiech, a potem układa je w słowo „luz”.

Z okna na piętrze widzę, jak pakują ją do karetki i odjeżdżają. Niemal

zapominam o sterczącym wciąż przy balustradzie instalatorze. Na jego twarzy widzę zmieszanie. Palcami stuka o drewnianą poręcz. Z torby z narzędziami, którą zabrał ze sobą, wystaje klucz francuski i jakieś podłużne, metalowe płytki. W środku jest pewnie sto innych rzeczy, którymi mógłby zrobić Nat krzywdę. W mojej głowie rodzi się przynajmniej tyle samo pytań.

– Co tu się stało? – rzucam to, które nasuwa się jako pierwsze. Brzmi oskarżycielsko, dobrze wiem.

– Byłem tu o jedenastej, tak jak się umówiliśmy – odchrząkuje i powtarza nieco wyraźniej.

Rzucam mu ponagląjące spojrzenie.

– Nacisnąłem dzwonek przy furtce, ale wydawało mi się, że coś z nim nie tak, a drzwi i brama były uchylone. Z początku pomyślałem, że może jest pani w ogrodzie. Obszedłem dom i zawołałem kilkakrotnie, ale nikt się nie odezwał. Wtedy wdrapałem się na ganek, pod drzwi wejściowe. Chciałem zastukać, ale rozchyliły się i ze środka wybiegł jakiś facet w kominiarce. Uderzył mnie pięścią w twarz, potem odepchnął, przez co byłem jakiś taki trochę oszołomiony... W każdym razie ten typ zwiął w okamgnieniu, a ja nie zdążyłem zareagować – przyznaje z pewną skruchą.

– Facet? Jest pan pewien, że to był mężczyzna?

– Może, ale... – waha się, zagryza wargę, oczami przebiega po suficie, jakby tam szukał trafnej odpowiedzi. – Nie wiem tego na pewno. Miał czarne, luźne ciuchy, dlatego trudno powiedzieć. Ale był silny, zwinny i szybki – mówi to z taką pewnością, jakby to były cechy typowo męskie. Chyba się krzywię. – A poza tym ten silny cios, który mi wymierzył – mówi i palcem wskazuje na krwawiący policzek. Rzucam okiem na ranę – nie jest rozległa, ale wydaje się dość głęboka. – Pobiegnę w sumie za nim, ale ze środka usłyszałem wołanie o pomoc – instalator nie patrzy mi teraz w oczy, błądzi wzrokiem po podłodze. – Kiedy wszedłem do kuchni, ta dziewczyna ledwie trzymała się na nogach, ręką zasłaniała krwawiące miejsce na głowie. Dostała cios chyba gdzieś z tyłu, w potylicę. Nie wiem czym. Była w półprzytomna. Nic nie udało mi się z niej wyciągnąć. Zadzwoiłem po pomoc, potem po gliny. Później zjawiała się tu pani. Tyle wiem.

W normalnych okolicznościach pomyślałabym, że facet kłamie jak z nut.

Ale sądzę, że jego dziwne zachowanie maskuje po prostu wstyd i że to nie on, ale ktoś zupełnie inny zaatakował moją przyjaciółkę. Tak samo pewna jestem, że wszystko, co się ostatnio dzieje, ma związek z tamtym wieczorem i kobietą o podwójnej tożsamości.

– Twierdzi pan, że dostał pięścią w twarz. W takim razie skąd ta głęboka rana na policzku? Nie pasuje mi do takiego uderzenia...

– Głęboka?! Jak głęboka?! – pyta zdumiony, jakby nie do końca był świadom tego, jak mocno oberwał.

– Na tyle głęboka, by mogło ją spowodować niewielkie, ale ostre narzędzie...

– Kurwa, tak czułem, że ten typ rozharatał mi gębę! – burczy pod nosem instalator. Widzę, że ledwie powstrzymuje się przed obmacaniem zranionego miejsca. – Pod rękawicą miał coś ostrego i metalowego, jakby szpikulec albo raczej kastet. Cokolwiek to było, miał to chyba nasunięte na prawą rękę.

– Kastet zostawiłby nie jedną, ale raczej kilka takich ran...

– Więc może to był kastet na jeden palec? – Jego ciało nagle się napina, wyczuwam w tym ruchu pewną nerwowość. – Skąd mam to, do cholery, wiedzieć?! Może niech da już pani spokój z tym przesłuchaniem. Przyjechałem tutaj, żeby naprawić bojler, a nie po to, by oberwać i teraz się pani z tego tłumaczyć. Ludzie mówili, że z panią... – przerywa w pół zdania.

– Że ze mną co?

Nie kończy. Wstaje z krzesła, odwraca się do mnie plecami i schodzi na dół.

Są tylko same problemy. Myślę, że właśnie to, o ile nie coś bardziej dosadnego, chciał mi powiedzieć.

Kiedy i ja schodzę na parter, zatrzymuję wzrok na otwartym pokoju. Tym samym, który przez ostatni dzień należał do matki i ojczyma. Wchodzę do środka. Ich łóżka są posłane, a szafy puste. Klucz leży na blacie wraz z odręczną notatką opartą o wazon ze słonecznikiem. Starannie wykaligrafowany ręką matki wyrzut sumienia, który wycelowany jest we mnie. Wciskam kartkę do kieszeni swetra dokładnie w tej samej chwili, kiedy zza uchylonych drzwi wejściowych dobiega mnie zgrzyt odmykanej bramy. Otwieram drzwi szerzej i widzę za nimi dwóch sanitariuszy i kogoś, kogo nie

chciałabym zobaczyć w moim domu nigdy więcej. To Kubacki. Serio, czy na komisariacie pracuje tylko ten obmierzły typ? Na jego widok i na myśl o naszej kolejnej utarczce słownej zbiera mi się na mdłości. Mija kilka sekund nim, dysząc, zjawia się na schodach. Nie jest sam. Zza jego pleców wyłania się młody przystojny mężczyzna. Jest trochę plastikowy i przerysowany. Nosi dzinsową kurtkę z kolorowymi patkami i modne adidasy z idealnie białą podeszwą. Jego długie blond włosy na pewno koloryzował jakiś niezły fryzjer. Facet nie klei mi się specjalnie z obrazkiem typowego gliny. Okazuje się, że się mylę. Tym razem rozmawiamy dłużej niż zwykle. Teraz Kubacki i on dokładnie przeszukują pensjonat, zadają zadziwiająco dużo pytań. Interesuje ich, czy coś zniknęło albo zmieniło swoje miejsce. Nie, na pierwszy rzut oka wszystko wydaje się jak dawniej. Na pytanie o pokoje i innych gości wiercę się niespokojnie w miejscu i na chwilę odwracam wzrok. Ale oni i tak nie wyczuwają nadciągającego z moich ust kłamstwa. Nie drążą tematu, wystarczy im moje lakoniczne zapewnienie: „Nie, nie mam teraz żadnych gości”. Kiedy kończą, orientują się, że właśnie minęły trzy godziny.

Nienawidzę szpitali. Zapachu wstrętnego żarcia i sztywnej wykrochmalonej pościeli, który miesza się z wonią chorych, spoconych i przestraszonych ciał. Szelestu szlafroków i białych kitli. Chłodu ram metalowych łóżek. Lśniących pod oślepiającym światłem jarzeniówek płytek podłogowych i tej ciężkiej atmosfery nieustannego wyczekiwania.

Wiem, nie powinnam myśleć o szpitalu w ten sposób. To przecież miejsce, w którym stawia się pacjentów na nogi.

Ale mnie już zawsze będzie się kojarzył z pewnym letnim porankiem, kiedy otworzyłam oczy z myślą, że budzę się w dzień jak każdy inny. Trwało to kilka sekund, dopóki nie dotarła do mnie biel obcych ścian, a ja nie zorientowałam się, że zwoje cienkich rurek łączą mnie z monitorem wskazującym wykres funkcji życiowych. Dniem, w którym jedynym dowodem na niedawną obecność mojej córki we mnie były mokre plamy rozlewające się w smutne okręgi w okolicach moich piersi. Efekt wzmożonej laktacji spowodowanej masażem serca, który uratował mi wtedy życie. Ale jej już nie.

Tak mniej więcej z ust lekarza wybrzmiały te słowa, słowa stonowanego

współczucia. Hania umarła podobno w tamtej chwili, w której zepchnął nas ze schodów. Ten oszołom, złote dziecko z dobrego, bogatego domu, potem wychowanek poprawczaków i drobny złodziejasek. Robił to podobno dla zabawy. Od tego zaczynał, nim stał się prawdziwym psychopata, a ostatecznie – mordercą. Nie stworzył w swoim życiu niczego dobrego. Zabrał życie mojego dziecka i doszczętnie zniszczył także moje i Marcina. Pogrzebał wszystko to, co miałam nadzieję zbudować na kruchych fundamentach swojego dzieciństwa i trudnego dorastania u boku matki.

Prawdę mówiąc, do niedawna czułam się równie martwa jak Hania, ta maleńka nienarodzona Hania i ta nieco starsza dziewczynka, czterolatka, którą straciłam w dzieciństwie. Krąży znów w mojej głowie...

Jestem w szpitalu z powodu Nat. Moje myśli biegną w jej stronę i staję się teraz nieco spokojniejsza. Czuję, że plecami trącam plakat z piramidą zdrowego żywienia. Przyciskam mocniej kolano do podłogi, by poczuć otaczającą mnie fizyczność i w ten sposób odgrodzić się od tamtej chwili. To zwykle pomaga. Nie mogę pozwolić sobie na kolejny *flashback*. A przede wszystkim nie mogę myśleć o martwych, kiedy potrzebują mnie żywi, których też kocham.

Zresztą groza ostatnich godzin zdążyła zblednąć po tym, jak na korytarzu natknęłam się na Daniela, który miał dla mnie dobre wieści. Uspokoił mnie, mówiąc, że rozmawiał z lekarzem i że na szczęście Nat nie odniosła poważniejszych obrażeń. Zdążył już zajrzeć do niej.

W tym czasie, kiedy gliny krążyły po moim domu, Natalia doszła nieco do siebie. Poza wstrząśnieniem mózgu wyniki badań nie wykazały krwiaka ani niczego niepokojącego w jej głowie. Ma przed sobą jeszcze jedną serię badań i dzień obserwacji, ale jestem dobrej myśli. Teraz siedzi u niej Kubacki, a ja i jej chłopak czekamy na swój czas odwiedzin. Daniel wciska mi kubek z lurowatą kawą i siada obok mnie. Poza tym, że wymieniamy się najważniejszymi informacjami, nasza rozmowa specjalnie się nie klei. Chyba chcę już po prostu wejść do środka i na własne oczy przekonać się, że z moją przyjaciółką wszystko w porządku. Mija kolejne pół godziny, nim drzwi wreszcie się otwierają i nadchodzi nasza kolej.

– Cześć, siostrzyczko – słyszę od progu. Uderza mnie fala gorąca, a wraz z nią obawa, że Nat jednak pomieszało się w głowie. Ale wtedy

przypominam sobie, że sama tę ściemę o naszym pokrewieństwie sprzedałam sanitariuszom, by wydobyć z nich informacje o stanie jej zdrowia.

Natalia wygląda zresztą całkiem nieźle. Po niedawnej bladości na jej twarzy i nieobecny, trochę nieprzytomnym spojrzeniu nie ma już śladu. Siedzi w łóżku z bandażem wokół głowy, w otoczeniu dwóch poduszek i z parującym kubkiem mleka w ręku. Patrzy na mnie trzeźwo. Wydaje mi się krzepka i jakby nabuzowana. Może to zasługa leków, którymi ją nafaszerowali, a może resztek adrenaliny krążącej w jej żyłach. Poza naszą trójką w pokoju nie ma nikogo. Otwieram przyniesioną z domu papierową torbę i na blat przy łóżku Nat wykładam trochę smakołyków. Zabrane w biegu zapasy z kredensu, wszystkie mojej własnej roboty. Wyciągam je zawsze na specjalną okazję albo na czarną godzinę.

– O, jaka szama – cmoka Nat, otwierając torebkę i wyławiając z niej ciasteczko. – Co to za okazja? Umieram jednak czy co? – Macza ciastko w mleku i rzuca mi swoje najbardziej dramatyczne spojrzenie.

– Nie straciłaś formy nawet z dziurą w głowie – mówię, uśmiechając się pod nosem. – A tak serio, jak się czujesz?

– Chyba się wylizę. – Nat wzrusza ramionami, pałaszując kolejne rozmiękłe ciasteczko. – Ten typ rozharatał mi banię, więc musieli założyć kilka szwów, ale chyba poza tym wszystko jest z nią okej.

Właściwie już to słyszałam z ust Daniela, ale dopiero teraz czuję, jak odpływa ze mnie strach i znika jego fizyczny ciężar.

– Ale za to ja martwię się o ciebie – mówi Nat, mlaszcząc. – To nie mnie chciał dopaść. Włożyłam twoją bluzę, bo bez ogrzewania w mieszkaniu była totalna lodowa. Ten koleś widział mnie od tyłu, z naciągniętym na głowę kapturem. Musiał być przekonany, że jestem tobą.

– Koleś? A więc jesteś pewna, że to był facet? I że to nie ten instalator?

– Nie, ta opcja odpada. – Nat wydaje się tego absolutnie pewna. – On pojawił się później.

– Co się działo, kiedy byłaś w domu?

– Siedziałam cały czas w kuchni, odwrócona plecami do drzwi, nad książką, ze słuchawkami na uszach. Ale nie słuchałam muzy jakoś głośno, leciała w tle na tyle cicho, żebym mogła usłyszeć dzwonek do drzwi.

W pewnym momencie poczułam ostre łupnięcie w tył głowy, jakby ktoś rozbił na niej bryłę lodu. Zanim zupełnie odleciałam, zdążyłam zapamiętać tylko tę postać: czarną kominiarkę i luźny kombinezon, który wyglądał mi na robocze ciuchy spawacza.

– Więc nie słyszałaś, jak wchodził?

Nat potrząsa głową, a jej twarz wykrzywia grymas bólu.

– Dałam ciąka. Nie zamknęłam na klucz ani drzwi wejściowych, ani tych do twojego mieszkania. Bez sensu, biorąc pod uwagę to, co działo się ostatnio u ciebie w domu.

Mówiąc to, przenosi wzrok na Daniela. Chłopak opiera się o kaloryfer, słucha, ale ciało ma rozluźnione. Nie wydaje się zdziwiony ani zaciekawiony tym, co właśnie powiedziała Nat. Mam nieodparte wrażenie, że jest tak, bo zwyczajnie wie już o tym, co działo się w moim pensjonacie tamtej nocy, kilka dni temu.

– Nie wkurzaj się, ale powiedziałam Danielowi. – Nat tylko potwierdza moje przypuszczenie. – Potrzebujesz ochrony. Serio, to już się robi zbyt popieprzone.

– Nie chcę wcinać się w nie swoje sprawy – odzywa się Daniel, nim udaje mi się zareagować – ale mogę pomóc.

Pauzuje na moment, czeka na moją reakcję. Nie przerywam mu, słucham.

– Natalia mówiła, że w domu masz zainstalowane jakieś atrapy kamer.

– To nie atrapy, ale kamerki na slot z kartą pamięci – protestuję.

– Czyli najgorszy kicz. Chiński bubel, który nadaje się na zabawkę dla przedszkolaka. Mam znajomego, który siedzi w temacie monitoringu. Instalacje robi tylko na konkret sprzęcie, takim z rejestratorem wyposażonym w twarde dyski. Jeśli go ładnie poproszę, zrobi ci porządną instalację po kosztach.

– Byłoby super – mówię.

Sama zadbałabym o to już dawno temu, ale gąże instalatorów przy wysokości rat kredytu, który wciąż spłacam, były wtedy ponad moje możliwości. Dlatego, by mieć jakiegokolwiek zabezpieczenie, faktycznie postawiłam na taniochę marnej jakości.



– Po drugie, mam też swoich ziomków z krav magi, kilku z nich pracuje też w ochronie. I nie tylko. Mogą czasem wpaść, zobaczyć, co się dzieje...

Słowa „ziomków”, „wpaść” i „nie tylko” wypowiedziała z dziwnym konspiracyjnym wręcz namaszczeniem. Przed oczami stała mi banda osiłków napakowanych testosteronem, którzy co i raz ocierają z warg krew – własną albo tych, którym chwilę wcześniej obili gębę.

– Ja też mogę wpadać czasem wieczorami.

– Dzięki, Daniel, ale nie. Gliny przecież wiedzą, co się dzieje, zajmą się tematem.

– Żartujesz? Sama mówiłaś, że mają to wszystko w dupie – wcina się Nat i podnosi na łóżku. – Wypną się na ciebie po raz kolejny.

– Nat, nie chcę, żeby ktoś kręcił mi się pod domem. Nie chcę się czuć jak zaszczute zwierzę.

To akurat prawda. Sporą część mojego życia kształtowała zależność od innych, zrodzona już w okresie dzieciństwa, narzucona mi przez matkę i pielęgnowana przez nią po śmierci Hani z jeszcze większą gorliwością. Prowadzona przez nią na smyczy w miejsca, którymi ona zarządzała, początkowo uczestniczyłam tylko w tych aktywnościach, które usiłowała mi narzucić. Pod maską silnej, ambitnej kobiety sukcesu krył się człowiek będący nieustannie bliski wybuchu. Chyba tylko ja o tym wiedziałam. Byłam otoczona korepetytorami, wyizolowana i odcięta od szkoły, koleżanek i reszty rodziny, przebywałam jedynie z matką, więc bardzo długo myślałam, że takie emocje są normalne. W rezultacie jako osiemnastolatka przypominałam wypalony wrak człowieka, z którego już prawie nic nie zostało. A jednak wciąż tliła się we mnie siła, która pozwoliła mi uciec.

Miałam szczęście, że ktoś jednak czuwał nad tym, bym nie stoczyła się na samo dno, i w tamtym okresie na mojej drodze postawił kilka dobrych dusz – w tym panią Ludwikę, obcą kobietę, która w zamian za opiekę dała mi dach nad głową i poczucie, że normalne życie jednak istnieje. W małej klitce w suterenie, bez luksusów, w szaleńczym wirze studiów i ciężkiej pracy za marne grosze, pomalutku skleślałam połamane skrzydła i poczułam, że żyję.

Dostrzegłam wtedy kierunek, który mi wskazał mój własny wybór. A przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Ten puszczony samopas odludek, który krył się w mojej własnej głowie, zanurzył się w całkiem

innym świecie, świecie eksperymentów, które nie zawsze wychodziły mu na dobre.

Aby udowodnić sobie, że można mnie jednak pokochać, dopuszczałam wszystkich do siebie i swojego ciała zbyt często i zbyt przypadkowo. Nie pamiętam nawet ich twarzy. Teraz czuję odrazę do tamtych wyborów. Ale były to moje własne błędy. Wyciągnęłam odpowiednie wnioski. Zresztą w tamtym czasie podjęłam też wiele dobrych decyzji, które pozwoliły mi zbudować wartościowe relacje, sięgnąć po stypendium, a wreszcie po atrakcyjny staż w wydawnictwie. Przestałam nosić w sobie tylko strach, gorycz i pustkę, wypełniłam tę przestrzeń nową wartością – życiem. Od tamtej pory, mimo kolejnych potknięć, staram się wciąż móc na siebie liczyć. A przede wszystkim ufać sobie. Czasem mi nie wychodzi, ale wtedy podnoszę gardę i prę dalej do przodu, bo wiem, że wciąż potrafię.

– A poza tym masz dochodzić do siebie, a nie brać sobie na głowę moje problemy – mówię do Nat. – Już i tak naraziłam cię na niebezpieczeństwo. Nie pozwolę, żeby przeze mnie coś jeszcze ci się stało.

Nat prycha wyraźnie oburzona.

– Boże, co za bzdury opowiadasz. Nie jestem tchórzem.

Jej dalsze protesty pochłania trzask otwieranych drzwi. W szpitalnym przejściu stają dwie tlenione blondyny. Ciągną za sobą duszący zapach fajek. Skoro i ja go wyczuwam, tym bardziej powinien wchodzący za nimi lekarz. Mimo to nie reaguje. Zwraca się natomiast do mnie i Daniela, mówi, że pora odwiedzin dobiega końca, i zaraz zabiera Nat na jeszcze jedno rutynowe badanie. Wiem, że to normalne. Jednak ta skażona wiecznym lękiem część mnie odczuwa niepokój. Już tyle razy pozwoliłam, by ktoś mi bliski wymknął się na zawsze, ot tak, niepostrzeżenie. W tym wypadku moje obawy trącają jednak paranoją. Szczypię się więc w stałe miejsce, prawe, naznaczone siniakami udo; mój własny patent na to, by odgonić strach, a siebie przywołać do porządku.

Bez sprzeciwów całuję jeszcze raz przyjaciółkę w policzek, zakładam torbę na ramię i wychodzę.

# Rozdział jedenasty

18 października 2018  
popołudnie

*Żałuję, ale nie czuliśmy się tu mile widziani, Skarbie. No cóż. Smutno, bardzo smutno. Pojechaliśmy więc na Hel. W drodze powrotnej podrzucimy Ci jeszcze klucz do drzwi wejściowych. Zatrzymałam go. Nie chciałam zostawiać otwartego domu. To chyba zrozumiałe.*

Kartkę z tą wiadomością ukryłam w swojej kieszeni tamtego popołudnia, dwa dni temu, po ataku na Nat, tuż przed przeszukaniem domu przez policjantów. Nie potrafię odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego nie ujawniłam Kubackiemu informacji o pobycie matki i ojczyma w moim pensjonacie. Może zwyczajnie górę wzięły tu moje egoistyczne pobudki. Powiadomieni o tym fakcie śledczy mogliby chcieć ich przesłuchać. Nie mogłam dopuścić do tego, by matka wiedziała o tym, co dzieje się teraz w moim życiu, tak bardzo jak nie chciałam jej dawać żadnego pretekstu do ponownego pojawienia się pod drzwiami mojego domu.

Rozwijam zmiętą kartkę i czytam notatkę jeszcze raz, kolejny nerwowy odruch, któremu nie mogę się oprzeć. Tak, mamo, przyjmuję twoje słowa. I nie, wbrew temu, czego ode mnie oczekujesz, nie czuję się winna. Powtarzając to w kółko, wyrzucam kartkę do śmieci.

Wracam myślami do wczorajszego dnia. Nat wróciła po południu ze szpitala cała i zdrowa. Kiedy zajeżdżałyśmy pod jej dom, natknęłam się na Bartosza Wolnego. Przyciągnęliśmy się chyba wzrokiem. Wnosił do garażu jakiś sprzęt fotograficzny i obrzucił nas dwuznacznym spojrzeniem. Sama nie wiem, czy było ono konfrontacyjne, czy wręcz przeciwnie. Zdawało mi się nawet, że w jego oczach widzę coś na kształt sympatii. A może to tylko pobożne życzenie? Tak jak wtedy, następnego poranka po wernisażu, nadal czuję się źle ze świadomością mojego skandalicznego zachowania. Wpadnę

do niego z przeprosinami, to już postanowione. Ale jeszcze nie dziś. Wolne popołudnie mam zamiar wypełnić czymś, co pozwoli mi przejąć inicjatywę, może nawet wyprzedzić o krok policję.

Czasem najlepszym antidotum na strach jest wkroczenie w samo oko cyklonu, a ja właśnie zmierzam w jego stronę. Klikam myszką, a kiedy uśpiony ekran komputera ożywa, otwieram plik, w którym zgromadziłam wszystko, co uznałam za istotne w sprawie Dominiki Kality vel Łukasiewicz.

Zrzucam z ramion marynarkę, bo ekscytacja rozpała mnie od środka dokładnie w ten sam sposób, który czuję za każdym razem, kiedy siadam przed pustym ekranem z głową pełną pomysłów na nową fabułę. Tyle że tym razem to dzieje się na serio.

W folderze zatytułowanym *Ephemere Studio* zebrałam wszystkie informacje dotyczące pracowni wizażu, której Kalita była właścicielką. Przez pewien czas, aż do kwietnia 2016 roku, na kilka miesięcy przed jej sfingowaną śmiercią, współpracowała z niejaką Mariką Dąbrowską. Miały na swoim koncie kilka konkretnych sukcesów, a w portfolio mnóstwo wpływowych nazwisk ze świata show-biznesu. Dlatego ciekawił mnie powód, dla którego ich drogi tak nagle się rozeszły, i zastanawiałam się, czy wszystko, co stało się z Kalitą później, mogło mieć z tym związek. Zakładając, że rozstały się w nie najlepszej atmosferze, istniała szansa, że Dąbrowska sprzeda mi może kilka ciekawych smaczków z okresu ich kilkuletniej współpracy. Na to liczyłam. Chciałam poznać tę kobietę, którą Dominika Kalita przede mną ukrywała, a która od dwóch lat miała nie istnieć.

Odrestaurowana willa z drewnianą przybudówką wpasowuje się w modny, ekskluzywny klimat dawnego Sopotu. Dzisiaj to dzielnica tych, którzy albo odziedziczyli podobne cacko, albo wiedzieli, w co zainwestować grubą kasę.

Według skromnego, ale gustownego neonu, pracownia wizażu Mariki Dąbrowskiej mieści się na pierwszym piętrze willi. Wejście od podwórza prowadzi mnie osobną, spiralną klatką schodową prosto do przestronnej werandy, pełniącej dawniej funkcję letniego salonu.

Pracownia już od progu zachwyca mnie swoim stylem, przestrzenią i ilością światła wpadającego do jej środka przez każde z czterech okien. Jest

połączeniem nowojorskiego loftu z francuską kamienicą. Podłogi z desek o olbrzymich sękach pachną jeszcze świeżym olejowaniem, a rzeźbione w geometryczne i roślinne wzory oprawy okien noszą ślady niedawnych prac konserwatorskich. Design mebli i dodatków jest dużo bardziej współczesny, dość abstrakcyjny, ale na pewno nie przypadkowy. Wszędzie widać mnóstwo inspiracji twórczością Andy'ego Warhola. Na ścianie wisi jego zdjęcie naturalnej wielkości, a wokół niego skupione są reprodukcje najslawniejszych prac. Pod oknem wychodzącym na ulicę stoją trzy stanowiska do wizażu. Lustro w kształcie popiersia Marilyn Monroe z okalającymi je żarówkami oparte są o lśniące blaty. Te z kolei uginają się pod ciężarem drewnianych szkatulek pełnych pędzli, gąbeczek, sztucznych rzęs i drogich kosmetyków. Reszty gadżetów nie rozpoznaję.

Trzy atrakcyjne młode dziewczyny – modelki, jak sądzę – zerkają na swoje odbicia, które z każdym kolejnym pociągnięciem pędzla stają się coraz bardziej doskonałe, jeśli przyjąć kryteria wytyczane przez okładki magazynów albo Instastories wziętych blogerek lansujących nowe trendy w branży *beauty*.

Skupione wokół dziewczyn, każda przy swoim blacie, stoją kandydatki na wizażystki. Patrzą na twarze modelek jak na płótno malarskie. Są pełne ekscytacji, ale i niepokoju, czy ich wizja zyska aprobatę. Między stanowiskami krąży trzydziestokilkuletnia kobieta z różowymi utapirowanymi włosami. Są jak psychodeliczna chmurka. W zasadzie równie dobrze mogłyby pamiętać zarówno szalone lata osiemdziesiąte, jak i niedawny kontakt z piorunem. Dąbrowska, bo nie mam wątpliwości, że to ona, nosi lateksowe buty na platformie i landrynkową sukienkę w romby z trójkątnym wycięciem na plecach sięgającym jej tyłka.

– W czym mogę pomóc? – podchodzi do mnie i obrzuca przyjaznym, ale raczej wystudiowanym uśmiechem.

– Nika Werner. – Wyciągam dłoń na powitanie. – Chciałam porozmawiać o Dominice Kalicie – walę prosto z mostu. – Pracowałyście razem.

Uśmiech blednie, Dąbrowska robi krok do tyłu, a jej twarz pogrąża się w cieniu. Wygląda teraz trochę upiornie.

– To nie najlepszy moment. – Rzuca mi wymowne spojrzenie. – Jestem zajęta.

– Oczywiście. Zaczekam. Piszę serię reportaży o ofiarach mordercy z Obwodnicy – kłamstwo przychodzi mi z zadziwiającą łatwością. – Jestem autorką kilku powieści. To, co pani pamięta, mogłoby mi bardzo pomóc.

Dąbrowska krzyżuje ręce na piersiach i posyła mi widmowy uśmiech.

– Tym bardziej nie dam rady.

– Chyba nie rozumiem...

– Nie mogłabym wystawić Dominice pochwalnej laurki, na jaką pewnie pani liczy – rzuca sucho. – Zresztą przywoływanie ciepłego wspomnienia, jeśli czuje się całkowity chłód, nie jest w porządku – dodaje jeszcze bardziej enigmatycznie. Pewnie domyśla się, że to mnie tylko nakręci. Być może o to jej właśnie chodzi.

– Zgodzi się pani na krótką rozmowę, jeśli obiecuję nie ujawniać źródła swoich informacji?

Marika wzdycha teatralnie.

– Za jakieś pół godziny mam piętnastominutową przerwę na lunch. Może pani poczekać tutaj. – Wskazuje na fotel w kształcie wielkich czerwonych ust.

Kiedy trzydzieści minut później schodzimy na ganek, Marika siada na szczycie schodów i częstuje mnie papierosem. Przyglądam jej się z bliska. Trudno mi ocenić, jak wygląda *sauté*, kiedy rano wstaje z łóżka. Dziś ma na twarzy warstwę dobrze kryjącego podkładu, na ustach i powiekach brokatową kredkę. Nie widzę jej oczu zamaskowanych okularami słonecznymi w zielonych oprawkach. Jej oparte swobodnie o balustradę ciało ma sugerować niczym nieskrępowany luz. Ale widzę, że to tylko gra. Cokolwiek mi teraz powie, wiem, że dawna zadra, którą poruszyłam swoją dzisiejszą wizytą, tkwi w niej głęboko.

Zastanawia mnie, kogo tak naprawdę mam przed sobą. Sięgam po wyciągniętą w moją stronę paczkę marlboro. Nie paliłam już całe wieki, ale tym razem spławiam każdą z nadciągających wymówek. Podpalam fajkę, pobudzona dawno zapomnianą rozkoszą, zaciągam się dymem.

– Po co to robisz? – pyta Marika, otwierając swój lunch, plastikowe pudło z sałatką.

Tym pytaniem zbija mnie z tropu. Chyba nie spodziewałam się też, że tak

po prostu przejdziemy na ty. Przez chwilę zupełnie zapominam, że moment wcześniej skłamałam w sprawie powodu swojej wizyty.

– Najłatwiej byłoby niczym się nie przejmować i nie komplikować sobie życia. Ale ja tak nie potrafię. – To prawda, choć tylko w myślach wyjawiam prawdziwe powody swojej wizyty. – Dobrze się znałyście? – pytam.

Marika poprawia fryzurę, rozprostowuje nogi, długie i zgrabne. Na plastikowy widelczyk nabija kęs sałatki. Ale nie wkłada go do ust.

– Aż za dobrze. Studiowałyśmy razem.

– Czyli byłyście sobie bliskie.

Potakuje, ale raczej niechętnie.

– Rozkręciłyście razem świetnie prosperujący biznes. Wiesz najlepiej, jaka ona była...

– No tak. Faktycznie grałyśmy długo w jednej drużynie. Zawsze była seksowna, błyskotliwa i czarująca. To jej charyzma w połączeniu z naszymi umiejętnościami wyniosła nas na szczyt. Była medialną menedżerką w naszym teamie. Nieformalną liderką. Grała słodką dziewczynę, która ma swój styl, grała kogoś, komu nikt się nie oprze.

– Grała? – podchwytuję.

Marika kiwa głową.

– I była w tym świetna. Świetna i piekielnie inteligentna. Jej mózg wciąż pracował, był jakby naelektryzowany. Dzięki temu potrafiła dostosowywać się do każdej sytuacji, niezależnie od tego, czego lub kogo dotyczyła. Muszę przyznać, że do pewnego momentu naprawdę potrafiła zjednywać sobie ludzi.

– Chodziło o klientów czy o wasze zawodowe relacje?

– My nie musiałyśmy przed sobą niczego udawać. Ale mam na myśli klientów i wszystkich innych, włączając w to jej męża. Swoją drogą starszek niezłe się nasapał, by móc dotrzymać jej kroku.

Muszę wyglądać na nieco zmieszaną tym wyznaniem, bo Marika wyjaśnia dalej.

– Chyba nie myślisz, że atrakcyjna, inteligentna babka, która mogła owinąć sobie niejednego przystojniaka wokół palca, związałaby się na dłużej

z nudziarzem starszym od niej o dwie dychy, gdyby nie miał konta w banku z pokaznym saldem?

– Myślę, że mogłaby. Jeśli byłby świetnym facetem – oznajmiam.

Marika patrzy na mnie z niesmakiem, jakbym była frajerką albo osobą niespełna rozumu.

– Z całym szacunkiem, ale to jakieś idealistyczne brednie. Gdybyś na co dzień miała okazję pobyć w naszych kręgach, szybko zmieniłabyś perspektywę. I zdanie.

Nie podoba mi się akcent, jaki kładzie na wyrażenie: „w naszych kręgach”. Myślę sobie, że po takim wstępie nie mam ochoty dowiadywać się więcej. Ale nie damę tego po sobie poznać. Nie chcę, by się przede mną zamknęła.

– Wspominałaś, że do pewnego momentu zjednywała sobie ludzi. Współpracowałyście ze znanymi postaciami ze świata mody i show-biznesu. Co się wydarzyło?

Jej twarz tężeje. Zdejmuje okulary, dzięki czemu wreszcie widzę jej oczy. Są zjadliwie zielone, a wściekłość bucha z nich jak żar. Odkłada na stopień pudełko z sałatką. Dziobała w niej widelcem, ale nawet nie spróbowała.

– To był powód, dla którego każda z nas poszła w swoją stronę, i w zasadzie żadna z tego tajemnica.

Nie mam pojęcia, o czym ona mówi, ale cholernie chcę się dowiedzieć. Czekam. Staram się nie pokazać jej, jak bardzo mi na tym zależy. Kiwam więc tylko zachęcająco głową.

– Domi była równie ambitna, co nienasycona. Uzależniona od braku stabilizacji i ryzyka, które ciągnęło ją w tym samym stopniu, co uzależniają narkotyki czy alkohol. Lubiła igrać z ogniem. W momencie, kiedy wszystko się wyłożyło, miałyśmy na rynku wypracowaną markę i masę naprawdę grubych deali i stacjonarnych zleceń, ale nie tylko. Przede wszystkim były jeszcze duże eventy: make-upy, które robiłyśmy gwiazdom na festiwalach i koncertach, nagrania telewizyjne. Dochodziły też inne, lukratywne zajęcia: makijaże do spektakli, klipów.

To początkowo był jeden incydent, ale pociągnął za sobą lawinę kolejnych wydarzeń. Zaczęło się od tego, że po jednym z festiwali muzycznych do



portali plotkarskich i na okładki gadzinówek wyciekły kompromitujące foty z garderoby artystów, częściowo też nagrania. A także różne pikantne smaczki, o których mówi się na afterparty, kiedy atmosfera się rozluźnia. Wiadomo było, że odpowiadał za to ktoś z wewnątrz. Z tym że domysłów, kto miałby to być, było całe mnóstwo. Garderoby artystów rzadko kiedy są zamykane, a przez cienkie ścianki boksów słychać dosłownie każde słowo. Ale ty już się domyślasz, kto za tym stał – patrzy na mnie chytrze. – Domi nie była jednak głupia – ciągnie dalej. – Nie wysypała sekretu żadnego z artystów, z którymi bezpośrednio współpracowałyśmy. Krążyła jak sęp, przemieszczała się z boksu do boksu. Tam węszyła. Nawet nie wiem, kiedy miała na to czas w tym całym chaosie, jaki panuje przy tego typu imprezach. Za pierwszym razem jej się upiekło, za drugim i trzecim też. Chyba wtedy straciła czujność. Przy okazji kolejnego ostro zakrapianego afterka naprawdę zaszalała – była nie tylko na cyku, łyknęła też jakieś prochy. Nieopatrznie chlapnęła coś wtedy Arniemu. Zawsze miała do niego dziwną słabość. To było tylko słowo, może dwa, ale widocznie tyle mu wystarczyło, by podchwycić temat. Przesłodki chłopak i zdolna bestia, a przy okazji straszna papla. To cały Arnie. Lubi mieć jęzorem szczególnie wtedy, kiedy obskakuje swoje klientki w salonie fryzjerskim. *U Arniego każdy zna każdego*. Taki neon mógłby wisieć nad wejściem do jego salonu. Pewnie tym kanałem wieści dotarły do Valerie, jednej z aktorek, to do jej tyłka wcześniej dobrała się Domi. Valerie, mając za dowód tylko słowa Arniego, potrzebowała konkretów. Nieświadoma niczego Domi wpadła w zasadzkę kilka tygodni później, przy okazji innej imprezy, w trakcie nagrywania kolejnego hot newsa, w zainscenizowanej przez Valerie sytuacji. Gdyby nie raban, jaki Val wtedy wszczęła, news pewnie znów trafiłby na Pudła. Ale rzecz jasna nigdzie już nie trafił, a my byłyśmy skończone. Obie. Moje nazwisko powtarzano z niesmakiem równie często jak jej. Bez znaczenia było, że nie miałam z tym wszystkim nic wspólnego.

– Domyślam się też, że to przysporzyło wam całą masę wrogów?

– Nie jestem w stanie wymienić wszystkich. Nie chodziło nawet o artystów, których chciała skompromitować. Hejt przetoczył się przez całe środowisko.

– A mąż? Jak na tę całą sytuację zareagował?

– Och, ten biedny frajer po tym wszystkim został przy niej. Nawet chyba

było mi go żal.

– Czyli w tej relacji dobrze się układało?

Marika śmieje mi się w twarz jakoś dziwnie, zgrzytliwie.

– Jej związek był równie oszałamiający jak jej życie i równie mdląco-słodki jak komentarze, które regularnie dodawała pod postami swoich klientów albo tych, których dopiero chciała zwerbować. Były jeszcze emotki serduszek, naprężonych mięśni, buziaczków. Robiła to na pokaz. Zawsze miało być tak, jak ona chciała, żeby to wyglądało.

Jak ktoś na siłę wprowadzony do małżeńskiej alkowy – tak czuję się właśnie teraz. Niezrażona moją zde gustowaną miną Marika parska śmiechem.

– Nie ona była w tym wszystkim najbardziej żałowana. Nie mogę mimo wszystko odmówić Domi sprytu i polotu. To ci nieudacznicy bez skutku bawiący się w *mingling* są naprawdę obciachowi.

– *Mingling*? – powtarzam. – Co to takiego?

Kolejny wybuch śmiechu wizażystki jest jeszcze donośniejszy.

– Ty tak na serio? Niby siedzisz w podobnej branży, a mam wrażenie, że gadam z kimś, kto urwał się z choinki – mówi i rzuca mi czujne spojrzenie.

– To chyba nawet dobrze. – Wzruszam obojętnie ramionami. – Czymkolwiek jest to całe minglowanie, nie masz chyba o nim najlepszego zdania.

– No raczej – wzdycha z fałszywym obrzydzeniem. Coś mówi mi, że sama była, a może nadal jest, tego częścią. – Na premiery i inne zamknięte eventy w Wawce często przychodzą pseudoartyści albo typy z ulicy, ludzie, którzy jakimś cudem wystarali się o zaproszenie. Wcale nie po to, by oddychać sztuką. – W powietrzu rysuje dłońmi jakieś esy-floresy. – To gadka szmatka dla naiwniaków. Kręcą się wokół dziennikarzy albo najczęściej łaszą do artystów z silną pozycją na rynku, byle tylko nawiązać kontakty. Liżą wory każdemu, kto może ich pchnąć do przodu, byle bliżej kariery. A to najczęściej beztalencia z przerośniętym ego. Bywają też wyjątkowi desperaci. Najgorszy gatunek. Łatwo ich rozpoznasz, bo w przypiływie ekscytacji drży im głos, a na szyi wykwitają czerwone plamy. Odsłaniają dziąsła w służalczym uśmiechu. Pragną na siłę przyssać się do sławnych i znanych

postaci, tak jakby chcieli sięgnąć do ich ust i zlizać z nich słowa poparcia. Dla siebie – to chyba oczywiste. Ale rzadko mają szczęście. Jak nic z tego nie wyjdzie, to na pocieszenie mogą chociaż stanąć na ścianie i szczyryć się do swoich telefonów, trzaskając selfiaki, żeby móc je potem wrzucić na Insta. I odpowiednio otagować. Że byli, że posmakowali. No nie patrz tak... – Marika znów chichocze, zupełnie jakbym była jej młodszą kumpelą, której właśnie wyjaśniła, czym jest brudny seks, coś w rodzaju sado-maso. – W ten sposób to działa.

Co do jednego Marika ma rację. Czuję niesmak. W ciągu dziesięciu minut ta kobieta zdążyła mi sprzedać same show-biznesowe koszmarki, jeden okropniejszy od drugiego. Biorąc pod uwagę kilka lat ich udanej współpracy i pewien rodzaj przyjaźni, jaka musiała je w pewnym okresie łączyć, dość alarmujące było też to, że wylała na Dominikę wiadro pomyj. Jestem ciekawa, do czego jeszcze mogła się posunąć, skoro wciąż tak bardzo jej nienawidziła.

– To by było na tyle z mojej strony. – Wstaje i odsuwa się ode mnie.

Poprawia zagięcia na sukni, a w liściach sałaty dogasza niedopalonego peta, po czym zamyka pudełeczko. Po chwili nietknięty lunch ląduje w śmietniku.

– Nie znajdziesz w jej historii drugiego dna. Domi miała po tym wszystkim po prostu wyjątkowy niefart, że trafiła na tego psychopatę.

Od frontu willi dobiega nas gwar i śmiech nastolatek. Podnoszę wzrok. Kolejna grupka dziewczyn aspirujących, jak się domyślam, do kreowania piękna u boku Mariki stoi na parterze pod klatką schodową prowadzącą do jej pracowni.

– Zapraszam, zapraszam... – Marika jest już przy nich, uśmiecha się promiennie. Jej głos brzmi serdecznie.

A ja czuję mdłości, zupełnie jakbym właśnie wyciągnęła z kosza jej lunch i kęs po kęsie zjadła go razem z petem.

# Rozdział dwunasty

*18 października 2018  
wieczór*

Zostawiam za sobą pustoszejące o tej porze centrum i kieruję się w stronę domu. Na siedzeniu pasażera wiozę dwie tacki sushi, które kupiłam pod pretekstem podkarmienia Nat. Właściwie i ja umieram z głodu. Zetknięcie ze światem show-biznesu, a raczej wielkiego wizażu, i obcowanie z chorym i poobijanym ego Mariki Dąbrowskiej przyspieszyło mój puls, a wraz z nim metabolizm. Podkradam jedno surimi ze swojej porcji, pakuję je do ust i podkręcam regulator radia, by lepiej słyszeć skrót najnowszych informacji z regionu.

„Makabryczne odkrycie w Gdyni”. Te cztery słowa spikera wyławiam z potoku innych, w tej chwili mniej istotnych. To przecież jeszcze nic nie oznacza, a mimo wszystko czuję, jak cierpnie mi skóra. Po kolejnej porcji informacji o przepychankach na sali sejmowej nadchodzi to, na co czekałam.

„Dzisiaj w godzinach porannych spacerujący z psem mężczyzna natknął się w okolicy Polanki Redłowskiej na makabryczne znalezisko. Okazały się nim ludzkie szczątki. Tożsamość ofiary ani przybliżony czas zgonu nie są jeszcze znane. Nie wiadomo także, od jak dawna szczątki znajdowały się w lesie ani czy to tam dokonano zbrodni. Przechodzące ostatnio przez Gdynię ulewne deszcze na terenie narażonym na erozję mogły wypłukać zwłoki ze znajdujących się w tym miejscu szczelin przeciwlotniczych. Nad sprawą pracują policja i prokurator. Przesłuchiwani są kolejni świadkowie. Rzecznik prasowy komendy w Gdyni nie udziela żadnych dodatkowych informacji, zasłaniając się dobrem śledztwa, które jest dopiero we wstępnej fazie. Dodatkowego rozgłosu sprawie dodaje fakt, że do znalezienia zwłok doszło w pobliżu Jaskini Goryla, kryjówce przestępcy, który grasował

w latach sześćdziesiątych i tam więził swoje ofiary. Mieści się nad nią pozostała część fortyfikacji budowanych przed drugą wojną światową, a obecnie jest to teren położony nieopodal popularnych ścieżek spacerowych. Wśród mieszkańców dzielnicy sąsiadującej z miejscem znalezienia szczątków szerzy się niepokój, czy w mieście nie pojawił się jakiś naśladowca Goryła. Policja jednak studzi te nastroje, twierdząc, że obawy są bezpodstawne. O postępach w śledztwie będziemy informować na bieżąco”.

Dopiero kiedy dociera do mnie wycie klaksonów, zdaję sobie sprawę, że światło już dawno zmieniło kolor na zielony. Cała drzę i nie jestem teraz w stanie prowadzić, zjeżdżam więc w najbliższą zatoczkę dla trolejbusów. Chciałabym się mylić, ale intuicja tworzy w mojej głowie czytelny obraz zbudowany na tych strzępach informacji. Jestem prawie pewna, że ta ofiara to ona. Dominika Kalita, kobieta, która niedawno nabrała realnego kształtu, znów rozsypała się w pył. Tym razem najprawdopodobniej na zawsze. Widzę jej twarz, przesuwa się przed moimi oczami jak rozmyte widmo. Żal przechodzi natychmiast we wściekłość. Na siebie, na opieszałość glin, na wszystko. Siedzę z głową opartą o kierownicę, czuję, jak po policzkach spływają mi łzy.

Nie wiem, ile czasu mija, kiedy wreszcie ruszam.

# Rozdział trzynasty

*19 października 2018  
poranek*

Tej nocy nawet nie zmrużyłam oka. Chęć dotarcia do prawdy w tych nowych okolicznościach ponownie otworzyła w mojej głowie drzwi do setek możliwości. Kolejne pchnięcie sprawiło, że puściły śluzy i wylało się morze nagromadzonego we mnie strachu.

Nie chcę znów zdawać się na kaprys losu, o świcie przestawiam się więc na tryb łowcy. Nie wiem, dokąd ten nowo obrany kurs mnie zaprowadzi, nie wiem, kto ani co jeszcze stanie na mojej drodze. Tak wygląda moja organiczna reakcja na szerzące się wokół zło, i jedyna, której ufam.

Mój dość mglisty jeszcze plan dalszych działań oparty jest na jednym fundamencie – bezwzględnie wymaga ode mnie zachowania trzeźwego umysłu. Na razie wydaje się to proste. Od kilku dni nie tknęłam żadnej z butelek zamkniętych na klucz w barku. Opróżnione do połowy i pozbawione korka, zza upstrzonej odciskami moich palców szyby wyglądają jak nędzne prowokatorki. Nie wzbudzają we mnie niczego więcej poza zwykłym obrzydzeniem. Liczę, że taką komitywę z abstynencją będę trzymać już zawsze.

Pierwsze punkty swojego nowego planu zaczęłam wdrażać po wyjściu z domu, kilka minut po szóstej nad ranem. Mimo deszczu i wczesnej pory jedyne wejście do lasu od strony prowadzącej do Jaskini Goryla oblegane już było przez gapiów i ekipy telewizyjne. Przedarcie się przez tłum spływających deszczem peleryn i parasolek graniczyłoby z cudem. Zresztą miejsce zbrodni i tak pozostawało niedostępne – taśmy policyjne odgradzały tłum gapiów od wciąż pracujących tam techników. Wokół tylko od czasu do czasu słyhać było podekscytowane okrzyki. Zapewne chodziło o obawy, że pojawił się naśladowca seryjnego mordercy.

Chłopak w ortalionowej kurtce, który nie wydał mi się jednak wiarygodny, snuł swoje teorie. Twierdził, że zanim odgrodzono miejsce zbrodni, usłyszał rozmowę oficerów policji. Mieli podobno zabezpieczyć śladowe ilości materiału dowodowego: ludzką tkankę, dwa trzonowce z charakterystycznym wypełnieniem, kilka polakierowanych paznokci oraz kilkadziesiąt długich, tlenionych blond włosów. A także metalowe odłamki niewiadomego pochodzenia. Według chłopaka sposób rozdrobnienia ciała wskazywać mógł na rębarkę do drewna lub inne tego typu narzędzie.

Choć ta teoria wymaga pewnej wiedzy, mam do niej dystans – chłopak wyglądał mi na łowcę sensacji lubiącego robić szum wokół siebie.

Nie dowiedziałam się tam niczego więcej, więc usiadłam na oddalonej od wrzawy ławce i wygooglowałam wszystkie możliwe artykuły, jakie do tej pory pojawiły się w sieci. Nie natrafiłam na nic ciekawego, a przynajmniej na nic, co brzmiałoby wiarygodnie. Moją ciekawość wzbudziły jedynie wzmianki o „świadku przesłuchiwanym przez policję”. Jeżdżę czasem drogą przylegającą do obrzeży Polanki Redłowskiej i niemal za każdym razem mijam starszego faceta, który w zatoczce, w pobliżu wjazdu do lasu, z bagażnika swojego samochodu sprzedaje poroża. To jest mniej więcej czterdzieści, maksymalnie pięćdziesiąt metrów od wejścia, z którego niewątpliwie musiał skorzystać morderca. Zastanawiam się, czy to o sprzedawcy poroży była mowa w tych artykułach. Jeśli tak, co rzeczywiście widział on tamtego dnia, w którym porzucono szczątki? Na razie nie mogłam zaspokoić swojej ciekawości – stałe miejsce sprzedawcy było dziś puste. Wróciłam więc do samochodu i kilkakrotnie próbowałam się dodzwonić na numer podany mi przez Sennego. Bez skutku. Do teraz pozostawał nieosiągalny.

Kolejnym ogniwem łączącym tę sprawę z Dominiką Kalitą był jej mąż. Namierzenie go okazało się nie lada wyzwaniem. Nie miał konta na żadnym z portali społecznościowych ani na biznesowym LinkedIn. Kilka wywiadów, jakie wyłowiłam w sieci, potwierdzało jedynie, że był liczącym się w trójmiejskim świecie biznesmenem. Załączone zdjęcia przedstawiały faceta w średnim wieku z zaczesaną na bok czupryną i przyklejonym do twarzy uśmiechem. Nosił stalowoszary garniak i na każdej fotce ścisnął dłoń swoim partnerom biznesowym. Na moje oko wkładał w to zbyt dużo siły. Jego twarz, nawet wtedy, kiedy chciał nadać jej przyjazny wygląd, miała w sobie

coś drapieżnego. Nie zdziwiło mnie to. Sądzę, że stanowisko, które zajmuje, wymaga niemałej bezwzględności.

Sandra, jego nowa żona, była natomiast znacznie bardziej wylewna. Na media społecznościowe wrzucała dosłownie wszystko – począwszy od wypitych przez siebie napojów i uronionych nad komedią romantyczną łez, a skończywszy na kilkunastu zdjęciach USG ich potomka. Tak, była w zaawansowanej ciąży i przez facebookowy post poszukiwała niani dla swojego dziecka. Uznałam, że to szczęśliwy zbieg okoliczności, dzięki któremu trafiła mi się okazja na złożenie wizyty w ich domu.

Nie zastanawiałam się długo. Od ręki spreparowałam wiarygodnie brzmiące referencje niani idealnej i wysłałam swoje CV na jej adres mejlowy. Nie liczyłam, że tak szybko chwyci przynętę. Mój fikcyjny życiorys musiał jednak zrobić na niej wrażenie, bo odezwała się do mnie z propozycją spotkania już po kilku godzinach. Zgodziłam się, rzecz jasna. Mam przyjechać do jej domu już dziś na osiemnastą.

Zakładam, że wszystko pójdzie gładko, a jej nie przyjdzie do głowy, żeby sprawdzić moje nieistniejące rekomendacje, więc nie mam jeszcze konkretnego planu na to, co dalej. Bardziej niż zdemaskowania obawiam się własnej reakcji na widok Sandry. W sumie nie chodzi do końca o nią, ale o jej dziecko. Odkąd straciłam Hanię, ciężko znoszę widok ciężarnych kobiet. Zwykle kończy się na tym, że przechodzę wtedy na drugą stronę ulicy albo zamykam oczy, dopóki mnie nie miną. Nie mam pojęcia, co może wydarzyć się tym razem. I czy nie skończy się to kolejnym flashbackiem. Wylogowując się z Facebooka, nie mogę oprzeć się jakiemuś dokuczliwemu wrażeniu, że Sandra wygląda znajomo. Dopiero po chwili dociera do mnie, że jest niemalże wierną kopią swojej poprzedniczki.

Wkładam dopasowaną prążkowaną marynarkę i czarne dżinsy – skromna elegancja oparta na najlepszych ciuchach z mojej szafy. Ostatnio miałam je na sobie w jakimś Empiku, szczęśliwa i pewna siebie, w dobrych czasach spotkań z czytelnikami. Dziś czuję się w tych ciuchach trochę jak oszust w przebraniu. Po raz pierwszy od dawna w myślach gorączkowo usprawiedliwiam się sama przed sobą, że w tym przypadku cel uświęca środki.

Pod czujnym okiem kamery odruchowo gładzę klapy i prostuję



zagniecenia, których tam nie ma – zupełnie jakby spod ciuchów miała wypełznąć moja prawdziwa tożsamość. Domofon przy bramie brzęczy i wpuszcza mnie do środka na znak, że nie mam się czym martwić. Oto wkraczam do innego świata.

Wzniesiona z białego kamienia i usadowiona na wzgórzu willa, otoczona starymi lipami i żywopłotem, wygląda, jakby przycupnęła dokładnie na skraju morza i lądu. Jest jak mieszkanie pokazowe dla bogaczy szukających najlepszego lokum w gdyńskim Orłowie. Prosta, jasna bryła z milionem przeszkleń na poziomie funkcjonalności i estetyki zgarnęłaby w rankingu top nadmorskich domów najwyższą notę. Po drodze na ganek mijam trzy quady, oczko wodne z tryskającą z niego fontanną, kort tenisowy i oranżerię pełną egzotycznych roślin. Nie wiem, na czym skupić uwagę.

Wtedy czuję na sobie czyjś wzrok. Przeszklone drzwi domu są otwarte, a w wylewającym się przez nie blasku jasnego światła stoi kobieta w szarym kardiganie i spódnicy do kostek. Czuję emanujące od niej ciepło. Jest przed siedemdziesiątką, ma dobrą, szczerą twarz otoczoną długimi, srebrnymi kosmykami. Jest smukła i smagła, przypomina mi chyba którąś z postaci z obrazów Klimta. Stawiam na *Pocałunek*. Myślę, że odgrywa tu rolę pomocy domowej albo gosposi, czyli kogoś, kto może znać rodzinne sekrety. O to mi chodzi. W pewnej chwili przyłapuję ją na tym, że mi się przygląda. Wydaje się zaskoczona albo spłoszona, jakbym kogoś jej przypominała. Kiedy spuszcza wreszcie wzrok, wraca do swojej zachowawczej uprzejmości – uśmiecha się i nie patrząc mi w oczy, zaprasza do środka.

W korytarzu mijam Adama – męża Dominiki. Jest skupiony na wyświetlaczu telefonu i wydaje się, że mnie nie zauważa, a tym bardziej nie oczekuje. Na żywo nie wygląda już jak jurny samiec alfa, ale raczej korpulentny sześćdziesięciolatek trochę zmęczony życiem. Jest zbyt okrągły, zbyt gładki, zbyt idealnie uprasowany. Tacy faceci nigdy mnie nie kręcili ani nawet nie wzbudzali mojego zainteresowania. Zastanawiam się, co przyciąga do niego dużo młodsze kobiety i czy rzeczywiście jest to forsa. Nim wychodzi z domu, rzuca jakąś warkliwą komendę w stronę gosposi, a ja wciąż pozostaję dla niego niewidoczna. Nie żegna się z nami, po prostu wychodzi. Gbur – dokładnie takie jest moje pierwsze wrażenie. Gosposia wzdycha, podnosi na mnie swoje bursztynowe oczy, po czym kiwa wymownie głową i prowadzi przez olbrzymi przedpokój, w którym nie

spodziewałam się zastać tak surowego skandynawskiego klimatu. Dominują tu biel i błękit, po kątach porozstawiano proste dębowe meble, podłogi wyłożono deskami z wielkimi sękami. Na półkach nie ma żadnych zbędnych bibelotów, tylko zdjęcia i książki, pokój tonie za to w kwiatkach. Nie zatrzymujemy się tu na dłużej.

Kolejne drzwi prowadzą do salonu o powierzchni trzykrotnie większej niż poprzednie pomieszczenie. Na samym środku, zatopiona w skórzanym fotelu, z telefonem w ręku i w obcisłej landrynkowej sukience z żabotem, siedzi Sandra. Jest jak przesadnie wymuskany piesek salonowy. W przeciwieństwie do mnie na pewno dobrze się tu czuje. Wolną ręką głaszcze czarnego pudelka, który leży wyciągnięty na kolanach swojej pani, zasłaniając jej brzuch. Sandra jest ładna, ale nie tak atrakcyjna, jak się tego spodziewałam po facebookowych fotkach. Powiedziałabym, że jej uroda jest raczej pospolita, a jedynie podrasowana przez operacje plastyczne. W przeciwieństwie do Dominiki, której oczy płonęły dzikim blaskiem pasji i chęci wydarcia czegoś z życia, obecna żona Adama sprawia zupełnie odwrotne wrażenie. Jakby było jej lepiej w pasywnej roli trochę zblazowanego, ale ładnego elementu dopełniającego piękna tego wnętrza.

Na stole czeka na mnie butelka mineralnej i szklanka z lodem. Zachęcona gestem Sandry siadam i pozwalam jej prowadzić rozmowę. Autentycznie wkręcam się w tę dziwną rolę fałszywej niańki i łapię się na tym, że potrafię cholernie dobrze kłamać, bez zajknięcia, bez jednego mrugnięcia okiem. Odpowiadam na mnóstwo pytań dotyczących opieki nad dzieckiem i właściwie wcale nie mijam się z prawdą. Wykorzystuję całą wiedzę, którą wchłonęłam po przeczytaniu przynajmniej kilkunastu podręczników dla przyszłych rodziców. Zamiast o cudzym dziecku, myślę po prostu o swojej córeczce. O naszej własnej więzi, miłości i o tych wszystkich chwilach, które nas ominęły.

– Może chciałaby pani obejrzeć jej pokój? – pyta mnie Sandra. Mija chwila, nim na powrót wracam do rzeczywistości i zdaję sobie sprawę, że mowa jest o jej, a nie o moim dziecku.

Tak czy siak, słowa Sandry biorę za dobry znak. Skoro chce zaprowadzić mnie do dziecięcego pokoju, to najpewniej oznacza, że musiałam wzbudzić jej zaufanie. Kiedy mamy wspiąć się po schodach, mój wzrok przyciąga ogromne zdjęcie w złotej ramce zawieszona w gablocie. Uśmiecha się

z niego dobrze mi znana blondynka dzierżąca z dumą puchar mistrza kosmologii i certyfikat przepasany czerwoną kokardą. Oddalona ode mnie o parę schodków Sandra czujnie mi się przygląda.

– Gratuluję sukcesu. Zajmuje się pani wizazem? – rzucam z udawanym entuzjazmem.

Sandra oblewa się rumieńcem.

– To Dominika. Była żona Adama.

Czekam, licząc na to, że jej urażona kobieca duma nie wytrzyma. Zakładam, że chłapnie coś jeszcze, bo nie będzie chciała, abym wzięła ją za frajerkę, która pozwala mężowi trzymać w centralnym miejscu salonu zdjęcie swojej konkurentki.

– Nie żyje. Zginęła... – szuka słów – ...w tragicznym wypadku dwa lata temu. – Wydyma żałośnie usta, które są jak dwie lśniące, napęczniałe od zaaplikowanych im dawek chemii wiśnie.

Wypadek, dobre sobie.

– Przykro mi – mówię i niemal dodaję coś, czego mogłabym potem żałować.

Sandra najwyraźniej nie ma ochoty brnąć w temat dalej, bo odwraca się na pięcie i sunie schodami w górę. Po drodze mijamy pokój należący do nastolatka. Pod każdą ze ścian piętrzą się pudła z nierozpakowanymi jeszcze nowinkami ze świata techniki: hulajnoga, kusza, Xbox, elektryczna deskorolka, słuchawki i tym podobne gadzety do zabawy w pojedynkę.

– To pokój Doriany, syna Adama z drugiego małżeństwa. Wpada tutaj tylko w weekendy. Nim nie będzie się pani musiała zajmować.

Zżera mnie ciekawość, jak długo ten dzieciak tu faktycznie przesiaduje i czy w ten sposób ojciec kupuje sobie jego miłość albo, co gorsza, święty spokój. Nie mogę tego wiedzieć na pewno, ale robi mi się jakoś smutno na myśl o tym nastolatku.

Do kolejnych drzwi Sandra dopada ze zwinnością galopującej przez las łani.

– To graciarnia – rzuca, nerwowo sapiąc. Obiema rękami kurczowo trzyma kłamkę. Ewidentnie nie chce, żebym zajrzała do środka.

Nim drzwi zamkną się z głośnym łupnięciem, przez szparę udaje mi się wypatrzeć popakowane w pudła damskie ciuchy i chyba jakieś dokumenty. W kącie pod oknem piętrzy się sterta pucharów. Są zadziwiająco podobne do tego, który przed chwilą widziałam w rękach Dominiki oprawionej w złotą ramę. Nie marzę o niczym więcej jak tylko o tym, by choć przez chwilę tam pomyszkować. Idę o zakład, że wszystko, co po sobie tu pozostawiła, mieści się właśnie w tamtych kartonach.

– To tutaj. – Sandra popiskuje teraz z ekscytacją małej dziewczynki. Stoi już w przejściu kolejnych drzwi. Wokół jej stóp kręci ósemki pudełek równie pobudzony jak właścicielka.

To, co przed sobą widzę, wygląda jak baśniowa kraina lodów śmietankowych i puszystych króliczków. Koszykowa kołyska z wiszącą nad nią pozytywką w puchate stworki. Złożone w kostkę śpiochy, zawieszane na wieszakach tiulowe sukienki w wersji mini. Kolorowe pluszaki z wyciągniętymi przed siebie łapkami. Dziesiątki par ich długich uszu i błyszczących oczu. Mam przed sobą prawdziwy raj dla każdej maleńkiej dziewczynki, na której narodziny czeka się z niecierpliwością. Ten dobrze znany widok nagle trąca we mnie drażliwą strunę i z automatu przyprawia o mdłości. Żołądek na przemian kurczy się i skręca, rozpycha kłuciem w moim brzuchu. W uszach grzmi mi od uderzeń serca. Nie dam rady być tam ani chwili dłużej, ale w przyływie resztek racjonalnych myśli wynajduję jakiś rozsądny pretekst, aby móc się stamtąd wydostać. Kiedy kilka minut później z przyklejonym do twarzy uśmiechem wychodzę na zewnątrz, słyszę za sobą łagodny głos gosposi. Zwraca się do pracodawczyni. Mówi, że nie czuje się najlepiej, i prosi ją o pozwolenie na wcześniejsze wyjście do domu. Nie wiem jednak, co odpowiada jej Sandra, słyszę tylko jej obietnicę, że wkrótce się do mnie odezwie.

Pełzające obłoki szarej mgły i słonawy zapach morza orzeźwiają mnie jak kubeł zimnej wody. Zatrząskuję za sobą furtkę, siadam na oddalonym od kamer trawniku i wystawiam twarz na powiew wilgotnego powietrza. Wieczorny chłód jest teraz wszystkim, czego mi trzeba, by dojsć do siebie. W ciągu godziny, którą spędziłam z Sandrą, molo prawie zupełnie opustoszało, a morze zdążyło przybrać ciemnografitowy odcień. Intuicja podpowiada mi, że moja wizyta tutaj była nieprzypadkowa, a brakującym elementem tej układanki może być gosposia. Nie mam żadnej gwarancji, że

będzie chciała ze mną rozmawiać i w ogóle wie coś więcej, ale i tak postanawiam na nią poczekać. Nie mija nawet półtorej godziny, kiedy faktycznie pojawia się w bramie. Ma zmęczoną twarz, a na sobie biały płaszcz i spódnicę w kwiaty. W świetle spadającego za horyzont słońca jej skóra jest śniada jak kawa z mlekiem. Od razu mnie zauważa, chociaż ławka, na której teraz siedzę, ukryta jest we wnętrzu za rozłożystym drzewem.

– Co pani tutaj robi? – Cofa się o krok, jej pytanie brzmi oskarżycielsko.

– Czekam na panią.

Wymija mnie, spuszcza głowę i przyspiesza kroku.

– Proszę stąd odejść. Wiem, że nie jest pani tym, za kogo się podaje. – Jej głos jest szorstki.

– To prawda. A jednak nie ostrzegła pani swojej pracodawczyni, kiedy byłam w środku.

Nie odpowiada, ale zwalnia. W jej oczach widzę ciekawość zmieszaną z wahaniem. Zapada między nami niezręczna cisza. Światło zachodzącego słońca pada na jej twarz, odsłaniając siność ust i zmarszczki w kącikach oczu. To przez nie wydaje mi się starsza, niż początkowo zakładałam. Albo może nie najlepszy stan zdrowia odpowiada za jej niekorzystny wygląd. Widząc opuchliznę wokół jej kostek, stawiam na to drugie.

– Mimo wszystko nie sądzę, żeby ktoś o pani wrażliwości chciałby skrzywdzić drugą osobę – szepce. – Żeby była jasność: i tak nie zamierzałam pozwolić, żeby dostała pani tę pracę.

O co jej chodzi? Czytała moje książki? Dlatego wydaje jej się, że mnie zna i w jakiś sposób rozumie? Zaczynam się zastanawiać, jak najlepiej to rozegrać. Jeśli badania potwierdzą, że znaleziono w lesie szczątki Dominiki, to policja najpierw złoży wizytę jej mężowi, a wtedy ta kobieta wyśpiewa im, że weszłam w ich domu, udając kogoś, kim nie jestem. Stawiam więc na całkowitą szczerłość, licząc, że odwzajemni się tym samym.

– Nie zależało mi na pracy, tylko na tym, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Dominice.

Widzę, jak na jej wspomnienie kobieta sztywnieje; jakieś mroczne, znane tylko gosposi emocje ściągają wszystkie mięśnie jej twarzy.

– Nie rozumiem.

Opowiadam jej więc o blondynce, która wynajęła pokój numer cztery w moim pensjonacie, o mężczyźnie, który pod osłoną nocy kolejnego dnia wyniósł stamtąd jej ciało i o moim własnym dochodzeniu. Swoją relację kończę na policyjnych doniesieniach o znalezieniu ludzkich szczątków i o moim podejrzeniu, że ofiarą mogła być jej była pracodawczyni.

– Czego pani w związku z tym ode mnie oczekuje? – pyta, wzdychając.

– Chciałabym, żeby powiedziała mi pani coś więcej o Dominice. O jej relacji z mężem.

Gospośia marszczy brwi, zmarszczka między nimi się pogłębia.

– Byłabym nielojalna wobec swojego pracodawcy. Nawet jeśli jest tak, jak pani mówi, sprawą zajmie się policja.

– Nie chcę na nich liczyć. Nie w sytuacji, kiedy morderca jest na wolności i wie, że go widziałam, a oni nie podjęli właściwie żadnego tropu, na który ich naprowadziłam.

Jestem prawie pewna, że i tak mnie zlekceważy, bo w milczeniu rusza z miejsca i oddala się ode mnie dość szybkim krokiem. Kiedy się z nią zrównuję, z czegoś, co brałam za bezładną paplaninę, wyłaniają się jednak słowa.

– Piekło jest puste, a wszystkie diabły są tu.

– Słucham?! – Przysuwam się jeszcze bliżej, idziemy teraz ramię w ramię.

Gospośia nie ogląda się za siebie ani nie patrzy mi w oczy. Wbija wzrok w płytki chodnikowe i znów nieco zwalnia kroku.

– To z *Burzy* Szekspira. – Przystaje i przez chwilę z trudem łapie oddech. Proponuję, abyśmy usiadły na pobliskiej ławce, ale zbywa mnie machnięciem ręki. – Często myślałam, jak aktualne są te słowa i jak zgodne z tym, co od dłuższego czasu działo się pod dachem tego domu. A było to w konflikcie z zasadami, które wyznaję na co dzień. Adam i te wszystkie kobiety wiązali się ze sobą zwykle z niewłaściwych powodów. Przykro było mi patrzeć przez te lata, jak pod moim nosem powtarza się podobny scenariusz. Bardziej niż z małżeństwa one czerpały radość z wystawnych przyjęć i złotych kart kredytowych. Za jego cichym przyzwoleniem. On z kolei lubił mieć u swojego boku określony typ kobiety: atrakcyjną, ale nieco naiwną, taką, która nie zadawała zbyt wielu pytań. Z biegiem czasu każde z nich starało się

zdominować to drugie i dostosować je do swoich egoistycznych wyobrażeń. Zanim pojawiła się Dominika, zawsze kończyło się tak samo: każda któregoś dnia dostawała dramatycznych napadów płaczu albo furii, bo czuła się niekochana. A pieniądze w którymś momencie przestały już wystarczać. Wybuchiała zazwyczaj wtedy, kiedy okazywało się, że poza nią był ktoś jeszcze. A dowiadywały się zawsze, bo Adam się z tym specjalnie nie krył. Wkalkulowywał za to ryzyko ich roszczeń w warunki intercyzy, którą kazał sporządzać przy zawieraniu kolejnych małżeństw. Wszystkie jego partnerki prędzej czy później pakowały walizki i zostawały z niczym, poza dzieckiem i alimentami. Wszystkie, z wyjątkiem Dominiki...

Gospoia przygryza wargi, jakby chciała zmusić się, by na tym poprzestać. Rumieniec wstydu i niesmak z powodu zdrady równoważy jednak chęć zrzucenia jakiegoś ciężaru, który wciąż leży jej na sercu. Czekam na więcej. Ruszamy z miejsca i kierujemy się chyba w stronę przystanku autobusowego.

– Ona nie była taka jak inne. Błyskotliwa, niezależna i chorobliwie ambitna – taką ją pamiętam. Wytrwali razem pięć lat. Szczerze liczyłam na to, że będą ze sobą dłużej. Adam wydaje się oschły, ale w gruncie rzeczy nie jest złym człowiekiem. Powielił te same błędne schematy myślenia, bo sam został kiedyś zraniony. To taka jego reakcja obronna. Natomiast Dominika po paru latach pokazała, że potrafi zmieniać maski. Raz była kobietą czarującą, a raz przebiegłą... A środki, których używała do osiągnięcia swoich celów, były... okrutne – gospoia zniża głos, ostatnie słowo niemal zagłusza świst pędzącego samochodu.

– Chodzi o aferę z portalami plotkarskimi? O informacje, które Dominika im sprzedawała? – bardziej stwierdzam, niż pytam.

Gospoia potrząsa jednak głową. Wycieńczona po raz kolejny zbyt szybkim tempem, jakie sobie narzuciła, dopiero po dłuższej chwili reguluje oddech. Kilkadziesiąt metrów dalej, kiedy zatrzymujemy się przy przystanku autobusowym, resztką sił opada na plastikowe krzesło. Z torebki wyciąga butelkę wody i blister z pigułkami, z którego jedną tabletkę wkłada sobie pod język. Popija wodą. Pytam ją, czy wszystko w porządku, ale gromi mnie spojrzeniem i każe mi słuchać uważnie.

– Przez pewien czas i ja myślałam, że sfingowała swoją śmierć. Kilka dni

po rzekomym znalezieniu jej porzuconego samochodu Adam odkrył, że domowy sejf, w którym trzymał część swojej kolekcji złotych i srebrnych monet, jest pusty. Wyparował stamtąd klaser z dukatami z powstania listopadowego wart kilkaset tysięcy złotych, a także unikatowa kolekcja antycznych monet – złotych staterów i srebrnych tetradrachm. Zawartość sejfu Adam wycenił kiedyś na znacznie ponad milion złotych. Kod dostępu znał tylko on i Dominika. Wniosek był więc prosty...

Rozdziawiam usta. Nie takiej rewelacji się spodziewałam.

– Lepsze zabezpieczenie finansowe niż kredytówki męża. Ale przecież w policyjnych raportach nie ma żadnej wzmianki o kradzieży...

– Bo Adam ich nie powiadomił. Nie było włamania, więc nie mógłby liczyć na pieniądze z ubezpieczenia, a zgłaszając kradzież, ściągnąłby na siebie podejrzenia policji. Uznaliby, że miał motyw, żeby szukać na Dominice zemsty. Nie powinnam pani tego wszystkiego mówić. – Gospościa zrywa się z siedzenia i zakrywa dłonią usta, jakby zdała sobie sprawę, że zrobiły coś, na co wcale nie dała im przyzwolenia. – Ale jestem już tym wszystkim zmęczona... Tak strasznie zmęczona...

– Czy Adam mógł...?

– Zabić Dominikę? Nigdy. To nie ten typ człowieka.

Na horyzoncie pojawia się mała, kanciasta sylwetka autobusu. Dwa snopy świateł reflektorów rozlewają się po ulicy. Są coraz bliżej. Kiedy docierają do zatoczki, kobieta podchodzi do krawężnika i zwrócona do mnie plecami, niby od niechcienia, napomyka szeptem o tym, że dwa tygodnie temu na ręce Adama złożyła wymówienie, bo wkrótce czeka ją operacja na otwartym sercu, a po niej długa rekonwalescencja. Z tą wiedzą łatwiej mi zrozumieć swobodę i odwagę, z jaką przyszło jej podzielenie się tym wszystkim ze mną. Proponuję, że odwiozę ją do domu, ale stanowczo odmawia. Krucha, smutna i dezorientowana – taką ją zapamiętuję, gdy wchodzi do pustego autobusu. Powinnam pewnie czuć satysfakcję ze zdobycia nowych informacji, ale w tej chwili jest mi jej tylko po ludzku żal.



# Rozdział czternasty

*21 października 2018  
południe*

W ciągu ostatnich dwóch dni Senny był nieuchwytny. Złapałam go dopiero rano, przed komisariatem, kiedy w wielkim pośpiechu wysiadał z auta. Nasza krótka rozmowa sprowadzała się do jego lakonicznego komunikatu z dosadną sugestią, bym trzymała się z dala od dochodzenia. Zaczerwienione oczy, poszarzała twarz i poplamiony kawą pomięty kołnierzyk koszuli były dowodem nieprzespanej nocy, którą komisarz spędził w terenie albo za biurkiem. Zasłaniając się dobrem śledztwa, Senny nie uraczył mnie zupełnie niczym poza zapewnieniem, że da mi znać, jeśli wyniki badań powiążą znalezione w lesie szczątki z Dominiką Kalitą. Kazał mi się uzbroić się w cierpliwość.

Zanim i ja posunę się o krok dalej, wchodzę do kuchni, by najpierw zrobić to, co odwlekałam od tygodnia. Nie jestem ekscentryczką ani outsiderką. Jestem po prostu introwertyczką. Owszem, dość nieszablonową, żeby nie powiedzieć, dziwną. Przyznanie się otwarcie do błędu, a potem wyduszenie z siebie przeprosin urasta u mnie czasem do rangi wielkiego problemu. Nie dlatego, że nie potrafię tego zrobić. Potrafię. Wszystkiemu winny jest paraliżujący mnie stres i lęk przed wystawieniem się na cios. Zamiast zrobić to, co inni, czyli zwyczajnie wyrzucić z siebie emocje, zwykle tłumię je w sobie, a sama zamykam się w swoich czterech ścianach.

Najczęściej w kuchni. Przesiaduję w niej godzinami i piekę słodkości, tworząc swoje własne kompozycje smaków. Bez książki kucharskiej, bez zachowania proporcji. W każde ciasto wkładam za to swoje serce. W ten sposób wyrażam skrucę, a jeszcze częściej trudne do okazania uczucia, głównie to, jak bardzo mi na kimś zależy. Tak jest i dziś.

Dwie godziny później na blasze stygnie już kokosowy przekładaniec z amaretto. Szpiczasty niczym ostra górską grań wzgórek ciasta wieńczą kandyzowane wiśnie. Zlizuję lepki, mocny likier ze skórki pozostałych owoców. Ciasto wciąż jeszcze paruje, kiedy przechodzę na drugą stronę ulicy i staję z nim pod bramą domu Bartosza Wolnego. Wciąż męczy mnie to, że wiszę mu przeprosiny za tamten incydent na wernisażu. Nie spodziewam się rzecz jasna, że ciasto zdziała jakieś cuda, ale chcę móc spojrzeć mu wreszcie w oczy i mieć już tę wizytę za sobą. Wiem, że jest w domu. Jego zabłocona terenówka stoi na podjeździe, a z pomieszczenia, które biorę za pracownię, sączy się słabe, neonowe światło. Już mam wcisnąć przycisk domofonu, kiedy w kieszeni marynarki wibruje mi telefon.

*Wracamy do domu, do Poznania. Mam nadzieję, że jesteś u siebie. Podrzucę tylko twój klucz i znikam. Będę za godzinę, może dwie. Mama*

Ktoś, kto obraz mojej matki budowałby na podstawie treści jednego z takich esemesów, pomyślałby, że mamy zwyczajne, zdrowe relacje. Do pewnego momentu i ja miałam taką nadzieję, powtarzając sobie do upadłego, że każdemu należy się druga szansa. Otóż nie. Dla swojego zdrowia psychicznego niektóre więzy należy po prostu przeciąć, raz, a dobrze, zamiast liczyć nie wiadomo na co.

Wystukuję więc tylko lakoniczne *okej*, modląc się w duchu, żeby moja wizyta faktycznie przebiegła gładko.

– No proszę, proszę. Ulubiona sąsiadka z naprzeciwka – słyszę męski głos z głębi ogrodu. Ku mojemu zaskoczeniu nie ma w nim złości. Wydaje się wręcz rozbawiony.

Zza rozciągającego się wzdłuż ogrodzenia żywopłotu po chwili wyłania się Bartosz. Ma zmierzwiłone włosy, szarą bluzę i ubrudzone ziemią dżinsy, a w podrapanych rękach trzyma sekator. Jego spojrzenie jest jasne, ciekawskie.

Ale nadal dostrzegam w nim coś, co stanowi dla mnie wyzwanie, co intryguje i w pewien sposób mnie w nim chyba nawet pociąga. Nie lubię tego uczucia, bo obnaża moją słabość i chęć wyrwania się z kimś z mojej samotności. Z kimś, kto pustkę pomoże mi zamienić w serię wzajemnych wyzwaniań, błogość i poczucie bezpieczeństwa. Nie lubię go też dlatego, że zdana na podniesienie poziomu czegoś w organizmie, chyba dopaminy,

zupełnie nie potrafię zachować obiektywizmu. To może mieć przykre następstwa.

Stoimy tak i patrzymy na siebie. Bartosz nie zauważa, że z jego podrapanej dłoni kapie krew.

– Przyniosłam coś. Ciasto na przeprosiny – przerywam wreszcie ciszę. – Strasznie głupio wtedy wyszło. Nie byłam sobą. – Oszczędzam mu rzecz jasna rewelacji, że tamtego wieczoru byłam nieźle nawalona po zmieszaniu kilku lampek szampana z garścią psychotropów i nie panowałam nad tym, co mówię i robię.

Wolny przez chwilę nie reaguje, co sprawia, że stojąc tak pod bramą, czuję się trochę jak intruz. Zastanawiam się, czy nie zostawić mu ciasta na progu i zwyczajnie się nie wycofać. Ale wtedy on podchodzi do furtki i otwiera ją na oścież.

– Może spróbujemy ciasta razem. Na wypadek, gdybyś jednak dodała tam – wskazuje na blachę – parę kropli trucizny. – Uśmiecha się i gestem ręki zaprasza mnie do środka.

Kilka razy starałam się wyobrazić sobie, jak dom Bartosza wygląda w środku. Liczyłam na wymyślny design, otwartą nowoczesną przestrzeń z kolorowymi ścianami pełnymi otrzymanych nagród, plemiennych masek i innych pamiątek z podróży. Nic bardziej mylnego.

W rzeczywistości wewnątrz różni się zupełnie od każdego z moich wyobrażeń. Dom jest mniejszy, jakby trochę skurczony, ale za to schludny i jasny, z mnóstwem tropikalnych kwiatów ustawionych w donicach na parapetach panoramicznych okien. Od progu uderza mnie zapach heblowanego drewna i widok zwiewnej czerwonej sukienki w biało-czarne żurawie, która stanowi upiorny kontrast: kolorowa plama o ludzkich kształtach na tle białej, pustej ściany. Pod sukienką, w szafce na buty, stoją szpilki z lakierowanej skóry. Mają niebotyczne obcasy. Na ich widok przeszywa mnie zimny dreszcz. Muszą należeć do jego żony albo kogoś, z kimś się teraz spotyka. Tyle że mam przecież Bartosza na oku, a nigdy nie widziałam, by do swojego domu przyprowadzał kobietę. Jakoś nieswojo mi z myślą, że te rzeczy mogą być nieruszane, nieprzekładane od dwóch lat, podczas gdy ich martwa właścicielka dawno została pogrzebana. Ta wizja kłuje cieniutkimi igiełkami mój mózg.

– Rozgość się. – Bartosz wskazuje na salon. – Kawy? Herbaty?

– Czarna kawa będzie okej – odpowiadam i wciskam mu w rękę blachę z ciastem. – A tak na marginesie, to krwawisz. Masz jakiś opatrunek? – dorzucam, bo on wciąż zdaje się tego nie zauważać.

– To? To tylko zadrapanie: ja i kilka gałązek – śmieje się i znika za drzwiami, a ja, zamiast usiąść, podchodzę do kilku zawieszonych na ścianie obrazów. Pierwszy z nich to grafika – kilka plam o krzykliwych barwach, jakby namalowanych palcami przez jakieś psotne dziecko. Pozostałe to autorskie fotografie, które pewnie przywiózł ze swoich podróży. Są niepokojące albo zabawne, wprowadzają w różne nastroje jak odpychające się bieguny.

Nadaśnana staruszka z różowymi i postrzępionymi jak wata cukrowa włosami, oparta o ławkę w parku, ćmi fajkę, pykając kółka z dymu. W rękę trzyma notatnik z pozaginanymi rogami. To jej przyglądam się jak zaczarowana.

– To Abby, poetka z Kanady. Twarda sztuka. Aby dorobić sobie do emerytury, sprzęta biurowce. Uwierzyłyabyś, że dobiega dziewięćdziesiątki? – Bartosz zerka mi przez plecy, kątem oka widzę, że zdążył już zabandażować dłoń. W drugiej trzyma talerzyk z ciastem. Z trudem opanowuję pokusę obejrzenia się przez ramię. – Kawa zaraz będzie – mówi i podaje mi kawałek przekładańca.

– Mamy ze sobą wiele wspólnego. To znaczy ja i Abby – uściślam.

– Serio?

Kiwam głową.

– Też się tak upalasz ziołem?

– Nie publicznie – chichoczę i rzucam mu konspiracyjne spojrzenie. – Ale ja chyba też, tak jak ona, lubię iść pod prąd.

Czuję na sobie jego spojrzenie, ale nie chcę go odwzajemniać. Wiem, że jest badawcze i że się rumienię pod jego wpływem.

– Skąd się wzięła ta twoja zajawka? – pytam, by odwrócić temat naszej rozmowy od mojej osoby. – Reportaże i podróże, szczególnie po krajach nękanymi politycznymi niepokojami, są chyba sporym wyzwaniem – dodaję i wzrokiem przebiegam po pozostałych fotografiach i utrwalonych na nich

wizerunkach ludzi o różnych kolorach skóry, starych i młodych, o twarzach pooranych zmarszczkami, mających ciała naznaczone bliznami, ale czasem też aksamitnie gładkie. Patrzę na zbliżenia oczu wyrażających wszystko bez słów. A wreszcie oglądam zdjęcia robione z ukrycia w miejscach, w których rządzą bieda i strach, tam gdzie nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby nigdy zamieszkać.

– Po części to uzależnienie. – Bartosz wzrusza ramionami. – Lubię surfować na szczycie fal i nie wiedzieć, jaki potwór się pod nimi kryje. A bywało już naprawdę różnie. Poza tym jesteśmy stworzeni po to, by szukać prawdy, a nie zakładać, że ją znamy. Ty, ja i wszyscy inni – wyjaśnia z błyskiem w oku, którego nie widziałam wcześniej. – Dlatego ciekawią mnie ludzie. To, jak są od siebie różni. Ciekawi mnie to, co nimi kieruje. Schematy myślenia. Nie mam na myśli tylko tych żyjących w cieniu reżimowego systemu. W tych czasach, w każdym miejscu na świecie, trudno jest być kimś autentycznym. Podróżując, spotykam ludzi na życiowym zakręcie albo stojących w obliczu wielkich wyzwań. Pokazują mi wtedy swoją prawdziwą twarz. A ty... ty im się przecież też przyglądasz.

To nie było pytanie, tylko stwierdzenie faktu. Z tą sugestią, że w pewien sposób mnie zna, a przynajmniej zna moje upodobania, czuję się jakoś nieswojo.

– Nie patrz tak na mnie – bezbłędnie odczytuje zmianę mojego nastroju. – Pisałaś o tym w swojej ostatniej książce.

– Czytałaś ją?

– No jasne. Zaintrygowała mnie sąsiadka, która chciała mnie wsadzić za kratki. Swoją drogą, książka jest całkiem niezła.

– Tylko całkiem?

– Bardzo całkiem. Bardzo, bardzo całkiem. Zadowolona?

Łapię się na tym, że słuchając tego, co mówi, mimowolnie palcem gładzę jedną z ram jego obrazów. Cofam rękę jak oparzona i wciskam ją w kieszeń marynarki.

– Teraz tak.

– A ty? Dlaczego ciebie fascynują ludzie?

Dobre pytanie.

– Pewne rzeczy w życiu ciągle się zmieniają, biegną swoim naturalnym torem, mają swój własny rytm. Ludzie też. Ale ich potrzeby, te największe i najbardziej podstawowe, są te same. Mimo to nie zawsze chcą się do tego przyznać. Czasem udają, że wszystko jest w porządku, podczas gdy jest odwrotnie. Staram się ich rozgryźć, każdego z osobna. Odkryć to drugie dno, dokopać się do korzeni, chwycić za nie i pociągnąć. A potem stworzyć coś, co może być dla nich ukojeniem, jakimś oparciem. Po prostu piszę... Boże, brzmię jak nawiedzona! To trochę jak ty...

Oboje wybuchamy śmiechem.

– No to może chcesz zobaczyć coś jeszcze? – pyta nieoczekiwanie.

– Jasne – odpowiadam bez zastanowienia. Zżera mnie ciekawość.

Bez słowa mijamy łazienkę i kierujemy się w stronę jakiegoś pomieszczenia w głębi korytarza. To piwnica. Jest jak czarna smocza jama. Opada ukosem w dół. Bartosz nie wchodzi do środka, staje przy przejściu i puszcza mnie przodem. Patrząc na ciemne wnętrza, do którego prowadzą wąskie kręte schodki i wcale nie jestem pewna, czy chcę tam wejść. Ale ciekawość zwycięża. Schodząc powoli, trzymam się kurczowo poręczy, szorstkiej i zimnej. Gdyby nie jego ręka nad moją głową, na ostatnim stopniu wyrznęłabym czołem o niski strop. Opuszczając dłoń, Bartosz przesuwając kciukiem po moim karku, a potem po plecach. Pewnie przypadkowo, ale jego dotyk i tak wywołuje na moim ciele gęsią skórę. Jestem wściekła na siebie i na swoją popieprzoną wyobraźnię. Na przykład za to, że kiedy Bartosz coś do mnie mówi, łapię przelotne przebłyski jego języka i zastanawiam się, co mogłyby ze mną zrobić jego usta. Zaciskam oczy, każę tym myślom ulotnić się jak najprędzej z mojej głowy.

Chwilę później, kiedy przytomnieję, dociera do mnie, po co mnie tu przyprowadził. Drobinki kurzu w jasnym świetle unoszą się nad blatem stołu. Leżą na nim trzy drewniane rzeźby w naturalnym rozmiarze: mewa, busola i orzeł. Ten ostatni wzbudza mój zachwyt – szczególnie rozpiętość skrzydeł i zakrzywiony dziób. Rozpoznaję w nich charakterystyczny realistyczny styl, jaki widziałam już wcześniej. Ostre cięcia drewna, głębokie żłobienia. Na plaży w Babich Dołach anonimowy rzeźbiarz od kilku miesięcy pozostawia takie właśnie rzeźby, a w necie od dłuższego czasu krążą domysły na temat tego, kim jest ten człowiek i dlaczego to robi. A tylko ja mam przed sobą

odpowiedź, podaną teraz jak na tacy.

– To ty?!?! Serio?! Są piękne... Ale dlaczego mi je pokazujesz?

– Bo jestem cholernie próżnym dupkiem, który postanowił, że czas wreszcie wyjść ze swojej dziupli – śmieje się.

Naszą rozmowę przerywa gwizdek czajnika.

– Zaleję tylko kawę – rzuca i znika na piwnicznych schodach.

Zamiast wrócić na górę, zostaję tutaj. Z pewnym namaszczeniem przebiegam palcem po idealnie gładkich wypustkach heblowanego jego ręką drewna, a drugą dłoń zatapiam w stercie miękkich trocin. Mogę to robić, bo nikt mnie nie widzi. Po chwili rozglądam się wokół.

Pomieszczenie jest prawie puste, jeśli nie liczyć ustawionych pod ścianą metalowych regałów. Na półkach leżą książki, jakieś klasyki, które każdy chce mieć, ale nikt nie chce czytać. Na dole, między Szekspirem a Jamesem Joyce'em, wciśnięte w kąt, stoją dwa albumy ze zdjęciami. Wiem, że nie powinnam ich ruszać, ale pokusa jest silniejsza niż zdrowy rozsądek. Gruba warstwa kurzu na obwolucie zdradza mi, że od dawna nikt po nie nie sięgał.

Otwarcie pierwszego albumu jest jak wtargnięcie na zakazany teren. Ale w środku nie znajduję niczego niepokojącego, tylko rodzinne szczęście. Piękna kobieta i przystojny mężczyzna, niemal nierozłączni, uwiecznieni na zdjęciach w różnych radosnych sytuacjach. Jak nurkują, jak eksplorują jaskinie, jak lecą balonem, jak suną po górskich stokach. Jak się całują, obejmują, dotykają. Jak spotykają się z przyjaciółmi. Czuję się dziwnie, patrząc na to dawno utracone życie młodej kobiety. Już mam odłożyć album, kiedy wypada z niego luźna fotka. Jako pierwszy wyłania się z niej kolorowy baner telewizyjnego studia. Mrużę oczy, by przyjrzeć się kilkunastu sylwetkom młodych ludzi sukcesu. Kiedy mój wzrok zatrzymuje się na jednej twarzy, pokój gwałtownie zaczyna się kołysać. Wtedy dociera do mnie, że to twarz Dominiki. Nie mam całkowitej pewności, że to ona – zdjęcie jest lekko zamazane i odbarwione, a twarze miniaturowe – więc przyglądam się raz jeszcze. Brakuje mi jednak czasu. Na schodach słyszę szybkie kroki Bartosza, zamykam czym prędzej album i wciskam go niechłujnie na miejsce. Nie wiem, czy zdążyłam zrobić to niezauważenie. Albumy odstają od równo upchniętych na regale książek. Powietrze wokół mnie zaczyna się kurczyć i wirować. Czuję, że nie jestem sama. Odwracam

się w stronę schodów.

– Coś się stało? – pytam, choć mam wrażenie, że i on ma szczerą ochotę zapytać mnie o to samo.

– Nie wiem. Ale przed twoim domem stoi radiowóz.

Zerkam na telefon, ale, to jasne, w piwnicy nie ma zasięgu. Aparat łapie dwie kreski dopiero wtedy, kiedy wbiegam z powrotem na parter. Brzęczy od razu w moich rękach z informacją, że mam jedno nieodebrane połączenie. Oddzwaniem, a Senny odzywa się po pierwszym sygnale.

– Jest pani w domu? – pyta, dysząc, jakbym przyłapała go na jakiejś wyczerpującej aktywności.

– Jestem w domu naprzeciwno. Czy coś się stało?

– Zaszły nowe okoliczności. – Odchrząkuje i najwyraźniej zastanawia się, czy na tej informacji nie poprzestać. – Musimy przeszukać pani pensjonat jeszcze raz.

– Zaraz będę – rzucam w słuchawkę i rozłączam się.

Korzystam z okazji, by ulotnić się z domu Bartosza. Przed oczyma wciąż mam twarz Dominiki Kality.



## Rozdział piętnasty

*21 października 2018  
dwie minuty później*

Nie oglądając się za siebie, przebiegam przez ulicę i pędzę w stronę zaparkowanego na moim podjeździe radiowozu. Chłodny wiatr smaga mnie po twarzy. Ale nie dlatego przechodzi mnie zimny dreszcz. Trzech siedzących w aucie mężczyzn wygląda jak banda kłusowników, gotowych przypuścić atak na obserwowaną zwierzynę – mój dom. Wiem, że tym razem mają w zanadrzu coś naprawdę mocnego. Inaczej nie przyjechaliby tu w takim składzie. Kierowca w zielonej odblaskowej kamizelce to ten nowy glina, amerykański chłopak o jasnych nieskomplikowanych rysach twarzy. Jego wargi są dziś cienkie i spięte, jak gdyby ktoś zaszył je grubą nicią. Pasażer jest nieco starszy – sądząc po cienkim białym uniformie, który ma na sobie, to chyba technik. Widzę go po raz pierwszy. Trzeci z mężczyzn wychodzi na zewnątrz i opiera się o maskę samochodu. To Senny. Przygarbiony i jeszcze bardziej zszarzały niż zwykle, otoczony jest kłębamii papierosowego dymu. Wygląda, jakby miał za sobą kolejną nieprzespaną noc.

– Chodzi o Nat? – pytam, dobiegając do radiowozu. Z trudem łapię oddech. – Wiadomo już, kto ją zaatakował?

Senny kręci głową.

– Jeszcze nie. Jesteśmy tu w innej sprawie... Musimy dokonać lustracji wszystkich pomieszczeń, w których mogła przebywać osoba podająca się za Joannę Nowak. Wszystkich – podkreśla, jakby bał się, że nie usłyszałam za pierwszym razem.

– Dominika Kalita, to raczej ją ma pan na myśli? – reaguję. – Wyniki badań potwierdziły, że Joanna Nowak i ta zamordowana w lesie kobieta to

jedna i ta sama osoba, czy tak?

Senny drapie się po brodzie i rozgląda dookoła.

– Nie mogę udzielać żadnych informacji – głos Sennego brzmi twardo i stanowczo. – Możemy wejść? – pyta. Nie czekając na moją odpowiedź, idzie przodem i popycha uchyloną bramę.

Nie mam nic do ukrycia. Na razie gram w tę grę na ich zasadach, bo to może mi się bardziej opłacić. W milczeniu otwieram drzwi frontowe, prowadzę mężczyznę przez hol i wskazuję im pokój numer cztery. Potem przechodzimy przez korytarz na parterze, a stamtąd do oranżerii, gdzie na co dzień serwuję gościom śniadania. W tym miejscu technik naciąga na dłonie lateksowe rękawiczki, a na kamiennej alejce rozkłada neseser pełen szczypczyków, kopert i fiolek. Tak po prostu. Nie wiem, gdzie ani co chce tam w ogóle znaleźć. Od chwili pojawienia się w moim pensjonacie Joanny Nowak minęło już mnóstwo czasu. Ja sama nigdy nie wpadłam tu na żaden ślad jej obecności.

Nie pytając mnie o zgodę, technik zabiera się do pracy, a ja pozwalam mu robić swoje. Senny i ten drugi glina proszą mnie, bym wróciła do swoich zajęć, a sami znikają we wnętrzu czwórki. Mimo że nic tak naprawdę się nie dzieje, atmosfera robi się gęsta i coraz bardziej nieprzyjemna.

Wracam na górę, ale nie mogę się na niczym skupić. Podglądam ich bez skrepowania, bo z kuchennego okna mam całkiem niezły widok na oranżerię. Przez kolejnych kilkadziesiąt minut obserwuję, jak raz po raz pojawia się postać technika, ale nie widzę, co tam robi ani nawet czy jest sam. W pewnym momencie w ogóle znika mi z oczu. Mijają kolejne minuty oczekiwania na cokolwiek, aż wreszcie stukot butów na schodach podrywa mnie z miejsca przy oknie. W przejściu pojawia się Senny z tym swoim nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Ale jest teraz jakiś inny, spięty, jakby pod tą fałszywą obojętnością tłumił podekscytowanie. Jak zwykle jest też oszczędny w słowach – prosi, a w zasadzie stanowczo poleca, abym zeszła z nim na dół. Zgadzam się.

Kiedy wychodzimy z kuchni, zza balustrady schodów widzę pozostałą dwójkę, technika i tego młodego glinę. Obaj stoją w korytarzu w jednakowym rozkroku – samczym i władcym. Rozmawiają, a jeden z nich, ten w odblaskowej kamizelce, raz po raz zerka na mnie przez ramię.

Mam nieodparte wrażenie, że czegoś się dowiedzieli i że chcą to skonfrontować ze mną. Po chwili do mężczyzn dołącza komendant i głośnym chrząknięciem przerywa ich rozmowę.

– Rozpoznaje go pani? – zwraca się do mnie, odbierając od technika tablet. Wyciąga wyprostowaną rękę w moją stronę.

Pokonuję ostatni schodek i podchodzę bliżej, od Sennego dzieli mnie tylko krok. Na ekranie tabletu widzę kontur klucza odciśnięty w różowej masie plastycznej, może przeżutej gumie balonowej. Jest tak głęboki i wyraźny, że udaje mi się nawet odczytać dwie cyfry i logo banku.

– Rozumiem, że chodzi o klucz?

Senny kiwa głową.

– Otwiera chyba jedną ze skrytek depozytowych banku PKO – oznajmiam bez wahania.

Senny unosi lewą brew. Bacznie mi się przygląda.

– Jest pani pewna? A więc to pani przechowywała ten klucz tutaj?

Potrząsam głową.

– Nie, nie jest mój – mówię. – Poznaję to po tym numerze. – Wskazuję cyfry. – Wynajmuję w banku skrytkę numer jedenaście, a nie czterdzieści dwa. Rozpoznałam po prostu jego charakterystyczny kształt i logo banku. Czy on... był ukryty gdzieś tu? – Rozglądam się po pokoju.

– Nie tutaj, ale pod blatem stołu w oranżerii. Ktoś umieścił go w paście modelarskiej i przykleił do metalowego łączenia desek, zanim go stamtąd zabrał – wtrąca się drugi glina, ten, któremu nadałam ksywę „amerykański chłopak”. – Skąd się tam wziął i jak zniknął?

Wzruszam ramionami.

– Każdy z moich gości może korzystać z jadalni, kiedy tylko ma ochotę. Chcę, aby czuli się tutaj swobodnie. Nie wiem nic na ten temat.

Senny kiwa głową ze zrozumieniem, ale nie jestem pewna, czy rozumie, co mówię, i czy mi wierzy. Zасыpuje mnie za to pytaniami, na większość z nich odpowiadałam już wcześniej. Szczegóły, a raczej rozproszone w mojej pamięci mgliste fragmenty, jakie stara się ze mnie wyciągnąć, w połączeniu z jego czujnym wzrokiem w pewnym momencie zaczynają mnie osaczać.

Czuję, jakbym to ja była jego celem, kimś, kogo należy wziąć pod lupę i bacznie obserwować każde drgnienie, każdy ruch ciała. Na krótką chwilę oblewam się zimnym potem. Senny tego nie zauważa albo udaje, że nie widzi, bo skupiony wzrok przenosi na notatnik i dalej już tylko spisuje zeznania. Kiedy kolejne puste kartki zmieniają się w plik notatek, technik i amerykański chłopak ulatniają się z pokoju.

Zostajemy tylko we dwójkę, Senny i ja, jeszcze przez kolejnych kilkanaście minut, dopóki on nie dochodzi do wniosku, że nie wyciągnie ze mnie już niczego więcej. Właśnie wtedy, kiedy zamyka swój notatnik i zbiera się do wyjścia, słyszę znajomy głos. Dobiega z zewnątrz, od strony ganku. Aż nie chce mi się wierzyć, że minęły już te dwie pieprzone godziny, a ona zdążyła dojechać.

– Coś się stało? – Senny natychmiast wyczuwa zmianę w moim zachowaniu.

Wyglądam przez niewielkie witrażowe okno w korytarzu, a widok rozmawiających pod furtką kobiet sprawia, że mam ochotę wziąć nogi za pas. Przed bramą, z walizką w ręku, stoi moja matka.

Jest piękna, ma na sobie zwiewną sukienkę z głębokim dekoltem. Jej skóra mieni się w słońcu zdrową kilkudniową opalenizną. Jak zwykle jest gwiazdą. Drugą kobietą jest największa papla w całej dzielnicy. Swoim za długim jęzorem zdążyła rozpuścić już zbyt wiele paskudnych plotek na mój temat, więc unikam jej jak ognia.

Otwieram drzwi Sennemu i modlę się w duchu, żeby tylko nie rozmawiały o mnie i żeby przekazanie mi klucza przebiegło gładko. Nie chcę żadnych scen w obecności tej baby i glin. Ale kiedy matka mnie zauważa i wcelowuje we mnie swoje zatroskane spojrzenie, już wiem, że to o mnie rozmawiały.

– Dlaczego o niczym mi nie powiedziałaś, kochanie? – pyta, kiedy podchodzę do bramy. Jej głos jest dźwięczny, ale ostry jak rozbite szkło. Wyczuwam w nim pretensję.

Stojąca obok matki sąsiadka odwraca ode mnie wzrok i oddala się, nie oglądając się za siebie.

Pospiesznie żegnam się z Sennym. Z ulgą patrzę, jak otwiera drzwi radiowozu i wślizguje się na siedzenie pasażera.

– Mamo, nie mam teraz czasu, porozmawiamy później... Chciałaś oddać mi klucz...

Patrzę na matkę wyczekująco, na nią i na jej walizkę. Nie mam właściwie pojęcia, po co wytargała ją z auta.

– Nie miałaś chyba nic wspólnego ze zniknięciem tej kobiety? Ani z napaścią na swoją przyjaciółkę? Wiem wszystko od sąsiadki. W co ty się znów wpakowałaś, dziecko?

Jej obecność jest jak igła, która prześlizgiwała się dotychczas po mojej skórze tylko po to, by znaleźć to najlepsze, najczulsze i najbardziej podatne na zranienie miejsce, a potem wbić się w nie z całą siłą. Teraz tą igłą są jej słowa.

– Wynoś się stąd!! Wynoś się w końcu z mojego życia!! – krzyczę jej prosto w twarz.

Matka stoi niewzruszona z ledwie widocznym uśmiechem na ustach. W jakimś automatycznym odruchu wyszarpuję jej z dłoni walizkę i ciągnę ją po chodniku. Kiedy dochodzę do zaparkowanej po drugiej stronie ulicy hondy, zauważam za nią ojczyzna z papierosem w ręku, siedzącego na ławce. Dzieli nas najwyżej dwa, może trzy metry. Nie witamy się, nie posyłamy sobie nawet uśmiechu. Szarpię za klamkę wozu, ale drzwi są zamknięte. Nie wiem, co dokładnie dzieje się potem – czy ciskam walizkę na ziemię, czy wyslizguje mi się po prostu z rąk. Ciężki, wypełniony ubraniami korpus uderza o chodnik, a źle domknięty zamek puszcza. Pod moimi stopami lądują kosmetyki, koszulki i bielizna, a wraz z nimi z walizki ulatnia się perfumowane piżmo i paczula, zapach wszechwładzy. Ten zapach i moja matka – od zawsze były nieodłączne.

Tym zapachem przesiąknięty był mój rodzinny dom – miejsce, którego od śmierci Hani szczerze nienawidziłam. Wdycham go teraz z taką samą odrazą, jaką czułam zawsze, kiedy matka przyciskała mnie do siebie, zanim zamknęła za drzwiami kotłowni. Nie było w tym uścisku żadnej czułości, a tylko dominacja i nauczka – kolejna lekcja na temat strachu. Odurzona tym wspomnieniem, opieram się o karoserię wozu, a paznokcie wbijam w udo, by móc odgrodzić się od przeszłości i powstrzymać nadchodzący *flashback*.

Ból, jaki sobie zadaję, zamienia się w pięć palących czerwonych linii, ale to i tak mnie dopada. Tym razem jest jednak inaczej niż zwykle. Otwiera się

przede mną czarna dziura i zagarnia mnie do środka. Jesteśmy w kotłowni obie. Nastoletnia ja siedzi skulona w kącie, a ta dorosła wkłada jej w usta swoje słowa. Mała Nika początkowo pozwala mi mówić, potem znów zmienia zdanie. W końcu jej ulegam. Zamykam oczy, zsuwam się na chodnik, ląduję na studzience ściekowej i pozwalam trzynastolatce przejąć nad sobą całkowitą kontrolę.

Wokół siebie mam tylko znikający powoli zapach matki i cuchnące wilgocią ściany, w żołądku pustkę, a nad głową gwiazdy – znak, że muszę siedzieć zamknięta w kotłowni przynajmniej od kilku godzin. Wydaje mi się, że patrzę na niebo spod lustra wody, ale w rzeczywistości to tylko zaparowana szyba. Tyle dzieli mnie od normalnego świata. Przez mały uchylony lufcik do pomieszczenia wpada strumień chłodnego powietrza, a ja, ubrana tylko w top i szorty, cała się trzęsę. Kulę się i oplatom ciało rękami, ale to nic nie pomaga. Choć wciąż jest mi zimno, nawet nie próbuję dosięgnąć klamki, by zamknąć okienko. Wiem, że to na nic. Zawieszona tuż przy suficie, jest zbyt wysoko, bym sama mogła sobie poradzić. Kilka miesięcy temu zrobiłam jedno takie podejście. Wspięłam się na słoiki z przetworami, ale skończyło się tylko na roztrzaskanym szkłe, rozlanym kompocie i na krzyku matki. Wraz z tym przyszła kolejna kara, która ciągnęła się przez cały tydzień.

Nie wiem, czym naraziłam się jej tym razem. Może poszło o rozmowę z Anią, koleżanką z naprzeciwka, albo o niedokładnie wytarte kieliszki. Może nie dość przyłożyłam się do nauki w tym tygodniu. Zaliczyłam wpadkę, gdy grałam na skrzypcach – smyczek trącił inną strunę, niż było trzeba, przez co do *Nokturnu* Chopina wkradła się jedna fałszywa nuta, a ona ją usłyszała. Jej gniewny wzrok zdradził mi wszystko. Matki nie udobruchała nawet pochwała od mojego nauczyciela ani druga, poprawiona wersja, którą od razu zagrałam, tylko cudem opanowując drżące ze strachu usta i rękę.

Jednak czuję, że tak naprawdę nie chodzi jej o żadną z tych rzeczy, ale o jutrzejszy dzień. Jutro kończę trzynaście lat. Kolejne urodziny, które zbiegają się z rocznicą śmierci Hani. A to dla matki czas wyjątkowo nerwowy. Jest jak dwudziestoczterogodzinne rozdrapywanie nigdy niezabliźnionej rany i choćbym nie wiem jak się starała chodzić wokół niej na paluszkach, groźba wybuchu i tak wisi w powietrzu jak chmura

toksycznych oparów.

Przez pięć lat tych jej napadów nienawiści budowałam wokół siebie coś na kształt tarczy ochronnej, dzięki czemu teraz już trochę mniej boję się ciemności. Bardziej niż kiedyś powstrzymuję się przed waleniem pięściami w zamknięte drzwi, przed przywołaniem matki i błaganem jej o przebaczenie. To zawsze odnosi odwrotny skutek i tylko wydłuża moją karę. Kiedyś byłam jak dzikie zwierzątko, wiałam się i wierzgałam na oślep. Teraz nauczyłam się już, że to ona ustala reguły i jeśli chcę przetrwać, muszę się do nich dostosować. Jeszcze przez jakiś czas. Tylko ta myśl trzyma mnie przy życiu.

Poza paroma słoikami, mopem i miotłą pomieszczenie jest puste. Tylko ja i wymyślane od ręki naiwnie głupie, dziecinne opowieści o tym, że dobro zawsze zwycięża. Tworzę je w głowie, by dodać sobie odwagi i zwołać tu, do siebie, zmyślonych przyjaciół: są waleczne księżniczki w podartych dżinsach i full capie, latające smoki, magiczne mikstury na bazie skittlesów, gadające stwory, są kochający królowie, którzy nie pozwalają złej wiedźmie tknąć ich córek. To całe moje towarzystwo. Często wydaje mi się, że postaci z mojej wyobraźni ożywają, czuję wręcz ten ciepły, prozaiczny zapach bliskości kogoś, komu na mnie zależy, może zapach przyjaciela? Może, bo po śmierci Hani nie było mi wolno bawić się z innymi dziećmi, chyba że pod ścisłym nadzorem matki. Nie jestem już nawet pewna, jak to jest mieć przyjaciela czy choćby kogoś, kto po prostu zrozumie. Mimo że z postaciami z mojej wyobraźni czuję się jakoś bezpieczniej, nigdy nie wiem, kiedy znikną i co nowego wymyśli dla mnie matka. Czasem, kiedy od niej obrywam, naprawdę wierzę, że zasługuję na karę, że to wszystko moja wina, bo jestem nieposłusznym i słabym mazgajem bez charakteru. Że nie jestem ogniwem, które pochodzi od niej. Tych słów używa prawie za każdym razem, a ja wciąż nie jestem pewna, co one właściwie oznaczają. Wiem tylko, że bardzo nie chcę wślizgnąć się kiedykolwiek w jej skórę. Nie chcę być jak ona.

W ciszy mojego domu skrzypienie kroków na schodach jest teraz jak koncert werbli, taki sam, na jakim byłam w szkole muzycznej. Wiem, że to matka. Że idzie do mnie, po mnie. Staje pod drzwiami, jestem tego pewna, bo przez szparę do kotłowni wpada zapach jej perfum, słyszę spokojny, równomierny oddech. Boję się go tak samo, jak boję się jej samej. Odsuwam się gwałtownie i wciskam w jak najdalszy kąt kotłowni. Powietrze jest tam

gęste – zupełnie jakbym była pod wodą i właśnie kończył mi się tlen. Zamykam oczy i czekam.

– Widzisz, do czego mnie zmuszasz, córeczko?! – mówi przez drzwi, jej głos jest niewyraźny, ale spokojny. – Zaharowuję się dla ciebie, a ty mi się tak odwdzięczasz.

Nie odzywam się. Czekam. Zaraz doda coś jeszcze.

– Czy chcesz mi coś powiedzieć?

Wiem, czego teraz oczekuje. Znam dobrze i ten moment.

– Przepraszam. Postaram się być lepsza, mamusiu – kłamię, ale mówię dokładnie to, co chce usłyszeć, z całych sił starając się, żeby to brzmiało przekonująco. W innym wypadku matka od razu wyczuje fałsz. A te słowa i szczerą skrucha to jedyne hasło, które może otworzyć drzwi.

Mija minuta, może dwie, a potem rygiel puszcza. Matka staje przede mną w otwartych na oścież drzwiach, smukła i władcza, w sukience w radośnie żółte żonkile. Materiał spływa po niej jak woda, podkreślając perfekcyjne ciało. Jest piękna, ale w sposób, w jaki zachwyty wzbudza porcelanowa lalka. Nie dotykasz jej, a tylko się nią napawasz, by jej nie naruszyć i nie dopuścić do żadnego uszkodzenia.

– Idź prosto do łóżka. Do jutra rana masz karę. Rozumiemy się?

Kiwam potulnie spuszczoną głową ze wzrokiem wbitym w szary dywanik. To też stały rytuał, element mojej pokuty. Wiem też, co będzie dalej, co pójdzie do łóżka oznacza i co zastanę w swoim pokoju. Nie włożę piżamy ani nawet ciepłego swetra, bo dostępu do mojej szafy broni dziś kłódka. Nie przykryję się kocem ani kołdrą, bo na nieposłanym łóżku leży tylko goły materac. To druga część mojej kary. Zwykle naprawdę znoszę to lepiej, ale nie dziś. Jestem zmęczona i głodna, pieką mnie oczy, a w głowie huczą głosy zmyślonych przyjaciół. Każą mi uciekać, byle gdzie, byle dalej stąd. Są zbyt głośne i natarczywe, a przecież pozostają jedynie durną iluzją. Chciałabym zanurzyć się choć na tę noc w słodkim kłamstwie i uwierzyć, że jest jak kiedyś. Chciałabym, by tato mnie przytulił, by obok była Hania, bym znów choć przez chwilę nie czuła się tak strasznie niczyja. Ale czasem tak trudno nawet chcieć...

Szlochając, wyciągam ze swojej skrytki coś, czego jeszcze nie odkryła



matka i nie zdążyła mnie tego pozbawić. Między sprężynami a materacem ukrywam polarowy kocyk Hani, różowy w Troskliwe Misie, zadrukowany krzywo i niechlujnie. Jej ulubiony. Matka nie wie o nim ani o tym, że nie był ani razu prany przez tych pięć lat. Zapachu mojej siostrzyczki już i tak dawno na nim nie ma, ale został tam jej dotyk. A to zawsze mi pomaga. By choć trochę się rozgrzać, odkładam go na razie na swoje miejsce i wymykam się pod prysznic. Zrzucam z siebie ubranie i wślizguję się pod przyjemnie ciepły strumień wody. Biorę gąbkę i szoruję ciało, ścieram nią z siebie upokorzenie i kłamstwo. Ale woda prawie natychmiast zamienia się w ukrop, który parzy moją skórę. Zaciskam z bólu zęby, a w ustach czuję metaliczny posmak krwi. Wyskakuję z brodzika i próbuję regulować temperaturę raz jednym, raz drugim pokrętelem, ale żadne z nich nie działa. W odbiciu lustra widzę swoje nagie chude ciało, jeszcze dziecka, a trochę już kobiety, i purpurowe plamy, jakie pozostawił na skórze wrzątek.

Mogłabym pójść na drugą stronę korytarza, wrócić do kotłowni i spróbować uregulować piec. Taka jest moja pierwszą myśl. Ale w głowie błyska druga, która jest jak ostrzeżenie. Przejście do kotłowni oznaczałoby minięcie sypialni matki, a jeśli mnie usłyszy, znowu rozpęta się piekło. Bardziej jednak boję się tego, że i tak na nic by się to zdało, bo popsuty bojler to pewnie kolejna część jej planu. Stoję więc jeszcze przez chwilę na środku łazienki, zastanawiając się, co powinnam zrobić. Trzęsę się z zimna i strachu. Zrezygnowana, wracam do łóżka.

W moim pokoju nie pali się światło, ale jak zwykle, w trakcie mojej kary, rozświetla go jasny blask. To świetlówka na przylegającym do mojego pokoju balkonie, uruchamiana pilotem sterowanym ręką matki. Ma za zadanie razić i utrudniać mi zasypianie. Światło jest dziś jeszcze mocniejsze niż zwykle, jakby chciało wedrzeć mi się pod czaszkę i tam dalej drażnić mój mózg. Zaciskam powieki i każę mu zgasnąć, ale ono wciąż tam jest, nachalne i okrutne. W takich chwilach mam ochotę po prostu zniknąć. Nie być ani tu, ani nigdzie indziej. Bo po co być, skoro nie jestem nikomu potrzebna? Ale to potwierdzałoby jedynie słowa matki, że jestem słaba. Choćby tylko dlatego, że chcę jej zrobić na złość, zbieram w sobie siłę – przetrwam. Biorę kocyk Hani, wciskam się pod łóżko i naciągam go na siebie. W ten sposób, w ciemności, będzie mi łatwiej przespać kolejną noc. Pod plecami mam tylko twarde deski, a nad twarzą wąską, kilkucentymetrową szczelinę. Śmierdzi

stamtąd kurzem, naoliwionymi sprężynami i spisanyymi na straty marzeniami. Oddychając nimi, gdzieś w połowie nocy, wreszcie zasypiam.

Nieraz chciałam zapytać trzynastoletnią siebie o to, dlaczego zwierzała się chętniej swojej wyobraźni niż prawdziwym ludziom. Dlaczego nigdzie nie szukała realnej pomocy. Ale ona nie mogłaby mi tego wyjaśnić, bo sama jeszcze wtedy nie знаła odpowiedzi. Nie jestem na nią zła ani nie jestem nią rozczarowana. Teraz wiem, że zawiodła nie ona, ale system i ludzie, którzy przegapili wiele znaków i desperackiego wołania o pomoc, bo ofiara nie zawsze jest w stanie komunikować się ze światem wprost. Ja też tego nie potrafiłam.

Zrozumiałam siebie, tę skrzywdzoną dziewczynkę, dopiero dzięki mojej psychoterapeutce. Trafiłam do niej po ataku stalkera i po śmierci mojej córki, a terapia Elżbiety była jak wentyl bezpieczeństwa uwalniający to całe zło, które gromadziło się we mnie przez ostatnich dwadzieścia lat. To jej jako jedynej udało się czytać ze mnie jak z otwartej księgi i dopiero z jej pomocą rany w moim mózgu zaczęły się powoli zblizniać. Długi, bolesny i nadal nieukończony proces.

Dzieci, które stają się ofiarami przemocy psychicznej albo – jak kto woli – emocjonalnej, stosują zwykle jeden z dwóch mechanizmów obronnych: walczą i przeciwstawiają się rodzicowi albo podporządkowują się, by uniknąć dalszego upokorzenia. Ja sama przeszłam obie te drogi. W momencie, kiedy oprawcy uda się złamać buntowniczy hart ducha, kończy się na uległości. Albo depresji, często próbie samobójczej. To też znam. Sprawcy przemocy stosują ten sam skuteczny mechanizm manipulacji, co psychopatyczni, ale i charyzmatyczni guru rozmaitych sekt. Indoktrynacja psychiczna, powolna utrata poczucia tożsamości, izolacja od otoczenia i rówieśników są na porządku dziennym. Najgorsze jest to, że zwykle są szalenie inteligentni, przez co wślizgują się sprytnie w inną skórę i posługują wiarygodnym kamuflażem. Przed sąsiadami albo współpracownikami, nawet dalszą rodziną, potrafią być czuli, dowcipni i czarujący. Sięgają do szuflady z nową maską z tą samą łatwością, z jaką wspinają się na kolejny szczebel w swojej karierze.

Dokładnie tak było z moją matką, uwielbianą i powszechnie szanowaną. Jednak kiedy tylko zostawałyśmy sam na sam, w czterech ścianach, wracała do prawdziwej siebie.

Na moim ciele nigdy nie zostawiła żadnego siniaka, ale powracająca falami agresja skierowana do wewnątrz wyczerpywała mnie emocjonalnie. To tak, jakby podtrzymywać ciało przy życiu, kiedy dusza już jest dawno martwa. Nie, to coś dużo gorszego – to zbrodnia doskonała. Elżbieta otworzyła mi też oczy na coś, o czym jako dorosła kobieta nie miałam pojęcia. Zdarzało mi się podobno przejmować język matki. Kiedy trafiłam na oddział, nie mówiłam w pierwszej osobie: „ja czuję”, „ja myślę”. Nie było we mnie żadnego „ja”, tylko pusta skorupa. Moje dorastanie u jej boku przypominało ciągłe ślizganie się po paraboli – wjeżdżałam na górę, a potem opadałam na sam dół. I tak od nowa. Kochana przez ojca, nie mogłam z początku pogodzić się z tym, że tak nagle miałabym stać się złą. Nie mówiąc już o tym, że w życiu narzuconym mi przez matkę nie było miejsca nawet na mój własny smutek i tęsknotę za utraconą rodziną – za tatą i siostrą. A potrzebowałam tego, zwłaszcza przez pierwszy rok po ich śmierci. Uciekałam z domu, niszczyłam różne rzeczy, szarpałam się i z matką, i sama ze sobą, aż pewnego dnia dotarło do mnie, że nic tym nie wskóram.

Z czasem, poddana regularnemu praniu mózgu, które mi urządziła, i całkowicie wyobcowana, zagubiłam swoją samoocenę i dziecięcą radość życia. Gasłam w oczach. Na zdjęciach z tamtego okresu pod pięknymi ciuchami kryje się chuda jak szczapa dziewczyna z czarnymi sińcami pod oczyma, przypominająca steraną życiem staruszkę, a nie nastolatkę.

Matka pytana czasem, czy z Niką wszystko okej, odpowiadała, że jestem chorowita. Nie zaprzeczałam. Odsunięta od rówieśników, byłam łatwym celem manipulacji. Zamiast chodzić do szkoły, miałam indywidualne lekcje z korepetytorami, a dodatkowe zajęcia sportowe i muzyczne zawsze odbywały się pod jej czujnym okiem. A było ich całe mnóstwo, wypełniały wszystkie moje popołudnia, abym dzięki temu nie miała zbyt wiele czasu na myślenie.

Wyjątkowo chętnie matka posyłała mnie na treningi szermierki, twierdząc, że kolejne absorbujące fizycznie zajęcia ukierunkują moje myśli w jedną stronę, a to ujarzmi mój niepokorny umysł. „Patrz tam, gdzie ja patrzę”. Takie było jej główne założenie. Ale to nie ona o mnie decydowała. Chciałam, by wierzyła, że działałam pod jej przymusem, a w rzeczywistości odliczałam dni do kolejnych treningów. Tylko tam czułam się wolna i w pełni szczęśliwa. Szermierka była jak mój dom, ten prawdziwy, w którym

uczyłam się wnioskowania i krytycznego myślenia. Wraz z nabywaniem tych umiejętności, systematycznie rosła we mnie niechęć do matki.

Po kilkunastu miesiącach morderczych treningów nadszedł czas prawdziwej próby. Kiedy stałyśmy naprzeciwko siebie, ja i jakaś Bogu ducha winna dziewczyna, dwa białe punkciki walczące o tytuł mistrza Polski, wyobrażałam sobie, że pod jej maską i strojem kryje się moja matka. Że każda z nas trzyma rękojeść swojej szabli, a końcówka brzeszczota jest ostra jak brzytwa. Że walczymy ze sobą na serio, na śmierć i życie. Byłam wtedy jak atakowane zwierzę, drapieżna i bezwzględna. Wygrałam, nie przyznając się potem nikomu do swoich prawdziwych pobudek. Dotarło do mnie wtedy, że od samego początku uległam złemu założeniu – nie taka jest przecież idea sportu. Zrozumiałam też, że zbliżam się do niebezpiecznej granicy, cienkiej czerwonej linii, którą wytycza chęć zemsty, i że jeśli ją przekroczę, stanie się coś naprawdę złego. I nieodwracalnego.

Kilka miesięcy później odważyłam się więc na tę jedną szaloną próbę wyrwania się ze szponów matki. Jako piętnastolatka przypadkiem usłyszałam audycję w Radiu Gdańsk – wywiad z matką dwójki dzieci, ofiarą przemocy domowej. Maltretowana psychicznie przez męża, opowiadała historię, która w gruncie rzeczy przypominała trochę moją własną. Pomyślałam, że skoro ona znalazła pomoc i wyrwała się z piekła, to mogę zrobić to i ja. Pełna nadziei, zadzwoniłam do Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie. Trzy dni później w naszym domu zjawiała się pani w kraciastej spódnicy, ze smutną i szarą twarzą. Wtedy jeszcze myślałam, że jest moim wybawieniem. Matka była jednak bardziej przekonująca niż ja – zdołała wytłumaczyć moje zachowanie i telefon do ośrodka zaburzeniami pourazowymi, które były wynikiem śmierci siostry oraz tym, że brałam za jej śmierć odpowiedzialność. Czarna taśma, którą zalepiałam okna, by nocą nie raziło mnie światło z balkonu, miała świadczyć o tym, jak jest ze mną niedobrze. Ze współczującym wyrazem twarzy (dla mojej matki, rzecz jasna) pracownica MOPR-u wyszła i już nigdy nie wróciła.

Pewnie nie bez znaczenia było to, kim była moja matka i co robiła dla ludzi w tamtym okresie. Wykonywała setki operacji, ocaliła wiele ludzkich istnień, więc w imię tego można było poświęcić to jedno życie – moje. Skłamałabym jednak, gdybym powiedziała, że tamta wizyta niczego we mnie nie zmieniła. Od tamtej chwili nie dopuszczałam już do głosu gniewu.

Odliczałam dni do momentu, kiedy stanę się pełnoletnia i będę mogła o sobie zdecydować. Nasilająca się agresja ze strony matki była tylko dodatkowym bodźcem dla mojej determinacji.

Los wreszcie zaczął się do mnie uśmiechać, kiedy dzięki świetnie zdanej maturze dostałam się na studia. Wtedy uciekłam, z plecakiem na ramieniu i nadzieją w sercu. To był cały mój dobytek. Potem natrafiłam na ogłoszenie pani Ludwiki, która w zamian za opiekę dała mi ciepły, spokojny kąt, a wraz z nim namiastkę miłości i troski, w które dawno przestałam już wierzyć. Za skromną kasę zarabianą w fast foodzie, a potem dorywczo w redakcji lokalnej gazety, mogłam się utrzymać. W tamtym okresie czerpałam z życia pełnymi garściami, zachłannie, zbyt zachłannie, by nie wpakować się w tarapaty z mężczyznami i by nie zostać zraniona. Oprócz nich, a właściwie obok, był też alkohol i narkotyki, często przygodny seks. Nie jestem z tego dumna. Ale i ta lekcja pozwoliła mi po jakimś czasie złapać równowagę między tymi dwiema doznanymi w życiu skrajnościami.

Od zawsze pisałam, ale dopiero w pewnym momencie zaczęłam robić to na tyle dobrze, by móc się z tego utrzymywać. Moje pomysły okazały się na tyle trafne i twórcze, że powierzono mi też prowadzenie kreatywnych warsztatów z dziećmi i młodzieżą. Skwapliwie skorzystałam z tej szansy, przekonana, że to mój własny moment na odkupienie. Po raz pierwszy od tak cholernie dawna czułam się potrzebna i doceniona. Zaczęli otaczać mnie dobrzy, prawdziwi ludzie, a nie stwory z mojej głowy. One zupełnie ucichły. Z jednym wyjątkiem...

Duch matki nigdy tak do końca mnie nie opuścił. Pamiętam, jak podczas którejś sesji zapytałam swoją psychoterapeutkę, czy – jej zdaniem – moja matka jest zła. Odpowiedziała, trochę wymijająco, że podejrzewa ją o projekcję atrybutywną, ale bez przeprowadzenia indywidualnej sesji nie może być tego pewna. Nie miałam pojęcia, o czym mówi. Wtedy wyjaśniła, że jest to choroba, a mnie nawet ulżyło. Dowiedziałam się, że osoba cierpiąca na projekcję atrybutywną przenosi własną cechę bądź, jak w przypadku mojej matki, swoją winę na inną osobę. Śmierć Hani była tu oczywistą przyczyną. Elżbieta podejrzewała też, że sposób jej postępowania dowodzi, że doświadczyła przemocy. Nigdy nie poznałam swoich dziadków, ale wiem, że byli ludźmi surowymi i bezwzględными. Wymagali od niej samych sukcesów, nieważne, jakim kosztem je osiągała. To mogło odebrać jej

wrażliwość i empatię. Swoją własną traumę mogła wykorzystać jako usprawiedliwienie – skoro ona wytrzymała, to ja również nie mam powodu do narzekań. Staram się sobie w ten sposób tłumaczyć, że nie jest zła do szpiku kości...

Elżbieta namawiała mnie wielokrotnie, abym złożyła na matkę doniesienie o popełnionym przestępstwie. Podczas wielu bezsennych nocy zastanawiałam się nad tym, co jest słuszne. Ale okazało się, że słuszne nie zawsze oznacza sprawiedliwe. Mój oprawca jest mimo wszystko moją matką. Drugi z powodów, dla którego wciąż milczę, jest bardziej samolubny – wyszłam na prostą i nie chcę przechodzić tego samego koszmaru raz jeszcze.

Jedynie, czego naprawdę pragnę, to żeby usunęła się z mojego życia, a wraz ze sobą zabrała toksynę, którą sączy mi do głowy, tak jak dziś. Żeby wróciła do swojego świata i tam już na zawsze pozostała.

## Rozdział szesnasty

21 października 2018

noc

Nie lubię tych chwil, kiedy nocą jestem sama w pustym i cichym domu. Staram się dziś o tym nie myśleć, kucam przy kaloryferze, a ręce opieram o parapet. Obserwowanie willi Bartosza w tej pozycji z pogrążonej w ciemnościach oranżerii przypomina zabawę w chowanego. Tylko że gra w pojedynkę wcale nie jest fajna – mnie nikt nie szuka. Nie wiem, czego mam się spodziewać, kiedy kulę się przy oknie wychodzącym na jego dom. W sypialni wciąż jeszcze pali się światło.

Czekam na coś, co pobudzi mój zmaltretowany dzisiejszą wizytą matki umysł. Liczę na to, że sylwetka Bartosza mignie mi w oknie albo on sam wyśle mi kolejną wiadomość, na którą nie odpowiem. Mam nadzieję, że coś pozwoli mi skreślić go z listy podejrzanych, chociaż wiem, że raczej nie wydarzy się to tu i teraz.

Wieczorem wysłał na mojego Messengera dwie wiadomości z propozycją spotkania i pytaniem, czy wszystko u mnie w porządku. Nie odpowiedziałam, bo wciąż nie wykluczam tego, że kobietą ze zdjęcia, które znalazłam w jego albumie, jest Dominika. A jeśli to ona, ta zbieżność nie może być przypadkowa. Wiem jednak, że i tak będę musiała się dostać do jego domu, by przejrzeć album raz jeszcze i pozbyć się swoich podejrzeń.

Od czasów naszych pierwszych spotkań z Marcinem przy żadnym mężczyźnie tak dobrze się nie czułam. Światło w sypialni Bartosza gaśnie, co odbiera sens dalszej obserwacji. Muszę się czymś zająć, bo nie chcę leżeć beczynnym w łóżku i wsłuchiwać się w swoje myśli. Wiem, że tam matka mi nie odpuści – odkąd wyjechała, jej duch i słowa chodzą za mną jak cień.

Po chwili już wiem, że pozbycie się matki i Adama z mojej głowy wcale

nie będzie takie proste. Siedząc na podłodze, dwoma palcami pocieram serdeczny palec prawej ręki, w miejscu, w którym jeszcze niedawno znajdowała się moja obrączka. Nerwowy nawyk, do którego zawsze wracałam w chwilach silnego stresu. Postrzeżenie zależne jest od perspektywy – kołacze mi się nagle w głowie. I wtedy, w kontekście ostatnich wydarzeń, dopada mnie przerażająca myśl. Ostry przedmiot, który nosił na palcu napastnik, wcale nie musiał być tym, za co brał go instalator. Za zadanie tak głębokiej rany w policzku równie dobrze mógłby odpowiadać masywny sygnet z wybitym na nim, dajmy na to, wypukłym ornamentem. Na przykład ten sam, z którym nigdy nie rozstawał się ojczym. Pamiętam, jak matka wściekła się na Adama któregoś dnia, kiedy podrapał swoim sygnetem blat ich kuchennego stołu. Reprimenda matki nie zniechęciła jednak Adama; sygnet z wypukłym popiersiem Napoleona był prezentem od niej i, tak jak ona, stał się niemal nieodłączną częścią ojczyma. Miał go też dzisiaj – widziałam go na jego serdecznym palcu, kiedy palił na ławce fajkę. Na myśl o ojczymie i jego sygnecie kolejne pytania tłoczą mi się w głowie: gdzie tak naprawdę byli matka i Adam, kiedy zaatakowano Nat? Mieli przecież klucze... Ilu mężczyzn nosi na palcach taką ostrą biżuterię? Jeden na stu? A może jeszcze mniej. Czy to oznacza, że Adam mógłby...? Nie chcę, a może nie mogę dokończyć, ale myśli i tak robią swoje. Ten hipotetyczny scenariusz z udziałem mojego ojczyma w roli napastnika wpędza mnie w kolejną paranoję. Usiłuję znaleźć racjonalne argumenty, które ten scenariusz podważą, ale nic sensownego nie przychodzi mi do głowy. Rozdrażniona, zrywam się z miejsca.

Idę schodami na górę, a siła alkoholowego głodu prowadzi mnie przez drzwi salonu. Trudno się jej oprzeć. Tak zdezorientowana i samotna nie byłam już dawno, nie wiem więc, co innego ze sobą zrobić tej nocy. Wchodzę do pokoju i rozglądam się w poszukiwaniu butelki, która powinna znajdować się w barku, za szklaną szybą. W głowie wzbierają mi ostrzegawcze szmery – nafaszerowałam się proszkami i po kilku kieliszkach znowu będzie ze mną źle. Nie słucham ich, zbyt mocno pragnę zapomnienia. Ale kiedy chcę przekręcić kluczyk w zamku, przypominam sobie, że gdzieś go schowałam, żeby uniknąć właśnie takiej sytuacji. Przeczesałam gorączkowo pamięć, ale myśli zwijają się w czarne kłęby, a ja, do ciężkiej cholery, wciąż nie mogę się przez nie przebić. Wściekła przetrząsam półkę w poszukiwaniu



kluczyków do samochodu, jeden z nich wpycham do zamka i próbuję go podważyć. Nawet nie drgnie. Niezgrabny ruch mojej ręki sprawia, że kluczyk zarysowuje tylko zamek i politurę, nic więcej. Okrążam stół, próbując tą grą na czas uspokoić myśli i przekonać siebie samą, że mam odwagę zrezygnować. Że jestem silniejsza. Na próżno. Poddaję się, kucam przed przeszkloną gablotką i wyrzucam zaciśniętą pięść prosto przed siebie. Nie myślę o konsekwencjach – chcę się po prostu dostać do środka. Szyba pęka, a grad odłamków szkła rozpryskuje się przed moją twarzą. Przez chwilę zastygam, patrząc, jak kropelki krwi wykwitają na mankiecie kremowej koszuli, ściekają na krawędź półki i barwią ją na czerwono. Właściwie czego się spodziewałam? Pałący ból, ogniskujący się w nadgarstku, trochę mnie otrzeźwia. Ostrożnie wydobywam rękę z pułapki.

W drodze do apteczki uspokajam myśli i przypominam sobie, gdzie ukryłam kluczyk, jakby to teraz miało jakiegokolwiek znaczenie. Powinien leżeć pod poduchą fotela w sypialni. Idę wzdłuż pogrążonego w mroku korytarza, zapalam światło i zamykam się w łazience. Rozwijam kawałek bandaża i zanim owinę go wokół nadgarstka, usuwam wbity w skórę fragment szkła i odkażam ranę. Ból jest tak porażający, że na moment tracę oddech. Pewnie i tak skończy się wizytą u chirurga.

Wchodzę do sypialni i spod siedzenia fotela wyciągam kluczyk. Potem wracam do salonu. Jak w transie otwieram zamek i opróżniam barek. Zawartość czterech butelek: czerwonego wina, ginu, koniaku i wódki ląduje w kuchennym zlewie i w ciągu kilku chwil znika w odpływie. W powietrzu unoszą się alkoholowe opary, ale zaraz i one się ulatniają. Oddycham z ulgą, że nie zostało już nic, po co mogłabym sięgnąć, ale wciąż brzydzę się tym, co chciałam zrobić jeszcze kilka minut temu.

Czy to się nigdy nie skończy? Mało mi tego wszystkiego? Czy naprawdę muszę być cholerną alkoholiczką?

Obiecuję sobie, że gdy to wszystko się jakoś ułoży, pójdę na terapię do ośrodka leczenia uzależnień. Dziś, jak nigdy, dociera do mnie, że chyba naprawdę powinnam to zrobić. Opadam na łóżko, zbyt zmęczona, by się rozebrać. Zaciskam powieki i szybko odpływam. Ale nie zasypiam na długo. Kilka minut po drugiej budzi mnie dźwięk telefonu.

– Wszystko w porządku? – w słuchawce odzywa się Nat.

– Boże, wiesz, która jest godzina? Czemu jeszcze nie śpisz?! – przytomnieję, a zaspane oczy na powrót przyzwyczajają się do ciemności.

– Nie tylko nie śpię. Wyjrzyj przez okno sypialni.

Nagle czuję się niespodziewanie rześka. Zdieram z siebie prześcieradło i staję na równe nogi. Od okna dzieli mnie tylko kilka kroków. Pod bramą wjazdową, w jasnym świetle latarni, ze swoimi psami, stoi moja przyjaciółka. Na czubku głowy sterczy jej turban w egzotyczne kwiaty, a na nogach ma jakieś futurystyczne srebrne buty na platformie. Jestem prawie pewna, że spod żółtego swetra, który ma na sobie, wystaje koszula nocna. Trzy różowe splecione ze sobą smycze trzyma w lewej dłoni. Prawą macha do mnie. Kiedy przestaje, przyciska telefon do policzka.

– Idziesz na spacer? O tej porze? – pytam lekko zszokowana.

– Roxie zatrzała się jakimś świństwem, które wykopała w ogródku. Uznałam, że lepiej, jak załatwi się tutaj, niż po raz kolejny zafajda mi dywan. Słuchaj, ale ja nie o tym. Ten instalator, z którym skontaktował cię Daniel...

– Co z nim?

– Założył już te kamerki przy płocie, na końcu ogrodu? – pyta, prędko wyrzucając z siebie słowa.

– Od strony lasu?

– Yhy.

– Nie, ale ma się tym zająć jutro – wyjaśniam, poprawiając zsuwający się z nadgarstka bandaż. Jest ciemno, ale wydaje mi się, że rana przestała krwawić. – A co?

– Nie wiem. Pewnie to nic takiego, ale widzę jakieś światełko w lesie, za płotem, na wysokości twojego ogrodu.

– Może to harcerze, a może jakaś parka ma tam schadzkę – mówię najspokojniej jak tylko potrafię, ale przeszywa mnie jednak zimny dreszcz.

– A może twój sąsiad świr znów cię podgląda?

Słowo „sąsiad” wyrzuca z siebie z pogardą i niesmakiem.

– Daj mu spokój.

– Ej, no co ty?! Typ, który tuż przy wejściu do domu trzyma kieckę i buty należące do nieboszczki, jest przecież ostro popaprany!!!

– Nie wiesz, jak to jest... – urywam, mój głos brzmi chyba szorstko. – A może te ciuchy wcale nie należały do niej – dodaję łagodniej.

– Ja pitolę – jęczy Nat, wciąga głośno powietrze i wypuszcza je powoli w telefon. Zawsze tak robi, kiedy gryzie się w język, choć jest na mnie wściekła, ale nie chce dać tego po sobie poznać. – Ty serio masz do niego jakieś ciągoty.

– Daj spokój! Nie obchodzi mnie ten facet! – Pewność w moim głosie wypada jednak marnie.

– Sratatata. Zapomniałaś już, o czym mówiłaś mi dzisiaj? O albumie, w którym miał zdjęcie tej Dominiki. H-E-L-O-Ł, tu Ziemia do Niki! Połącz sobie fakty...

– Dzwoniłam dziś do Mariki Dąbrowskiej, wizażystki, z którą przez jakiś czas współpracowała Kalita. Pytałam, czy kiedykolwiek spotkały się z Wolnym... Ona albo Dominika.

– No i?

– Zaprzeczyła.

– I co z tego? To jeszcze nic nie znaczy.

– Dobrze, wiem, ale na razie nie chcę się niepotrzebnie nakręcać.

Nat znowu wzdycha, jakby z trudem powstrzymała się od złośliwego komentarza.

– I tak pójdę zobaczyć, co się dzieje w tym lesie – wypala nagle.

– Ani mi się waź! Nie pozwalam ci tam iść! Parę dni temu oberwałaś w głowę...

Nat parska śmiechem. Jest w tym coś pierwotnego i zwierzęcego, jakaś żelazna determinacja, żeby postawić na swoim.

– Nie matkuj mi, okej? Zresztą są ze mną psy.

Z których żaden nie skrzywdziłby nawet muchy, myślę, ale gryzę się w język. Znam jednak Nat, więc wiem, że decyzja już zapadła i mogę robić, co chcę, a i tak nie wybije jej tego z głowy.

– Poczekaj. Wezmę tylko gaz pieprzowy i idę do ciebie – mówię.

Nie czekając na jej reakcję, podchodzę do kredensu, wyławiam z niego buteleczkę z atomizerem i odbezpieczam zawleczkę.

Działka, na której znajduje się pensjonat, sąsiaduje bezpośrednio z lasem rosnącym na paśmie wzgórz morenowych. Pieszczołliwie nazywane są przez mieszkańców Małymi Bieszczadami. Nie tylko przez wzgląd na bliskość przyrody uwielbiam tę lokalizację. Przylegająca do lasu furtka na końcu mojej parceli prowadzi wprost do punktu widokowego – trawiastego poletka treningowego, skąd rozpościera się widok na port i panoramę Gdyni. Faktycznie jest to miejsce, do którego ludzie, szczególnie zakochani, lubią wpadać wieczorami. Pety, butelki, rozciągnięte gumki wypełnione sperma. Kosz na śmieci kipi zawsze od tych i innych śladów, jakie po sobie zostawiają. Tego akurat nie znoszę. Spacerowicze popalają tam skręty, piją browary, robią sobie dobrze, a przed ostrymi numerkami i po nich hulają na prostej, ręcznie wykonanej huśtawce. To kolejna atrakcja tego punktu widokowego. W zasadzie jest to tylko gruba lina zawiązana wokół konara, zakończona gałęzią wetkniętą w sam środek pętli, która służy za siedzenie. Pusta przestrzeń leśnej polany pozwala rozbijać się do nieprzyzwoitości, kręcić ósemki, a nawet szybować nad urwiskiem. Ale teraz jest tam cicho.

Kiedy przedzieramy się z Nat przez ogród, mdłe światło w oddali powoli się wyostrza. Latarki w telefonach nie oświetlają zbyt dobrze wyłożonej grysem ścieżki, ale docieramy jakoś pod furtkę. Zasuwa w drewnianych drzwiczkach puszcza gładko pod moimi palcami, wpuszczając nas do lasu. Wychodzę pierwsza, Natalia i psy są tuż za mną. Po lewej stronie spod kupki liści dobiegają szmery, ale kiedy ją oświetlam, okazuje się, że to tylko jeź. Wzdycham z ulgą. Idę dalej, na karku czuję gorący oddech Nat. Psy raz po raz ocierają mi się o łydki.

– Ej, patrz, tam ktoś jest... – Natalia szepce mi do ucha. Prawą dłoń wycelowaną ma w oświetloną smugą światła ciemność.

Stajemy jak wryte. Mniej więcej na wysokości huśtawki na ziemi leży włączona latarka. To źródło światła, które widziałyśmy z oddali. Teraz razi nas w oczy. Nad lampką majaczy zarys ludzkiej sylwetki, ale jest jakiś inny niż normalnie, jakby ktoś bujał się w ciszy na stojąco o wiele wyżej niż zwykle. Tuż obok huśtawki leży pękaty pieniek. Dziwne. Nie było go tam wcześniej.

– Zabierajmy się stąd lepiej, co? – Nat ciągnie mnie za rękaw bluzki. – To jakieś dziwadło.

– Halo, czy wszystko w porządku? – rzucam przed siebie, przesuwając palec na spust atomizera.

Ale odpowiada nam tylko cisza. Na plecach czuję chłodny powiew wiatru. Nie rozsiewa zapachu morskiej bryzy, tylko ostry odór moczu. Podchodzę bliżej drzewa, stoję teraz w niewielkiej odległości od niego – dzieli nas metr, może dwa. Kieruję światło swojej latarki na kołyszącą się sennie postać. Kiedy dociera do mnie złowrogość i brutalna prawda tego obrazka, zasłaniam dłonią usta, ale i tak wyrywa się z nich krzyk, a po nim fala torsji. Nachylam się nad krzakami i zwracam całą zawartość żołądka.

Ocieram usta, unoszę na powrót głowę i wciąż widzę to samo. Mam przed sobą zwróconego do mnie plecami człowieka z pętlą na szyi. Zwisa z drzewa, przewieszony na tej samej linie, na której dotychczas znajdowała się huśtawka. Na wewnętrznej stronie nogawek jego eleganckich kremowych spodni rysują się podłużne plamy moczu. Solidny konar drzewa, czyli siedzisko huśtawki, leży pod jego stopami.

– Dzwonię po gliny i pogotowie – wyrzuca z siebie gorączkowo Nat. Ona też już wie. Za plecami słyszę, jak energicznie wystukuje w telefonie numer. Psy, które doskonale wyczuwają nasz nastrój, płaczą się niespokojnie pod nogami. Obchodzę wisielca i staję z nim twarzą w twarz, starając się wierzyć, że on może wciąż jeszcze żyje. Ale światło latarki bezlitośnie obnaża prawdę. Z ust wystaje mu szerniały język, a blada skóra twarzy odbija się jakoś upiornie w świetle księżyca. Przez jego szyję przebiega głęboka skośna bruzda. Jakiś pienisty płyn wydobywa mu się z nosa. Nie porusza się, to tylko podmuchy wiatru od morza kołyszą jego ciałem.

– O Boże... – szepczę.

Rozpoznaję tę twarz.

## Rozdział siedemnasty

24 października 2018

*rano*

Wchodzę do komisariatu z tłukącym się w piersi sercem. Przez tę kolejną śmierć mętlak w mojej głowie tylko przybrał na sile. Siedzi w niej teraz strach o bezpieczeństwo moje, ale także i Nat, tropiącej razem ze mną. Nie rozumiem też, dlaczego Senny po raz kolejny wezwał mnie do siebie, skoro złożyłam już obszernie zeznania w sprawie wisielca. Jeszcze bardziej zdeterminowana, by wyciągnąć z niego cokolwiek dla siebie, przekraczam próg gabinetu.

– Proszę, niech pani siada. – Senny wskazuje na stojące przede mną krzesło.

Jego smukła sylwetka w czarnym garniturze pochylona jest nad biurkiem usłanym papierami. W tej pozie śledczy przypomina mi trochę Slender Mana. Zamyka teczkę z naniesionymi na okładkę personaliami wisielca, po czym odgradza się od jej zawartości grubym supłem. Z górnej szuflady biurka Senny wydobywa zafoliowany przedmiot o nieregularnych kształtach, czym odwraca moją uwagę.

Mija chwila, nim orientuję się, że to muszla, którą dostałam od jednego z czytelników na spotkaniu autorskim jakieś trzy lata temu. Nie był to przypadkowy prezent. Gigantyczny, ważący ponad dwa kilo łodziki miał nawiązywać do zasady złotego podziału – symetrii i harmonii, jaką moje powieści wprowadziły podobno w życie tego młodego mężczyzny. Miał za sobą rozstanie z dziewczyną, utratę pracy, a po tym wszystkim załamanie nerwowe. Wtedy jeszcze moja praca twórcza miała sens, a ja – poczucie misji.

– Należy do pani, prawda? – mówi Senny, odkładając muszlę na stół.

Kiwam głową, jednocześnie zastanawiając się, kiedy zniknęła z mojego domu i dlaczego do tej pory tego nie zauważyłam.

– Nasz technik znalazł ją ostatnio w pani ogrodzie, pękniętą i wciśniętą w krzaki. Wysłane do laboratorium odciski palców, jakie z niej ściągnęliśmy, nie widnieją w policyjnej bazie danych. Czy zgodzi się pani na to, abyśmy pobrali je także od pani?

Kiedy widzi zmieszanie na mojej twarzy, dodaje:

– Chcemy się przekonać, czy zostawił je napastnik, który zaatakował panią Natalię. Wewnątrz muszli był także włos, który z dużym prawdopodobieństwem może należeć do niej. To także sprawdzimy. Podejrzewamy, że tym przedmiotem – Senny znów unosi muszlę – sprawca ją ogłuszył.

– Jasne, zrobię, co trzeba – mówię bez zastanowienia.

– Jeszcze jedno – jego głos przybiera teraz jakiś mroczniejszą, metaliczną barwę. – Przedwczoraj nie wspomniała pani, że odwiedziła dom denata – podnoszę na Sennego czujny wzrok – pana Adama Łukasiewicza.

Zagryzam wargę, żałując, że mój kamuflaż jednak się wydał. Ale w tych okolicznościach to i tak musiało się stać.

– Nie uznałam tego za konieczne.

– Żona i gosposia pana Łukasiewicza były zgoła odmiennego zdania. Podobno chciała pani opiekować się dzieckiem gospodarzy. – Senny wlepia we mnie swój rybi wzrok, świdrując mnie nim na wskroś. Nie wiem, czy ze mnie kpi, czy tylko mnie potępia.

– Nie czuję się bezpieczna we własnym domu. Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej – tłumaczę.

– Aha. Więc zdecydowała się pani na małą maskaradę... To naprawdę nie był najlepszy pomysł.

– A co zrobiłby pan na moim miejscu? Albo jeśli to wszystko dotyczyłoby pana żony lub córki?

– Niech mnie pani dobrze zrozumie... – wzdycha. – Te obawy są w pełni uzasadnione. Nie powinienem tego mówić, ale naprawdę wierzę, że chce pani dobrze. I dlatego panią ostrzegam, opierając się na swoim wieloletnim doświadczeniu, bo w ten sposób chcę panią chronić. – Patrzy na mnie nieco

łagodniejszym wzrokiem. Trochę jak pobłażliwy ojciec na upartą nieposłuszną córkę. Jestem mu za to wdzięczna. – Ściągając na siebie uwagę, nie tylko wkracza pani na grząski grunt, ale i dopomina się o uwagę kogoś, kto może być dla pani śmiertelnym zagrożeniem. Proszę, naprawdę proszę odpuścić. To, co powiem teraz, jest zupełnie poza protokołem: mamy pewien trop. Podejmiemy go sami. I niech tak zostanie. Rozumie pani?

Mimo że częściowo przyznaję mu rację, i tak mam ochotę mu odpysknąć.

– Mieliście go przed czy po tym, jak mąż Dominiki zawisnął na pętli?

Na twarzy komendanta powoli maluje się zniecierpliwienie.

– Przejdźmy do pomieszczenia obok. Technik pobierze pani odciski palców.

– Czy to też było morderstwo? – pytam, ale Senny wygląda przez okno, pozostawiając moje pytanie bez odpowiedzi.

Po sposobie, w jaki odkłada na stole dokumenty, starannie teczka na teczce, poznaję, że zbiera się do wyjścia. To moja ostatnia chwila na wyrzucenie z siebie tego, przed czym powstrzymuję się od wczoraj.

– Wracając do ataku na moją przyjaciółkę... Podczas wcześniejszego składania zeznań z pamięci umknął mi pewien szczegół z tamtego dnia.

Senny przygląda mi się podejrzliwie.

– Umknął czy pominęła go pani?

– Wtedy nie uznałam go chyba za ważny w kontekście tamtych zdarzeń – tłumaczę, ale wypadam chyba dość nieporadnie.

Skinieniem głowy Senny zachęca mnie, bym nie przerywała.

– Zapytana przez policjanta o gości wynajmujących pokoje tamtego dnia odpowiedziałam, że nie miałam żadnych. To w zasadzie była prawda. Matka i ojczym opuścili mój pensjonat na krótko przed atakiem na Natalię.

Senny nagle prostuje się na krześle. W jego smutnych oczach pojawia się błysk.

– Na krótko? Jak krótko?

– Nie wiem dokładnie, kiedy wyjechali, zastałam ich pokój pusty i kartkę z informacją o tym, że jadą na Hel. Było to na chwilę przed przyjazdem policji.



– Co skłoniło panią do podzielenia się tą informacją akurat teraz?

– Nie rozumiem... – bąkam, grając w ten sposób na zwłokę. Ale dobrze wiem, że to zaszło już za daleko i że tym razem się Sennemu nie wywinę.

– Wspomniała pani, że wcześniej nie uznała tej informacji za istotną. Co więc wpłynęło na zmianę pani decyzji?

W tej chwili czuję się rozdarta między odegraniem roli ohydneho kapusia a koniecznością wyznania prawdy. Może Senny zlekceważy to, o czym mu powiem, a może ściągnie tu matkę i ojczyma i ich przesłucha, choćby w roli potencjalnych świadków. Najprawdopodobniej nie mają z tym nic wspólnego. Ale jednak...

To nie jest przecież mój rewanż. Ja vs matka. To, co teraz powiem, pewnie zburzy jej spokój. Mimo wszystko, kiedy dzielę się z Sennym informacjami o sygnecie, nie mogę odegnać od siebie myśli, że matka też nigdy nie dbała o mój komfort psychiczny. Z tą świadomością jest mi jakoś łatwiej dobrać się do zeznania do końca.

Po chwili Senny wynotowuje dane kontaktowe do matki i Adama, nie zdradzając mi swoich zamiarów. Kiedy oboje mamy już podnieść się z krzesel, zza moich pleców dobiega stukanie do drzwi. Jest donośne i niecierpliwe. Drzwi gabinetu natychmiast się otwierają i staje w nich barczysty facet w mundurze. Na korytarzu rozlegają się podniesione głosy i przyspieszony stukot butów.

– Co tam się dzieje? – pyta Senny, marszcząc brwi.

– Komendancie, pozwoli pan na moment? To ważne.

Senny mierzy mnie wzrokiem, jakby wahał się, czy powinien mnie wyprosić. Wstaje jednak i podchodzi do swojego pracownika, z którym wymienia się cicho zdawkowymi informacjami. Nie słyszę, o czym rozmawiają, ale po nagłym napięciu malującym się na jego twarzy wiem, że chodzi o coś istotnego. Chwilę później komendant wychodzi z pomieszczenia, rozkazując swojemu podwładnemu zostać ze mną. Ton jego głosu jest na tyle kategoriyczny i ostry, że oboje wiemy, jaki to rozkaz. Barczysty glina ma mnie mieć na oku.

Po wyjściu Sennego zalega między nami niezręczna cisza, która ciągnie się przez kilka minut. Ale donośne dźwięki szamotaniny dobiegające zza

zamkniętych drzwi w pewnym momencie podrywają policjanta z miejsca. Widzę, że i on przez chwilę waha się jak powinien zareagować. Jego decyzja jest mi na rękę. Zwrócony do mnie plecami, uchyla drzwi i rozgląda się po korytarzu. Po chwili opuszcza pokój i zaczepia kogoś, kto właśnie przechodzi, ale nie widzę kogo. Uchylone drzwi, które zostawił za sobą wychodząc, w pewnej chwili zatrzaskuje przeciąg.

Impuls każe mi natychmiast rozsypać teczkę z aktami Adama i w tym zamieszaniu i hałasie zajrzeć do środka. Nie mam czasu, by teraz wertować papiery, ale zrobienie kilku fotek powinno zająć tylko chwilę. Z poczuciem winy i ekscytacją jednocześnie, czuję się jak dzieciak, który wykręca rodzicowi paskudny numer. Mija chwila, a mnie udaje się zrobić swoje. Odkładam zawiązaną ciasnym supełem teczkę na swoje miejsce. Oddycham z ulgą, bo funkcjonariusz wraca i niczego nie zauważa. Kilka minut później wraca także Senny. Zaprasza mnie gestem do sąsiedniego pokoju, gdzie technik sprawnie pobiera mi odciski palców.

Z komendy wychodzę kilka minut później. Telefon ze zdjęciami ciąży mi w kieszeni. Ale znów tłumaczę sobie, że w wyjątkowych okolicznościach cel uświęca środki.

Od zaparkowanego na Świętojańskiej samochodu dzieli mnie kilka minut żwawego marszu, który pozwala mi nieco ochłonąć. Siadam za kierownicą toyoty i natychmiast otwieram galerię zdjęć. Byłam w stresie, więc robiłam je na chybił trafił. Sfotografowałam tylko pierwszy plik zszytych ze sobą kartek. To raport z sekcji zwłok sporządzony przez lekarza sądowego w Zakładzie Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego. Pieczętka jest rozmazana, a podpis nieczytelny, ale nie jest mi to teraz potrzebne. Ze specjalistycznego żargonu czytanej linijka po linijce wyławiam kolejne istotne fragmenty w poszukiwaniu tego najważniejszego – przyczyny zgonu. Nareszcie go znajduję.

„Wynik przeprowadzonej ekspertyzy wskazuje na morderstwo”.

To tylko potwierdza moje przypuszczenia, ale i tak zimny dreszcz przebiega mi po plecach. Uspokajam oddech i raz jeszcze rzucam okiem na tekst.

„Do śmierci doszło w wyniku uduszenia, w tym przypadku silnego ucisku na szyję przez osobę lub osoby trzecie. U denata stwierdzono przełamana

chrząstkę tarczowatą oraz podbiegnięcia krwawe w tchawicy, krwawe wylewy pod skórą i w mięśniach szyi, a także półksiężycowate otarcia naskórka. Na szyi znajdowały się ślady paznokci oraz śladowe ilości naskórka, z którego wyodrębniono DNA. Nie należy ono do ofiary. Obrażenia głowy wskazują na to, że ofiara została ogłuszona tępym narzędziem. Mikroślady spod obuwia dowodzą także, że nie doszła sama na miejsce, w którym znalezione zostały potem jej zwłoki”.

Przeoglądam kolejne zdjęcia, ale nie znajduję na nich niczego przydatnego. A przynajmniej nie na tym etapie. Wsuwam telefon do kieszeni swetra i przekręcam kluczyk w stacyjce. Kiedy już mam włączyć się do ruchu, słyszę sygnał nadchodzącego esemesa. Wyciągam smartfona i spoglądam na ekran.

*Okej, to u mnie. Dziś o 19?! :)*

To wiadomość od Bartosza.

*Będę! Wystukuję prędko odpowiedź i ruszam.*

## Rozdział osiemnasty

*24 października 2018  
południe*

Dałam się namówić na kawę. Nie dlatego, że mam ochotę na pogłębianie naszej znajomości, choć może i jest to jakiś powód, ale nie mam ochoty się do tego przyznać. Skoncentrowana na innym celu, chcę jednak zachować trzeźwy umysł i dowiedzieć się, kim tak naprawdę jest kobieta w jego albumie. Przede wszystkim staram się też rozszyfrować jego prawdziwe intencje. I tylko tyle na teraz. Jeszcze nie wiem, co wymyślę, by wymknąć się do jego pracowni, ale liczę na to, że w ciągu kilku najbliższych godzin zaświta mi jakiś pomysł.

Teraz mam jednak ochotę zająć myśli czymś innym, nieskomplikowanym – podkręcam więc regulator radia i daję się ponieść nośnym bitom jakiegoś popowego szlagieru. Pochłonięta dudniącą w wozie muzą, mijam ulicę, w którą powinnam skręcić. Może i dobrze się składa. Nadłożę kilometr, ale dzięki temu zyskam okazję przejazdu wzdłuż Polanki Redłowskiej, lasku, w którym niedawno znaleziono szczątki. Po chwili jestem już prawie u celu. Jadąc ulicą Kopernika, przekonuję się, jak szybko sensacyjne newsy idą w zapomnienie. Zniknęły wozy transmisyjne, biało-niebieskie taśmy policyjne, a wraz z tym tłum gapiów. Tak jakby nośny temat żył dopóty, dopóki podsycaly go nowe fakty i doniesienia albo ludzkie gadanie. Ale w brukowcach cicho, policja też uparcie milczy.

Sama nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Może, jak twierdził Senny, faktycznie trafili na dobry trop i nie chcą ujawniać zbyt wielu szczegółów, by nie wystraszyć sprawcy. Taką mam nadzieję. Pewnie w takiej sytuacji powinnam odpuścić, wrócić do domu i czekać. Na widok zaparkowanej na poboczu drogi skorodowanej audicy dociera do mnie jednak, że tego nie zrobię.

Po znalezieniu szczątków, kiedy zrobiło się tu spore zamieszanie, sprzedawca poroży jakby zapadł się pod ziemię. Ale teraz wrócił razem ze swoim kramikiem, co daje mi szansę na zadanie mu kilku pytań. Oczywiście, to może być ślepy zaułek, ale warto spróbować, skoro w mediach kilkakrotnie podkreślano, że policja w związku z dochodzeniem przesłuchiwała świadka. Czy mogło chodzić o tego mężczyznę?

Parkuje zawsze w miejscu z widokiem na wejście, z którego prawdopodobnie skorzystał zabójca. A zatoczka jest jednocześnie dość dobrze ukryta, przez co mógł myśleć, że pozostanie niezauważony. Nie wiem, co sądzić o ludziach zajmujących się takim handlem. Liczę na to, że ten facet nie jest kłusownikiem, a tylko dorabia sobie, zbierając w lesie zrzucone przez jelenie poroża. I choć wiem, że jest na nie popyt – w krajach Dalekiego Wschodu sproszkowane rogi są podobno uznawane za afrodyzjak – nigdy nie widziałam, by ktokolwiek kręcił się przy tym jego kramiku.

Przypomina mi kogoś, kto naoglądał się westernów i wczuł się za bardzo w rolę kowboja. Poza wyblakłym od słońca kapeluszem nosi buty z ostrogami i skórzaną kamizelkę, na której brakuje tylko odznaki szeryfa. Na zawiązanej pod szyją czerwonej apaszcze osiadła zszarzała smuga brudu. Facet przygląda mi się z zaciekawieniem, ocierając dłonią kark. Jest po sześćdziesiątce, a żółtawa skóra jego twarzy wskazuje albo na to, że wysmarował się samoopalaczem, albo na to, że ma problemy z wątrobą. Chyba to drugie, bo białka jego oczu są podobnego koloru. Na masce samochodu, rozłożone na dziecięcym kocyku, leżą jelenie rogi, a w ich centralnym miejscu szkaradny żyrandol z poroża. Rozglądam się, z trudem hamując niechęć.

– Co dla pani? – Mężczyzna odsłania białe zęby w przebiegłym uśmiechu. Jest w nim coś z akwizytora, który wciśnie najgorszy bubel każdemu, kto się tylko nawinie.

– Szukam żyrandola do swojego domku letniskowego – staram się sfignować entuzjazm. – Ale ten – wskazuję na połączone ze sobą poroże – jest zbyt duży.

Sprzedawca natychmiast podnosi go z maski i udaje, że zawiesza w pustej przestrzeni i prezentuje z każdej strony.

– Piękny okaz, puszcę go taniej, niż dostałaby pani u kogokolwiek

innego, za dwa tysiaki.

– Jest wyjątkowy, to prawda – cmokam z zachwytem, ale prawie krztuszę się kłamstwem – jednak zdecydowanie zbyt duży jak na powierzchnię mojego domku. Ma pan coś mniejszego?

Oby tylko nie miał, powtarzam w myślach.

– Nie, ale mogę pani zrobić na zamówienie.

– Świetnie, o połowę mniejszy, trójramienny byłby idealny.

Sprzedawca mierzy mnie wzrokiem, zastanawiając się, czy ja tak na serio. Pewnie nieczęsto miewa takie zlecenia.

– Trzeba by zadatek wpłacić – mówi, oblizując językiem górną wargę.

– Jasne, rozumiem. Ile?

– Ze trzy stówki zadatku, kolejnych siedem, kiedy żyrandol będzie już gotowy. Zrobię prawdziwe cacko.

– I tak teraz nie mam ze sobą tyle gotówki, ale zastanowię się jeszcze, wpadniemy może po południu z mężem i ustalimy szczegóły.

Sprzedawca kiwa głową, wydaje się nieco rozczarowany, że raczej nie ubije ze mną interesu. Uznaje, że na tym koniec rozmowy, siada na leżaku i podnosi z ziemi dzisiejsze wydanie „Dziennika Bałtyckiego”. Rozkłada i udaje, że czyta.

– Nie boi się pan tak tutaj stać, po tym wszystkim, co się stało ostatnio? – zagaduję niby od niechcienia. – O tej porze roku nie kręci się tu już zbyt wielu ludzi.

Mężczyzna odkłada gazetę na kolana, splata ze sobą dłonie i wymacawszy pod skórą kości, naciska na nie z dużą siłą. Strzelają, a ten drażniący uszy dźwięk sprawia, że przechodzi mnie zimny dreszcz.

– Teraz faktycznie słabo, ale w sezonie jest lepiej. Zresztą to bardziej hobby dla zabicia czasu niż praca.

– Ale słyszał pan o tym morderstwie na terenie polanki? – Dłonią wskazuję na wejście do lasu.

– Słyszałem, słyszałem, a co bym miał nie słyszeć... – w tonie jego głosu jest jakaś przechwałka.

– Ten człowiek, morderca, musiały się przemknąć dosłownie obok pana.

Oczywiście, jeśli pan wtedy tu był...

– Chyba nie jest pani z jakiegoś brukowca czy coś? – Handlarz przechyla głowę i rzuca mi czujne spojrzenie. – Tym padalcom nic nie powiem...

– Skądże, mieszkam po prostu w pobliżu i niepokoję się, że do tej pory nie schwytano sprawcy.

– No to zdradzę pani to, co powiedziałem glinom. Byłem tu tamtego wieczoru – konspiracyjnie ścisza głos. Nie wiem po co, bo nikogo oprócz nas nie ma w promieniu dwustu metrów. – Pakowałem już swoje manatki, bo było dawno po zmierzchu, a i tak się wtedy zasiedziałem. Ten facet podjechał tutaj małą terenówką z naczepą... Chyba suzuki vitara. Ale głowy nie dam...

– Czyli to był mężczyzna? – wchodzę mu w słowo.

– Raczej tak, ale zapadł już zmierzch, a on nie wysiadał z wozu. Dostrzegłem jednak zarys sylwetki. Jeśli to byłaby kobieta, to raczej męskiej budowy. A to mało prawdopodobne. Nie widziałem twarzy, bo na głowę miał naciągnięty kaptur.

– Wspomniał pan o naczepie? Co na niej było?

– Wtedy jeszcze nie wiedziałem. To coś przykryte było brezentową płachtą. Pomyślałem, że facet ma tam drewno albo jedzie po nie do lasu. Zresztą w rogu naczepy stał niewielki rębak do gałęzi. Założyłem, że to leśniczy czy ktoś taki. Dopiero kiedy po kilku dniach zaczęli trąbić o tych szczątkach, dodałem dwa do dwóch i zrozumiałem, do czego ta maszyna była mu potrzebna.

Szybko łączę wszystkie oficjalne fakty, jakie dotychczas wypłynęły w tej sprawie, porównuję z tym, co powiedział, i dochodzę do wniosku, że coś mi się tu nie klei.

– Ale to nie miałyby sensu. Ta teoria o rębaku – wypalam.

– Niby co? – parska oburzony sprzedawca.

– Jeśli widział pan mordercę, jakim cudem miałyby przez niewielki rębak przepuścić ciało? Żeby faktycznie zmieścić je w otworze, musiałyby wjechać tutaj jakimś ciężkim sprzętem do rozdrabniania bali. Poza tym miejsce, w którym tego dokonał, musiałyby tonąć we krwi.

– No co pani... – Mężczyzna podrywa się z krzesła, dziwnie krzepki i niepokojąco pobudzony, a kiedy oczy zachodzą mu gniewem, robię krok do

tyłu. – Są najróżniejsze sposoby. Jeśli to był jakiś popapraniec, mógł na przykład zamrozić zwłoki, a potem je rozczłonkować. – Podchodzi krok do przodu i macha mi ręką przed nosem. – A zresztą nie moja sprawa. Od tego jest policja. Ja tylko powiedziałem, co widziałem. I tyle.

Zastanawia mnie łatwość, z jaką przyszło mu wyrzucenie tego wszystkiego z siebie. I nagły gniew. Jeśli faktycznie było tak, jak mówi, a chłapie przecież jęzorem na prawo i lewo, może stać się następnym celem mordercy. Chce zgrywać bohatera i do tego stopnia ryzykować? Wątpię. Chyba że kłamie albo sam ma z tym jakiś związek. A może jednak mówi prawdę? Gdyby chodziło mu tylko o sensację, poszedłby do brukowców, a nie na policję. Mam już mętlik w głowie. Podchodzę do tego z rezerwą, ale mimo wszystko mam zamiar zadać mu jeszcze dwa pytania.

– Rozumiem, nie podważam prawdziwości pana słów. Po prostu się zastanawiam – dodaję, żeby go trochę udobruchać. – Widział pan wtedy coś jeszcze, coś charakterystycznego?

Mężczyzna siada na leżaku i, wyraźnie urażony, burczy pod nosem. Wytężam słuch, by go zrozumieć.

– Prawy przedni reflektor mu nie działał.

– Słucham?

– Nie działał. Żarówka była przepalona.

Sadowi się wygodniej na leżaku, bierze w ręce gazetę i wertuje ją nerwowo, strona po stronie.

– Na jak długo zniknął w lesie i czy słyszał pan stamtąd jakieś dźwięki?

– Nie wiem. Zawinąłem się ze swoim majdanem i tyle widziałem. To wszystko?

– Jeszcze jedno. Pamięta pan, kiedy to było? Dokładny dzień?

Mężczyzna wychyla głowę zza gazety i piorunuje mnie wzrokiem.

– I kim pani twierdzi, że pani jest? Nadal zatroskaną mieszkanką, która chciała kupić ode mnie ten żyrandol?

Nie wiem, czy o to mu chodzi, ale sięgam do torebki po portfel i wyciągam z niego banknot stużłotowy.

– Potraktujmy to jako zadatek, okej? Jeśli zmienię zdanie, zatrzyma go



pan dla siebie.

Mężczyzna macha ręką, jakby zupełnie nie w tym była rzecz.

– Daj pani spokój.

– To ostatnie pytanie. Proszę.

Wzdycha, a kiedy myślę, że odezwie się tylko po to, by kazać mi się stamtąd wynieść, mówi to, na co czekałam.

– W sobotę trzynastego października. Pamiętam, bo to były urodziny mojego syna. I niech pani już wreszcie idzie. – Ręką wskazuje mi drugą stronę ulicy.

Dziękuję mu, ale sprzedawca nie reaguje. Ze wzrokiem utkwionym w gazecie pokazuje mi, że już dość. Nie mam mu tego za złe, teraz mogę się spokojnie oddalić. Stowę, którą zostawiłam na masce jego samochodu, chowa do przypiętej w pasie saszetki, ale dopiero wtedy, kiedy siedzę już w aucie, a on myśli, że go nie widzę. Nim ruszam, w myślach analizuję wszystko, czego się dowiedziałam. By niczego nie pominąć, robię szczegółowe notatki w swoim notesiku. To mój stały rytuał z czasów, kiedy dopadała mnie niespodziewana wena, a ja, nie chcąc pozwolić jej się wymknąć, spisywałam wszystko na gorąco. Data, którą podał mi ten człowiek, to nie był przypadkowy strzał. Dzień wcześniej, w nocy z 12 na 13 października, facet w czarnym uniformie wyniósł z mojego domu ciało Dominiki. Z pamięci staram się wydobyć obraz tamtej nocy raz jeszcze, a przede wszystkim markę samochodu, licząc, że przed oczami stanie mi terenówka z przepalonym reflektorem. Że tym samym będę miała wreszcie jakiś konkret. Ale muszę być ze sobą szczerą – wcale nie jestem tego taka pewna. Wciąż pochłonięta wspomnieniami tamtej nocy, zapinam pas i ruszam. Do spotkania z Bartoszem zostały mi jeszcze ponad cztery godziny.

## Rozdział dziewiętnasty

*24 października 2018  
popołudnie*

– Przyjemnego pobytu – mówię z wymuszonym uśmiechem do pary trzydziestolatków wychodzącej właśnie z pensjonatu.

To moi jedyni goście. Głowę mam całkowicie zaprzątniętą ostatnimi wydarzeniami, więc aż do teraz nie zastanawiałam się, co będzie dalej z pensjonatem, jeśli policja ujawni, że to stąd zniknęła Dominika Kalita. Choć nie wydano jeszcze w tej sprawie oficjalnego komunikatu, czuję, że ten stan zawieszenia nie potrwa już długo. A jestem przecież pewna, że to Kalita była ofiarą. Boję się, że z oczywistych przyczyn mój dom będzie się kojarzył ludziom źle, że stanie się czarnym punktem na turystycznej mapie Gdyni, że będą go omijać szerokim łukiem. Kto chciałby nocować w miejscu, w którym najprawdopodobniej zamordowano kobietę? Bez rezerwacji i gości wpadnę w długi, a potem stracę dom.

To okrutne i samolubne myśleć o tym w tej chwili, ale prawda jest taka, że dochody z pensjonatu są teraz moim jedynym źródłem utrzymania. Wydawca długo i cierpliwie, ale bezskutecznie, czekał na mój powrót do pisarskiej formy. Za niewywiązanie się z kolejnego, przesuniętego i tak na moją korzyść terminu zmuszona byłam zapłacić karę finansową przewidzianą w umowie, co wpakowało mnie w kolejne długi. Nie mam nawet o to żalu, bo na rynku wydawniczym nie ma miejsca dla niepiszących pisarzy. To prawda stara jak świat.

Poza moim wydawcą ofertę złożył też inny, ale to znacznie gorsza liga, wredne sępy i łowcy chwytliwych tematów, które szybko i łatwo można sprzedać. Chciał, żebym za całkiem niezłą kasę poddała się wiwisekcji moich traum i przeżyć – miałabym pisać o utraconym dziecku, stalkerze, pobycie w psychiatryku i o tym, jak dzielnie się po tym wszystkim podniosłam. A to

tak naprawdę kłamstwo. Taką samą ściemą byłaby moja uśmiechnięta, przerobiona w Photoshopie twarz na lśniącej okładce, będąca słodką oprawą dla fałszywej treści takiej książki. Na samą myśl o stworzeniu czegoś takiego, żeby się dobrze sprzedawało, robi mi się niedobrze. Nie jestem kłamliwą suką.

Myślę jeszcze od czasu do czasu o wznowieniu warsztatów dla dzieciaków, ale to akurat zawsze robiłam praktycznie pro bono. Pewnie i tak byłoby tym razem. Z perspektywy nierozwiązanych i niepewnych zdarzeń, które są nadal przede mną, myśli o finansowych kłopotach schodzą na drugi plan, tym bardziej że dochodzi już osiemnasta.

Staję przed lustrem po raz czwarty, poprawiając dopasowaną sukienkę, drugą ręką nakładając błyszczący lak na lśniące i tak usta. Jestem trochę zażenowana tą swoją kobiecością i mimowolną chęcią podobania się mężczyźnie.

Nie po to tam idziesz! – warczę sama na siebie.

Ale nie zaszkodzi przecież dobrze wyglądać, nawet jeśli moim celem jest tylko przewertowanie albumu ze zdjęciami.

Chwilę później wychodzę z domu i staję pod bramą domu Bartosza. Nim zdążę przycisnąć dzwonek, drzwi się uchylają, a on pojawia się w wejściu. Ma rozczochrane włosy, sterczące na wszystkie strony, a na sobie zwykłą, kraciastą koszulę i wytarte dżinsy. Jest trochę jak postać z jakiejś slapstickowej komedii. Wygląda niedbale, choć bardzo pociągająco, równie dobrze mogłam go właśnie wyrwać z drzemki albo odciągnąć od rzeźbienia.

– Może w końcu na spokojnie wypijemy razem tę kawę – mówi, uśmiechając się, a brama brzęczy i wpuszcza mnie do środka.

Czuję na sobie jego wzrok.

– Wracam prosto z centrum, z ważnego spotkania, i nie zdążyłam się przebrać – kłamię, chcąc usprawiedliwić swój strój.

– Serio?! A zdawało mi się, że widziałem, jak właśnie wychodziłaś od siebie.

Zatrząskuję za sobą bramę z głośnym kliknięciem, co pozwala mi ukryć zmieszanie i udawać, że nie słyszałam jego słów. Pokonuję ganek szybkim marszem, nie patrząc mu w oczy, i wparowuję do środka. Od progu witają

mnie za to odgłos bulgoczącego ekspresu i aromat świeżo parzonej kawy.

Bartosz znika zaraz we wnętrzu kuchni. Kątem oka zerkam na salon i zatrzymuję wzrok na stole zastawionym przekąskami i sałatką owocową. Doceniam to, że się postarał. Ale cały ten miły nastrój psuje mi nagle widok sukienki i szpilek, które nadal tkwią w tym samym miejscu w holu, dokładnie naprzeciwko mnie. Przez moment wydaje mi się, że zaraz zobaczę smukłe, długie nogi ich właścicielki i to, jak materializują się we wnętrzu butów, a potem jej aksamitne ciało, rysujące się pod odważnie wyciętym, seksownym krojem sukienki. Iga. Dobrze pamiętam ją z kilkudziesięciu artykułów prasowych, do których się dokopałam. I znów przechodzi mnie dreszcz.

– To Igi. Mojej żony. – Bartosz pojawia się z dwoma parującymi kubkami. – Wiem, co myślisz. I nie jesteś jedyna. Ludziom trudno to zrozumieć. Oczekują, że po takim czasie powinienem się tych rzeczy pozbyć, bo to może urąga mojej męskości albo cholera jeszcze wie co. Nie mówią mi tego wprost, udają, zwłaszcza kiedy czegoś chcą, ale wiem, że obsmarowują mnie za plecami. Tylko że ja mam ich gadanie w dupie...

– Mnie nie musisz się z niczego tłumaczyć.

– Ale chcę, bo inaczej ten temat wciąż będzie nam ciążył.

Kiwam tylko zachęcająco głową. Wchodzimy do salonu, Bartosz stawia kubki na stole i staje naprzeciwko mnie. Jest tak blisko, że wyraźnie czuję świeży zapach jego skóry, a na twarzy osiada mi jego ciepły oddech. Wbrew sobie samej zaciągam się i jednym, i drugim.

– Ktoś, kto patrzyłby na naszą relację z zewnątrz, powiedziałby, że ten związek nie miał prawa wypalić. Iga była wziętą prawniczką, ja wiecznie podróżowałem. Byliśmy jak hardcorowy miks nomada i japiszona, w ciągłym ruchu, tak zaabsorbowani karierami i rozwojem, że praktycznie nigdy nie było nas w domu. Rozmawialiśmy przez telefon i Skype'a tak często, jak tylko się dało, ale to przecież tylko namiastka, bo brak fizyczności najczęściej wszystko psuje. Ale mimo miliona powodów udawało nam się trwać właśnie dlatego, że rozumieliśmy tę swoją niezależność i wiedzieliśmy, w jaki sposób stworzyć sobie własny azyl. Chwile, które mieliśmy potem dla siebie, to była nasza cudowna stabilizacja w tym całym chaosie. Zaskakiwaliśmy siebie wzajemnie i wykorzystywaliśmy wolny czas na

ekstremalne aktywności tylko we dwoje. Żyliśmy ciągłą zmianą.

Tamtego wieczoru, w noc kupały, mieliśmy zrobić na plaży ognisko. Nic wielkiego, ale cieszyliśmy się na ten czas, który spędzimy wspólnie ze sobą i z naszymi znajomymi. My, oni, jakieś gry i alkohol, żeby porządnie wyluzować. Kumpel miał przynieść trochę trawki. Mieliśmy za sobą tysiąc bardziej ekstremalnych imprez. Ale wtedy przechodziliśmy też mały kryzys – przerywa, jakby się wahał, czy dodać coś więcej. – Chodziło o dziecko i o to, że Iga nie chciała go mieć. – Słowo „dziecko” wypowiada niezgrabnie, z pewnym nawet niesmakiem, jakby to ono było źródłem całego zła. –

Kiedyś wołała po prostu zaczekać, ale tamtego dnia powiedziała mi, że w ogóle nie chce go mieć. Skończyło się na kłótni, a przed imprezą na plaży nie zdążyliśmy się pogodzić. Podminowany i podpity, wypaliłem przy wszystkich coś głupiego na ten temat, jak parszywy i samolubny dupek, a Iga pobiegła ścieżką przez las w stronę klifu. Moje słowa chyba cholernie ją zabolowały. Myślę, że nie chciała tego zrobić – słowo „tego” wypływa jak szpetny odpad – pewnie chciała po prostu ochłonać, ale ona też trochę wypięła... Pobiegłem za nią razem z Robertem, naszym przyjacielem, jakbym przeczuwał, że grozi jej coś złego. Zanim zdążyliśmy ją znaleźć, z plaży dobiegły nas krzyki reszty naszej ekipy... – zawiesza głos, rozedrgany i trochę skrzypiący, nie patrzy mi teraz w oczy. Jego twarz zastyga w maskę. – Pamiętam, że tamtej nocy chciała włożyć te rzeczy – mówi po chwili, wskazując na sukienkę i szpilki – ale zmieniła zdanie w ostatniej chwili. Nie wiem, dlaczego wciąż je tu trzymam. Może to jest jakiś rodzaj pokuty, bo w pewnym sensie czuję się winny. Gdybym jej nie zranił, nie pobiegłaby na ten przeklęty klif... Nie straciłaby równowagi. A wtedy... – znów urywa. – Dzięki temu, że jej suknia wisi tutaj, nie mogę o niej zapomnieć. Takie rozdrapywanie starej rany jest popaprane, wiem. – Przenosi wzrok na mnie i patrzy wyczekująco. – Ale jeszcze nie mogę jej rzeczy stąd zabrać.

Milczę przez dłuższą chwilę, wokół nas trwa niezręczna cisza.

– Powinnam obiecać ci, jak zrobiłby każdy psycholog, że jeśli się postarasz, to wkrótce ból minie. Mogłabym sprzedać ci każdą inną kolorową bzdurę. Ale nie zrobię tego. Sama wciąż trzymam w domu rzeczy mojej córeczki. Ludzie pewnie powiedzieliby, że to, co robię, jest chore. Wiesz, ja cię naprawdę rozumiem.

– Chcesz o tym pogadać?

Potrząsam głową.

– Nie mogę. Prawie za każdym razem takie wspomnienie kończy się flashbackiem chwili, w której ją tracę. A to mnie wykańcza.

Nie powiem mu nic więcej, ale już samo odsłonięcie tego niewielkiego kawałka siebie przynosi pewną ulgę, jest jak odstawienie gorącego naczynia, które wciąż parzy mi palce. Wydobywająca się po chwili z głębi pokoju muzyka sprawia, że jestem zupełnie bezbronna. Otwiera mnie na te emocje, nad którymi zwykle jestem w stanie panować. Przejmujący głos Sarsy, znajome dźwięki i słowa. Skąd mógł wiedzieć? I kiedy w ogóle nastawił tę płytę? Czy dla niego ten utwór jest równie ważny?

*Idę przed siebie sama, bo sama*

*A ty się mną opiekuj, bo ja nie umiem się zająć sobą*

*Sama idę, sama*

*Takim ogniem spalam się i nic nie czuję, jak to jest*

*Że taki zimny w środku lód zrobił się od braku Twoich słów*

*Do mnie mów, mów do mnie*

Kiedy słucham *Modlitwy* w pustce swoich czterech ścian, łatwiej jest mi tkwić w uproszczonej rzeczywistości i wmówić sobie, że faktycznie nie czuję nic. Że dobrze jest mi tylko samej ze sobą. Ale dziś nie potrafię już udawać – nie tutaj i nie w jego obecności, kiedy mocne gitarowe rify i przesywająca mnie na wskroś interpretacja trącają i we mnie najczulszą nutę. Nie wtedy, kiedy ta muzyczna opowieść otwiera moje usta, a szew samokontroli poluzowuje się i w końcu pęka.

Słyszę obcy, a jednocześnie bliski mojemu sercu głos, a w nim swoją własną historię. Ufam mu. Kolejne wersy, słowo po słowie, rozświetlają szare kąty w mojej głowie, trafiając wreszcie w to najczulsze, wciąż obolałe miejsce. Ukryłam je w komórce moich czarnych myśli. Ból, pragnienie i prawda. Tam je przed sobą schowałam.

Na myśl o kłamstwach, jakimi sama siebie karmiłam, i na wspomnienie mojego dziecka, którego nie mogę budzić do życia nawet w myślach, do oczu

napływają mi łzy. Zaciskam powieki i pozwalam im spłynąć po policzkach. Oddech Bartosza staje się wtedy wyraźniejszy. Po chwili czuję jego dłonie na swojej talii, silne, ale wciąż delikatne. Nawet nie próbuję im się oprzeć. Pod wpływem tej fizyczności wybucham nagłym spazmem płaczu. To przez dawno zapomniane uczucie dotyku i czułości. Brakowało ich we mnie i wokół mnie, odkąd zamieniłam się w nieczułą, pustą skorupę, wierząc, że jestem samowystarczalna. Że nie potrzebuję nikogo ani niczego. A to zawsze było kłamstwo.

– Jesteś dzielna, dzielna i silna – szepce mi Bartosz do ucha, jakby dokładnie wiedział, o czym teraz myślę. Łapię się na tym, że całkiem niedawno słyszałam te słowa.

Skrawki wspomnień przebijają się do mojej świadomości i widzę je jak przez mgłę. To było chyba dwa lata temu, gdy wylądowałam na lodowatym taborecie, na wpół naga. Zaczerwieniona skóra na moich nadgarstkach poprzeshywana była świeżymi nićmi chirurgicznymi. Iksy, igreki, krzyżyki i im podobne znaki wyglądały na moich rękach jak linia życia. Wtedy wołałam, żeby jej tam nie było. Wołałam, by pozostała otwarta, pozwalając mi przez siebie wypłynąć. Nafaszerowana kolejną eksperymentalną dawką prochów, wlepiłam w te szwy swój otepiąły wzrok, żałując, że udało się mnie odratować.

„Jesteś silna i dobra. Dasz radę”.

Te słowa padły z ust kolejnej terapeutki w sterylnym kitlu. Brzmiały pusto, więc nie bardzo im wierzyłam.

Jakby na potwierdzenie tamtej chwili, palce Bartosza ostrożnie omijają opatrunek i trafiają dokładnie w to miejsce – na dwie węzłowate blizny, na mój wrażliwy punkt, przez który łatwiej mnie przeniknąć i przedostać się do środka. Muska mnie opuszkami palców, trochę tak, jakby się ze mną drażnił, a trochę jakby rzucał na blizny zaklęcie mające sprawić, że znikną. Instynktownie chcę odsunąć ręce, ściągnąć nadgarstki w dół i zeszywnieć – przyjąć swoją pozę obronną – ale, spragniona tego dotyku, zwyczajnie nie potrafię. Wtedy muzyka cichnie i gdzieś odpływa, a ja wraz z nią.

Nie wiem, które z nas robi to pierwsze – ja czy Bartosz – nasze twarze są zbyt blisko siebie, bym mogła właściwie ocenić. W pewnym momencie czuję na swoich ustach jego wargi, ciepłe i drżące z podniecenia albo ze strachu.

Mają słodko-słonawy smak. Z początku przywieramy do siebie nieśmiało, potem już tylko łapczywie. Ze wstydem odkrywam, że to moja sprawka. W obawie, że jego wargi znikną, przyciskam je mocniej i gwałtowniej, ale, za moim przyzwoleniem, to on przejmuje inicjatywę. Rozchylam usta i pozwalam mu wejść w nie głębiej, aż poczuję jego język, lepki i ciepły. Jego pocałunek wciąż trwa, wypełniając mnie błogością i poczuciem bezpieczeństwa, które rozprasza gniezdzący się we mnie od dawna chłód. Za oknem słyszę ptasi śpiew i dziecięce krzyki przechodzące w śmiech. Te przejawy zwykłego życia biorę za aprobatę.

Pozwalam mu więc zaprowadzić się na sofę, a kiedy na nią opadamy, ręce Bartosza zsuwają się niżej, na pośladki. Moje ciało znajduje się między jego udami, w potrzasku, z którego ja wcale nie chcę się wydostać. Przysuwam się jeszcze bliżej, zsuwam na moment usta z jego warg, przyciskam głowę do jego ramienia. I on idzie krok dalej. Czuję wyraźnie paznokcie zatopione w mojej skórze i siłę, z jaką rysują na niej małe czerwone półokręgi. Jego ręka wędruje pod moją sukienkę. Mrużę oczy z rozkoszy, a moje dłonie oplatają jego twarz. Nasze wargi znów się łączą. Leżę tak, poddając się tęsknemu, elektryzującemu drżeniu. Wiem jednak, że to będzie tylko tyle, że do niczego więcej dziś nie dojdzie, choć chciałabym, by było inaczej...

To ja pierwsza odsuwam usta i odrywam od niego dłonie, dyskretnie i taktownie, aby nie wyczuł zmiany w moim zachowaniu. Żadne z nas nie wie, co w tym momencie powiedzieć, bo w jednej chwili wszystko się zmienia. Siedzimy na sofie, nie patrząc na siebie, jak dwoje zawstydzonych uczniów nakrytych przez nauczyciela w szkolnej toalecie. Odginam się na oparciu kanapy, kładę ręce na kolanach, by uspokoić ciało, ale ono wciąż chce więcej. Nadal pulsuję w środku. Po chwili zdobywam się na to, by spojrzeć mu w oczy. Tym większe jest poczucie zdrady, kiedy dociera do mnie to, co planuję za chwilę zrobić. Muszę dostać się do albumu za wszelką cenę i raz na zawsze rozwiązać wszystkie swoje wątpliwości. To teraz dla mnie najważniejsze.

Ale przez kolejne dwie godziny nie mam okazji, by wymknąć się do piwniczki.

Rozmawiamy, a wymiana naszych myśli jest jak spacer po obcym terenie, który nagle wydaje się dziwnie znajomy. Okazuje się, że oboje mamy fioła na punkcie tych samych filmów Davida Lyncha, że z tych samych powodów



ciągnie nas na krakowski Kazimierz, że łączy nas słabość do burz, tapas i teorii Junga i że, podobnie jak ja, i on lubi włóczyć się po nieznanym zakątkach.

Na jego kolejne pytania o postępy śledztwa staram się odpowiadać jednak dość oględnie. Nie chcę, by wiedział na ten temat zbyt wiele. Jeszcze nie teraz. Po mniej więcej dwóch godzinach nagle ktoś dzwoni do drzwi. Bartosz wygląda przez okno i mówi, że to kurier z przesyłką zawierającą jakieś części do samochodu. Tylko ją odbierze, wrzuci do garażu i wróci do mnie za moment. Nadarza się wreszcie idealna okazja. Mam niewiele czasu, żeby wślizgnąć się do jego pracowni i w spokoju przewertować album ze zdjęciami. Postanawiam jednak zaryzykować.

Drzwi w przejściu prowadzącym do pomieszczenia w piwniczce są uchylone, a przez szczelinę przeciska się smuga światła, zapraszając mnie do środka. Stąpam ostrożnie po schodkach z pochyloną lekko głową, by nie wyrzucić jej o strop. Jest tu dzisiaj jakoś jaśniej i przyjaźniej, a na blacie stołu pojawiła się kolejna rzeźba, a właściwie jej zaczątek. Kieruję wzrok w stronę ścian, pod którą stoją dwa regały. Są na swoim miejscu i na pierwszy rzut oka wszystko na półkach jest ustawione w porządku, jaki zastałam tu ostatnio. Dopiero kiedy podchodzę kilka kroków bliżej, dociera do mnie, że między książkami ustawionymi w ostatnim rzędzie, w miejscu, gdzie leżały albumy, jest tylko wielka wyrwa. Zniknęły.

– O cholera... – szepczę.

Nagle dopada mnie poczucie, że nie jestem w pracowni sama. Na karku czuję lodowaty podmuch – to chyba przeciąg spowodowany otwarciem drzwi do piwniczki. Przełykam ślinę, czując w piersiach ołowiany ciężar.

– Hej, co tutaj robisz?

Odwracam się, dobrze wiedząc, kogo zobaczę w przejściu. To oczywiste. Zatrzymał się na pierwszym schodku. Nie jestem w stanie odczytać z jego twarzy niczego: ani czy jest bardzo zły, ani jakie ma zamiary. Stoję nieruchomo, a na plecach wciąż czuję lodowaty podmuch powietrza.

## Rozdział dwudziesty

25 października 2018  
południe

– Ej, czy ty mnie w ogóle słuchasz? – Rozmyte kontury kuchennych przedmiotów wyostają się, a coraz donośniejszy głos Nat brzęczy mi nad uchem. Ale nadal czuję, że ciało mam tak samo stężałe jak mózg.

– Co mówiłaś?

– No jasne... Masz ten swój odłot... – Przewraca oczami. – A ja bez sensu strzępię sobie język.

Tuż za plecami mojej przyjaciółki, po drugiej stronie okna, miga mi krępa sylwetka gościa z ekipy instalującej monitoring. Mimo dotkliwego zimna facet jest cały lepki od potu. Jego włosy też. Są krótkie i czarne, bez połysku, jak smoła po kilku dniach schnięcia. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że licha, drewniana drabinka, na której stoi, lada moment się złoży i gość runie na moich oczach na ziemię. Ta scenka wygląda dość kuriozalnie, ale i tak ufam Danielowi, że przysłał tu kogoś, kto przynajmniej zna się na rzeczy. Chcę wreszcie czuć się w swoim domu bezpiecznie.

– Wszystko słyszałam. Mówiłaś o tym, że znaleźliście dla tego czternastoletniego pieska, Szorstka, nowy dom – odpowiadam.

– To tyle?

– Jest zupełnie zdrowy, tylko jego byli właściciele chcieli mu zafundować eutanazję, bo nie mieli z nim co zrobić na czas wakacyjnego wyjazdu. Skończone dranie – recytuję, by zadowolić Nat. – Długo będziesz mnie tak sprawdzać?

– No dobra. Masz niezłą podzielność uwagi. Ale o czym myślałaś? Pytam serio! Miałaś minę, jakbyś zaliczyła całkiem konkretny zjazd...

Podnoszę się z krzesła, otwieram drzwiczki kredensu i wrzucam do dzbanka listki zielonej herbaty. Zalewam je przygotowanym w imbryczku wrzątkiem, a z górnej szafki wyciągam cztery filiżanki i talerz z ciastkami. Układam je starannie na tacy, grając w ten sposób na czas. Nie lubię oszukiwać Nat, jest jedną z tych nielicznych osób, którym na mnie zależy. Zresztą z wzajemnością.

– To nic takiego... Serio...

– Ściemniasz!

Choć jej oskarżenie jest trafne, zbywam je milczeniem. Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic, ale nie chcę przy kręcącym się po kuchni Danielu opowiadać jej o wieczorze ze swoim sąsiadem. Nie chcę też dodawać, że nie znalazłam albumu w miejscu, w którym powinien się znajdować, co w moich oczach wciąż czyni z Bartosza podejrzanego. Zresztą nie mogę jej obarczać swoimi problemami, a mam wrażenie, że ostatnio ciągle funduję jej jakieś kłopoty.

Ale prawda jest taka, że wczoraj nie zachowałam zimnej krwi i nie skonfrontowałam swoich podejrzeń z Bartoszem, kiedy nadarzyła się ku temu okazja. Zamiast tego skłamałam, jak tchórz, tłumacząc mu, że zakradłam się do jego pracowni po to, by raz jeszcze przyjrzeć się rzeźbom. Udał, że mi wierzy, ale i tak oboje wiedzieliśmy, że to nieprawda.

Ponieważ nie miałam mu już nic do powiedzenia, po prostu stamtąd zviałam pod jakimś beznadziejnie głupim pretekstem. Tłumaczę się sama przed sobą, że spanikowałam, po trosze bojąc się zdemaskowania i tego, co mógłby mi zrobić, gdyby miał coś wspólnego ze śmiercią Dominiki. Teraz, kiedy o tym myślę, ta możliwość wydaje mi się zupełnie absurdalna – ze swoją dobrą intuicją i umiejętnością odczytywania intencji ludzi już wcześniej rozpoznałabym w nim mordercę. Tylko że od pewnego czasu nie do końca ufam swojemu instynktowi. Do tego stopnia, że zupełnie nie wiem już, komu mogę wierzyć. I przede wszystkim, czy nadal mogę ufać sobie?

W odpowiedzi na to pytanie przed oczami staje mi obraz, który widziałam kiedyś w muzeum MoMa w Nowym Jorku. Przedstawiał ciemnoskórą Cyganekę grającą na mandolinie. Pograżona w głębokim śnie, gdzieś na pustkowiu, kobieta nie zdaje sobie sprawy, że krąży wokół niej lew. Mimo oczywistego, zdaje się, scenariusza, zwierz jej nie pożera. Myślę teraz o tym,

że i ja chciałabym mieć zaufanie do tego, co się wokół mnie dzieje. Przekonać siebie, że strach ma wielkie oczy. I chciałabym wreszcie uwierzyć, tak zwyczajnie, z dziecięcą naiwnością, że wszystko będzie dobrze.

– Jak u ciebie? – zagaduję po chwili Nat.

Kiedy kładę tacę na blacie stołu, z dzbanka wydobywa się przyjemny aromat suszonej pigwy. Rozlewam napar do filiżanek.

– Okej – wzrusza ramionami, wciąż nabzdyczona. – Wieczorem Daniel zabiera mnie na rejs swoim kutrem. – Od niechcienia pakuje sobie do ust herbatnika.

– To kuter mojego staruszka. Możesz następnym razem zabrać się z nami – dopowiada Daniel, stukając palcem w szybę i gestykulując coś w kierunku instalatora.

– Dwa dni temu gliny pobierały mi z policzka wymaz do badań DNA, podobno mają kogoś na oku w związku z tą napaścią. Wiedziałaś? – pyta Nat.

– Tak, ale na razie uparcie milczą.

Podchodząc pod okno, Daniel zatrzymuje się przy opartej o hokera tablicy korkowej z przyklejonymi na niej karteczkami. Pełno na nich notatek i wniosków, do których doszłam w ciągu kilku ostatnich dni. Cholera! Jak mogłam zapomnieć o tym, by schować ją z powrotem do szafy? Choć bazgroły mają sens tylko dla mnie, wolałabym, by nikt ich nie oglądał. Na szczęście Daniel zerka na nią tylko pobieżnie, a potem odchodzi, skupiając się na pracy fachowca. Po chwili zbliża się do stołu, odstawia krzesło i siada.

– Masz może coś mocniejszego? – pyta, patrząc z niesmakiem na herbatę.

Przenoszę wzrok na swoją zabandażowaną nadal dłoń. Zmieniam opatrunek i smaruję ją jakimiś specyfikami, ale rana po starciu ze szklaną gablotą wciąż słabo się goi.

– Sorry, ale nie piję – mówię. – Pozbyłam się wszystkiego z barku. Może kawy?

Daniel przygląda mi się badawczo, ale po chwili kiwa głową ze zrozumieniem.

– Czarną, okej? Dziwię się, że gliny nie chcą gadać z tym seryjnym mordercą – dodaje po chwili. – Skoro, zgodnie z waszą teorią, tę ostatnią

babkę, ofiarę z obwodnicy, zamordował teraz ktoś inny, to po co facet się wtedy przyznał? Jeśli nie popełnił morderstwa, musiałby być skończonym idiotą. Chyba że kogoś kryje. A wtedy byłby cennym źródłem informacji. Warto byłoby z nim pogadać. – Rzuca przelotne spojrzenie na tablicę.

Mam nadzieję, że Nat nie uraczyła swojego faceta wszystkim, z czego jej się zwierzyła. Widocznie jednak Daniel orientuje się w temacie na tyle dobrze, że wie o dochodzeniu, które prowadzę na własną rękę.

– Przecież nie jestem nikim z rodziny. Nawet gdyby jakimś cudem zgodzili się dać mi przepustkę, pewnie i tak na widzenie musiałabym czekać całe wieki – mówię, podchodząc do kuchenki. Nalewam wodę do czajnika i wstawiam na gaz.

– Na bank poszłoby gładko. Przepustki wydaje się teraz szybko.

– No co wy... Dajcie spokój – wtrąca się Nat, z okruciami herbatnika w ustach. – Po co Nika ma gadać z psycholem, skoro gliny na pewno wydusiły z niego wszystko, co tylko się dało? To byłby ślepy trop. A ty – patrzy na mnie z troską – znowu naraziłabyś się na niepotrzebny stres.

Potakuję, przyznając Nat rację, ale słowa Daniela zasiały we mnie niepokój, mam szczerą chęć podążenia tym tropem. Na razie dowiem się tylko, w jaki sposób mogę się starać o widzenie, a potem zobaczę, co dalej.

Chwilę ciszy między nami przerywa dźwięk mojego telefonu. Wyciągam go z kieszeni bluzy i patrzę na wyświetlacz, ale nie rozpoznaję numeru. Chcę porozmawiać spokojnie, więc kiwam porozumiewawczo w stronę moich gości, wychodzę z kuchni i zaszywam się w sypialni.

W pierwszej chwili jestem pewna, że ktoś pomylił numer albo że to jakiś dzieciak, który robi sobie żarty. Ze słuchawki dobiega tylko cisza przerywana krótkim chrapliwym oddechem. Już mam się rozłączyć, kiedy oddech zamienia się w wypowiedane z trudem słowa.

– Niech pani na siebie uważa. Człowiek, który zabił Adama, wie coś na pani temat.

Głos należy do kobiety, ale ledwie słyszalny szept nie zdradza mi, kim ona jest.

– Nie rozumiem. Z kim rozmawiam?

– Spotkałyśmy się w domu Adama, kilka dni temu – mówi kobieta,

a ostatnie słowo wypowiada drżącym głosem. – Udawała pani opiekunkę.

– Jest pani gosposią.

– Chciałabym, by o czymś pani wiedziała – odzywa się po dłuższej chwili.

Nie chcę narażać jej na niepotrzebny wysiłek. Nie zadaję żadnych pytań, a jedynie czekam na to, co sama mi powie. Domyślam się, że śmierć Adama była dla niej trudnym przeżyciem. Pewna pobłażliwość, jaką darzyła tego człowieka, świadczyła o bliskiej więzi, może nawet namiastce miłości, którą dla niego miała. Przy jej problemach zdrowotnych ta strata musiała być dla niej wyjątkowo bolesnym ciosem.

– Byłam przy tym, kiedy do niego zadzwonił. Adam odebrał połączenie w trybie głośnomówiącym, a ten człowiek zwabił go na spotkanie, twierdząc, że wie coś na temat skradzionych monet. Pani nazwisko też się w tej rozmowie przewinęło. Nie słyszałam już niczego więcej, bo Adam wyszedł do innego pomieszczenia, ale jestem pewna, że wspomniał potem jeszcze coś o Dominice. Po kilku minutach rozłączył się, wzburzony. Narzucił tylko płaszcz i zaraz poszedł do samochodu. Zaklinałam go, by nie szedł na spotkanie z tym mężczyzną. Ale nie panował nad sobą. Nie słuchał.

– Dlaczego chciała go pani powstrzymać? Przecież nie mogła pani przewidzieć tego, co się wydarzy...

Ciężki oddech gosposi słychać w słuchawce przez dłuższą chwilę, wtapia się w odgłos wirującej w tle pralki.

– Słyszałam ten głos już wcześniej – odezwała się wreszcie konspiracyjnym szeptem – nagrany na dyktafonie Dominiki. – Ale nie chodziło o samą barwę. Zarówno wtedy, jak i podczas rozmowy z Adamem ten człowiek użył słowa „bejmy”. To jakiś obcy, niespotykany tu regionalizm, z kontekstu wynikało, że chodziło o pieniądze.

Mam zupełny mętlik w głowie. Nie rozumiem, o czym ta kobieta mówi i do czego nasza rozmowa zmierza.

– Beniowskiego sto trzysta siedem. Proszę przyjechać, chcę pani coś dać.

Echo ostatnich wydarzeń, a szczególnie niewyjaśniony wciąż atak na Nat, huczy ostrzegawczo w mojej głowie. Zbyt dobrze znam jednak siebie, by wiedzieć, że szansy na to spotkanie i tak nie przepuszczę. Co nie znaczy, że

jestem ślepo ufającą tej kobiecie naiwniaczką. Potrzebuję chwili, by się do tej wizyty przygotować.

– Będę wieczorem.

– Nie! Proszę przyjechać teraz! – słowa gosposi brzmią ostro, jak wbijający się w mój mózg szpikulec. – Za niecałe dwie godziny będzie tu mój syn – wprowadza się do mnie na czas operacji i rekonwalescencji – dodaje łagodniej, z trudem przełykając ślinę. – Nie chcę po prostu, by przy tym był.

Czyżby?

W tle słyszę cichy stukot, a po nim donośny klik przycisku kończącego rozmowę. Potem dobiega mnie już tylko sygnał wolnej linii. Wsuwam telefon do kieszeni bluzy, zastanawiając się, o co w tym chodzi. Widzę tylko dwie możliwości. Albo gosposię ruszyło sumienie i ma coś, co faktycznie musi z siebie wyrzucić, albo sama, a może pod wpływem kogoś innego, chce zastawić tam na mnie pułapkę.

Wracam do kuchni, gdzie wpadam na całujących się Nat i Daniela. Ich oparte o kuchenny blat ciała splatają się w jeden wielokolorowy organizm. Nie wiem, gdzie kończy się Nat, a zaczyna Daniel.

– Nat, muszę pilnie wyjść do znajomej.

Zamroczonego ekstazą Nat niechętnie odrywa usta od warg Daniela.

– Jakiej znajomej? – mruczy.

– Potem wszystko wyjaśnię.

Spodziewam się, że będzie drażnić temat dalej, ale, ku mojemu zaskoczeniu, Natalia odpuszcza.

– Leć – rzuca, zlizując smak chłopaka ze swoich ust. Jej pośladki wciąż usadowione są na jego biodrach, klatka piersiowa przyparta jest do żeber, a ręce oplatają szyję. Kiedy odrywa wzrok od twarzy Daniela, w jej spojrzeniu widzę rozczarowanie – już wiem, że mi nie wierzy. – Leć – powtarza jednak. – Jeśli zdążysz wrócić za dwie godziny, to przypilnuję w tym czasie domu.

– Beniowskiego sto trzysta siedem. Jadę tam – mówię, sięgając po torebkę. Wsuwam do środka dłoń i natrafiam na chłodny atomizer wypełniony gazem pieprzowym. Leży na swoim miejscu

w zapinanej kieszonce, tak na wszelki wypadek.

– Czemu mi to mówisz? Chcesz, żebym poszła z tobą?

Potrząsam głową.

– Pomyślałam, że i tak chciałabyś wiedzieć.

Ale mina mojej przyjaciółki zdaje się mówić „wcale nie”. Zaraz potem Nat rzuca mi kolejne ze swoich podejrzliwych spojrzeń.

– Wciskasz mi kit. W co ty się znowu wpakowałaś?

Nie odpowiadam. Siłę się tylko na uśmiech i wychodzę.



# Rozdział dwudziesty pierwszy

*25 października 2018  
popołudnie*

Dziesięcioletni blok pomalowany na szpetny odcień brązu jest jedynym tak wysokim budynkiem w okolicy. Sterczy pośród niskiej zabudowy domków jednorodzinnych jak stary zardzewiały szpikulec. Chociaż nikt podejrzany nie czai się w okolicy, stojąc pod bramą oznaczoną numerem 113, i tak czuję się niepewnie. Podnoszę głowę, przebiegam wzrokiem po kilku rzędach identycznych balkonów i zatrzymuję się na jednym z nich, bo w jego drzwiach łopocze firana. Nie dostrzegam za nią żadnej twarzy.

Odganiam od siebie czarne myśli, tłumaczę sobie, że nikt mnie nie obserwuje. Biorę głęboki oddech, szarpnięciem za klamkę, a niezabezpieczone domofonem drzwi wpuszczają mnie do środka. Klatka schodowa, ku mojemu zaskoczeniu, jest zadbana i schludna, nigdzie nie walają się pety ani papierki. Na parapetach stoją doniczki z sukulentami o grubych, dobrze odżywionych łodygach, na ścianach wiszą niewyszukane pejzaże. Wsiadam do starej windy ze szklanym okienkiem, która zabiera mnie na trzecie piętro.

Na drzwiach z numerem 7 wisi drewniana tabliczka z kreskówkową postacią Popeye'a i napisem „Witamy”. To na nią patrzę, kiedy drzwi do mieszkania się otwierają. Z głębi nieoświetlonego korytarza wyłania się gospoia, skurczona i jeszcze bardziej krucha niż poprzednio. Staje tuż przede mną. Ma zapadłą i wyblakłą twarz, jak na polaroidzie przedwcześnie wyciągniętym z aparatu, a kości policzkowe sterczą żałośnie pod cienką skórą. Od naszego ostatniego spotkania bardzo bardzo schudła. Ze szczupłych ramion zsuwa się jej kolorowy szlafrok. Widać wyraźnie, że nie jest z nią najlepiej.

– Proszę, niech pani wejdzie – mówi i, nie czekając na mnie, oddala się

w głąb mieszkania.

Przechodzę przez próg i asekuracyjnie rozglądam się wokół. Ale wygląda na to, że jesteśmy same. Pierwszą rzeczą, jaka mnie uderza, jest zapach. W każdym pomieszczeniu zwykle unosi się charakterystyczna woń jego mieszkańców: zapach ich skóry, używanych przez nich detergentów i kosmetyków. To, co czuję tutaj, rozpoznaję natychmiast – to charakterystyczny zapach starych ludzi. W ich mieszkaniach pachnie zawsze tak samo. Mimo to mieszkanie gosposi wygląda na czyste i zadbane, a przynajmniej jej salon robi na mnie takie wrażenie.

Szlafrok w margerytki, wysłużona sofa z nowym obiciem w drobne kwiatki, okno, na którym wiją się ciepłolubne rośliny, kąt za telewizorem przeznaczony tylko dla paprotek są dowodem, że gosposia dobrze czuje się w otoczeniu roślin.

– Proszę. – Ręką wskazuje na sofę, kiedy zauważa, że się rozglądam. Na znajdującym się w niewielkiej odległości od nas okrągłym stoliku stoi szklany dzbanek wypełniony wiśniowym kompotem. Rozpoznaję go po kolorze i leżącej na dnie naczynia stercie wyblakłych czerwonych kuleczek. Kobieta rozlewa napój do szklanek i podaje mi jedną z nich. Siada na kanapie, kolejny raz zachęcając mnie, bym zrobiła to samo. Podejmuję jej grę, pociągam chłodny łyk kompotu i zatapiam się w miękkim siedzisku sofy.

– Jak się pani czuje? – pytam.

– W porządku – odpowiada zbyt energicznie, bym mogła jej uwierzyć. – Na kardiochirurgii zwolniło się nieoczekiwanie jedno miejsce i mój zabieg można przyspieszyć. Jutro jedziemy do szpitala z synem.

– To chyba dobrze – wtrącam nieśmiało.

– Tak, bardzo dobrze. Wystarczająco długo już czekałam – gosposia bierze głęboki oddech i wbija wzrok w dywan. – W razie gdyby... – głos się jej łamie – ...gdyby coś mi się jednak stało – odgarnia z twarzy włosy i odzyskuje wcześniejszy rezon – chciałam, żeby to pani go miała i przekazała policji.

– Dyktafon. To o nim mówiła pani przez telefon... Należy do Dominiki. Tyle zrozumiałam. Ale co na nim jest?

Gosposia kiwa głową i obraca w palcach wciąż pełną kompotu szklanekę.

– Powinam zanieść go na policję już wtedy, kiedy na początku roku znalazłam go pod fotelem w jej pracowni. Ale stchórzyłam. Założyłam, że morderstwo Dominiki to robota tamtego psychopaty z Obwodnicy, że nie ma nic wspólnego z tą taśmą. Jest na niej kompromitujące wyznanie jakiegoś mężczyzny, który przyznaje się do nieudzielenia pomocy rannemu. Spowodował wypadek na drodze. Śmiertelnie potracił jadącą na rowerze nastolatkę. Tyle zrozumiałam. To nagranie jest słabej jakości, zarejestrowane w jakimś barze pełnym ludzi. Nie wiem dokładnie, o kogo chodziło ani kiedy do tego doszło. Ale głos tego człowieka usłyszałam raz jeszcze. Tego dnia, kiedy zadzwonił do Adama i namówił go na spotkanie.

W głowie mam gonitwę myśli. Jeśli ta kobieta nie kłamie, to nie potrafię zrozumieć, dlaczego do tej pory zachowywała tak ważny dowód tylko dla siebie.

– Wie pani, gdzie mieli się spotkać? Ten człowiek i Adam?

– Tak jak mówiłam, po rozmowie Adam natychmiast wyszedł. Nie usłyszałam żadnych szczegółów – bierze kolejny, krótki oddech. – Syn pewnie lada moment tu będzie. Nie może się o tym dowiedzieć – dodaje, odstawia nietknięty kompot na stolik i podchodzi do małego czerwonego pufa. Stoi pod oknem, pokryty jest wytartym i spękany skórzanym obiciem. Gospośia odgina jego siedzenie i wkłada rękę do środka, do niewielkiej tajnej skrytki na drobiazgi. Z wydobytego z niej lnianego woreczka wyciąga czarny dyktafon. Kiedy przyglądam mu się dokładniej, zauważam, że to stary, prosty model na kasety magnetofonowe, z naderwaną pokrywą. Gospośia obraca go w palcach i odkłada na stolik przede mną.

– Dlaczego to mnie go pani daje?

Kobieta odwraca wzrok, wpatruje się teraz w paprotki.

– Po operacji czeka mnie trudna wielotygodniowa rehabilitacja, żadnych stresów i zbyt częstych odwiedzin, by wyeliminować ryzyko infekcji. I nie tylko. Organizm musi się ustabilizować. Może pani pomyśleć, że w ten sposób pozbywam się problemu, że spycham go na kogoś. Ale po raz pierwszy w życiu postanowiłam zadbać o siebie zamiast o innych. Rozumie pani?

Jestem skłonna uwierzyć, że sporą część swojego życia ta kobieta faktycznie poświęciła zadowalaniu innych, ale mówiąc „postanowiłam

zadbać o siebie”, ma raczej na myśli „muszę uspić swoje wyrzuty sumienia”.

– Rozumiem – odpowiadam. Nie chcę jej oceniać, nie w jej obecnym stanie zdrowia. – Czyli policja nie wie o tym nagraniu?

Gospoia potrząsa głową.

– Nie. Mówiłam im tylko o telefonie. Zakładam, że sprawdzili billingi i może nawet wiedzą już, kim jest ten mężczyzna.

– Ale on równie dobrze mógł posłużyć się telefonem na kartę kupionym „na słupa”. I wtedy wymknie się policji. Przynajmniej na razie, dopóki nie znajdą przeciwko niemu innych dowodów.

– Właśnie.

Siedzimy przez chwilę w milczeniu, więc wyraźnie słyszymy zgrzyt przekręcanego w zamku klucza.

– Proszę już iść – mówi niecierpliwym tonem i podrywa się z miejsca. Do otwartej torebki wpycha mi dyktafon.

Chwilę później niski szczupły mężczyzna o zatroskanej twarzy wparowuje do salonu z dwiema walizkami w rękach i torbą przewieszoną przez ramię. Bardziej niż zdziwiony moją obecnością w mieszkaniu matki wydaje się po prostu zmęczony. Ma około czterdziestki i łagodne regularne rysy twarzy, takie same jak gospoia. Zabawne, jak czytelną wskazówką bywa rodzinne podobieństwo – krążący w każdej tkance dowód na istnienie więzów krwi, których nie da się oszukać. Na myśl o tym, że ta sama nić DNA łączy mnie i moją matkę, przez ciało przebiega mi lodowaty dreszcz. Podnoszę się z sofy, zapewniam gospoię, że jej operacja na pewno się uda, żegnam się z nią i jej synem, po czym znikam.

Odjeżdżam spod bloku i zaszywam się w samochodzie na końcu równoległej ulicy, przy zamkniętym na trzy spusty magazynie wojskowym, w miejscu, gdzie nie wzbudzę niczyjego zainteresowania. Na to liczę. Obok mnie są tylko kubły na śmieci i ściana zamalowana imponującym graffiti. Oddzielają mnie od pustego skwerku i kilku domów jednorodzinnych.

Wyciągam dyktafon z torebki i w obawie, by niczego nie uszkodzić ani tym bardziej nie skasować nagrania, przyglądam się guzikom. Naciskam srebrny przycisk *eject*, a wtedy pokrywa odskakuje, ukazując niepodpisaną

kasetę magnetofonową. Zamykam pokrywę i odpalam przycisk *play*. Ogarnia mnie niepokój, kiedy z głośniczka przez dłuższą chwilę nie wydobywa się żaden dźwięk, ale szybko orientuję się, o co chodzi. Pstryknięcie przycisku *stop* obwieszcza, że to koniec taśmy i nagranie trzeba przewinąć do początku. Robię to, a kasetę ponownie się uruchamia.

Tak jak twierdziła gosposia, jakość nagrania nie jest najlepsza, ale na tyle dobra, że udało mi się zorientować, gdzie je zarejestrowano. To drink bar albo restauracja. Obstawiałabym to pierwsze. Na początku nikt się nie odzywa, przez salę przetaczają się tylko dźwięki przesuwanych po blacie kufli, może kieliszków, a także szurających po parkiecie butów. W tle rozbrzmiewają też śmiechy i głośna rytmiczna muzyka – jakieś dance’owe kawałki, pulsujące od głośnych bitów i jednostajnego rytmu. To pewnie jedno z takich miejsc, do których przychodzi się po to, by tańczyć albo porządnie zalać banię, ale na pewno nie po to, by rozmawiać. Jeśli już ktoś ma ochotę na pogawędkę, to raczej są to ci, którzy z jakichś powodów wolą wtopić się w tłum i nie chcą, by ich zauważono.

W pewnym momencie dobiega do mnie kobiecy głos zniekształcony przez megafon. Czyżby ten bar mieścił się gdzieś w pobliżu dworca kolejowego? Nie mam czasu zaprzętać sobie tym teraz myśli, bo nagranie biegnie dalej, a przez muzykę przebijają się dwa dość wyraźne głosy – kobiety i mężczyzny. Z ust faceta najpierw wydobywa się samczy śmiech – przesiąknięty testosteronem i pewnością siebie. W jakiś sposób wydaje mi się on nawet znajomy, ale może tylko mi się zdaje.

– Serio?! Tylko tam? – zwraca się do kobiety, nadal parszkając śmiechem.  
– Winda, zakrycia, dach squatu, cmentarz? Myślałem, że stać cię na więcej...

– Zazdrościsz, bo sam we mnie tam nie byłeś – kobieta śmieje się, kokieteryjnie. – Mój grzeczny, pruderyjny chłopczyk. No więc, czym ty mnie zaskoczysz? Co takiego cię wyróżnia?

– Bzykamy się już od kilku miesięcy, więc chyba wiesz, na co mnie stać?

Słyszę, jak muskają się ustami, pocałunek trwa długo, jest namiętny i kończy się głośnym mlaśnięciem.

– No tak, w tym nie masz sobie mimo wszystko równych, ale miałam na

myśli coś głębszego, mroczniejszego. Każdy ma jakiś taki swój sekretik.

Na chwilę znów zapada cisza przerywana dźwiękami tanecznego utworu.

– Masz na myśli nastoletnie wysoki, tak? Strzelanie z procy w szyby samochodów, zarysowywanie kluczem karoserii i odkręcanie wentyli – tak, to wszystko kiedyś było. Raz wpadliśmy z kumplem na inny pomysł. W pobliżu centrum handlowego płynął strumyk. Potrafiliśmy wgramolić się tamtędy do kanałów biegnących pod ulicą. Dobrze znaliśmy ich rozkład, więc ukrywałem tam łom i usuwałem raz po raz wieko studzienki dokładnie w miejscu, w którym przebiegał parking przy centrum handlowym. Patrzyliśmy, jak klienci grzęzną kołami w dziurze i za cholerę nie mogą się stamtąd wydostać. Mieliśmy ubaw po pachy. Dopóki nas nie dorwali, ale to już inna historia. Zadowolona?

Mówi te słowa chełpliwym tonem narwanego nastolatka, który lubi adrenalinę. Pomruki i jęki rozkoszy, jakie wydobywają się po chwili z ust mężczyzny, wskazują na jakąś grę wstępną, toczącą się pewnie pod blatem stołu. Może to ręka Dominiki albo jej sunąca po jego udzie stopa doprowadza go do erekcji. Pewnie jedno albo drugie, ale mogę się tylko domyślać.

– I to tyle? Chuligański wybryk. Nuda. Twoja Kizia-Mizia chce czegoś jeszcze... No dalej, co naprawdę złego, śmiertelnie złego, zrobił mój dorosły już Misio?

Swoją ksywkę kobieta wypowiada głośno i wyraźnie dokładnie wtedy, gdy w tle zalega cisza. Dzięki temu w głosie Kizi-Mizi rozpoznaję Dominikę. Jestem jednak pewna, że jej partnerem nie jest Adam. To musi być któryś z jej kochanków.

– Zostaw, nie teraz – głośny szeleszczący dźwięk mówi mi, że odsuwa kobietę od siebie. Jego głos jest lodowaty i matowy, jak oszroniona szyba. – Co o tym wiesz?

Głos mężczyzny przybiera nagle śmiertelnie poważny ton.

– O tym?

– Dlaczego powiedziałaś „śmiertelnie złego”?

– Ale się czepiasz słów. Tak tylko powiedziałam, głuptasie.

– Nieważne. Dlaczego o to pytałaś? – warczy wściekły. – Może lepiej zbierajmy się stąd.

– No co ty... Mówisz tak, jakbyś kogoś kropnął... Przerazasz mnie...

– Dlaczego o to pytałaś? – powtarza, a ton jego głosu tnie powietrze jak stalowe ostrze. Zmienił się tak bardzo, że mam wrażenie, jakby w tej chwili z Dominiką rozmawiał zupełnie inny człowiek. Nagle zaczyna opowieść, od której nie ma już odwrotu. Jest na coś gotowy.

– Opowiedz! – rozkazuje mu Dominika. – Cokolwiek powiesz, to zostanie między nami.

Mężczyzna bierze głęboki oddech.

– Masz rację...

– Boże, gadaj jaśniej. Nic nie rozumiem.

– Naprawdę odebrałem komuś życie...

Coś wprawia dyktafon w lekkie drżenie. Nie wiem, czy Dominika przełożyła go w inne miejsce, czy ona sama drży, bo i dla niej to wyznanie było zbyt wielkim szokiem.

– Opowiedz mi o tym – jej głos jest jednak opanowany, pełen empatii. Kojarzy mi się w tej chwili z cwana reporterką, która udaje dobrotliwą i wyrozumiałą przyjaciółkę, a myśli tylko o tym, by za wszelką cenę wydrzeć z rozmówcy jakąś dobrze sprzedającą się sensację.

Ale mężczyzna tego nie wyczuwa, mówi dalej, jak w transie. Jakby czekał tylko na pretekst, by móc wreszcie to z siebie wyrzucić.

– To było zimą, cztery lata temu. Wracalem napruty z imprezy. Przez kilka godzin w barze przepijałem wszystkie swoje bejmy – urywa, jakby zbierał myśli. – Nie miałem daleko do domu, na skróty to było tylko parę kilometrów leśną drogą. Było dobrze po drugiej nad ranem, więc nie spodziewałem się, że ktokolwiek jeszcze będzie tamtędy wracał. I kto, kurwa, jeździ w ogóle jebanym rowerem w samym środku zimy?! No kto?!

Robi pauzę, bierze oddech, a Dominika milczy.

– Nie zauważyłem jej. Nie zorientowałem się wtedy nawet, że to dziewczyna. Dowiedziałem się potem z gazet, kim była. I że to jeszcze gówniara. Nazywała się Kaja, miała piętnaście lat i wracała do domu od swojego chłopaka. Wymknęła się do niego bez zgody starych. Przed nim chcieli ją chronić, ale nie pomyśleli o mnie – o pijanym bydlaku z sąsiedniego miasteczka. Cholerna ironia losu, co?

Dominika wciąż nie reaguje. Słyszę tylko, jak któreś z nich, obstawiam, że on, pociąga z kieliszka kolejny łyk.

– Kiedy brałem zakręt, wpadłem w poślizg, nagle szarpnęło mną i zepchnęło wóz na pobocze. A ona była dokładnie w tym miejscu, na tym cholernym czerwonym rowerze z dogorywającą tylną lampką. Jak jakieś porąbane przeznaczenie. Wjechałem w nią z impetem, po tej ilości alkoholu nie panowałem zupełnie nad kierownicą. Nie było mowy, żebym mógł ją wyminąć. Zatrzymałem się na poboczu, kawałek dalej, modląc się, żeby mi się to po prostu zdawało. Żeby to nie był człowiek, a tylko zwierzę. Ale ona leżała nieruchomo na śniegu i w tej ciemności wyglądała jak połamana lalka. Oświetliłem ją latarką. Na odchyłoną pod jakimś dziwnym ostrym kątem głowę miała nasuniętą tęczową czapkę z pomponem. Teraz była nasiąkniętą krwią. Zresztą krew była już dosłownie wszędzie. Nic nie mogłem zrobić.

Zapada cisza, a po chwili Dominika odzywa się po raz pierwszy, odkąd on się przyznał.

– Sprawdziłeś jej puls?

– Zrozum – szepce on – nie chciałem zostawiać żadnych śladów. Nie mogłem iść za to siedzieć. Byłem zalany w trupa. Miałem tylko moment na podjęcie decyzji.

– I zero jaj – szepce ja.

Czekam na więcej, ale z dyktafonu nie wydobywa się już żaden dźwięk. Rozmowa, muzyka, klubowe życie, śmierć urywają się w jednej chwili, tak jakby nigdy ich tam nie było. Czarny przycisk *stop* pstryka samoczynnie pod moimi palcami na potwierdzenie, że to tyle, że nagranie właśnie dobiegło końca.

Ściskam dyktafon w rękę, zastanawiając się nad tym, co ten człowiek mógłby zrobić, gdyby dowiedział się, że Dominika zdradziła jego tajemnicę albo, tym bardziej, o istnieniu takiego nagrania.

Zabiłby? Zabiłby jeszcze kogoś?

Przewijam kasetę do początku i uruchamiam ją ponownie po to, by wyłapać jakieś przeoczone za pierwszym razem detale, o ile tam są. Po trzykrotnym przesłuchaniu okazuje się, że było warto. Głos jest niewyraźny,



ale z megafonu słycać komunikat:

„Pociąg Pendolino z Bielska-Białej wjedzie na tor trzeci przy peronie drugim. Pociąg kończy swój bieg”.

Przystanek końcowy pociągów tej relacji znajduje się na dworcu Gdynia Główna, co oznacza, że bar, w którym Dominika nagrała wyznanie swojego kochanka, musi być położony w promieniu stu, maksymalnie stu pięćdziesięciu metrów od budynku dworca. Problem w tym, że gdyński dworzec mieści się w sercu miasta, więc w jego pobliżu znajduje się pewnie kilka barów, w których można się upić i pogibać na parkiecie. Odpalam nagranie jeszcze raz, całkowicie ignorując głosy Dominiki i jej faceta. Zamykam oczy, chcąc lepiej wtopić się w szmery otoczenia. Za którymś, kolejnym już razem, dobiega mnie inny głos; jest zamazany i obstawiam, że dociera zza baru.

„Dwa *adios motherfucker* z limonką i podwójnym lodem”.

Po tych słowach dochodzi do mnie brzęk trącanego szkła. Jest słaby, przytłumiony innymi dźwiękami.

Nigdy o czymś takim nie słycałam, ale idę o zakład, że to nazwy drinków serwowanych przez barmana. O ile nie są jakoś niesamowicie popularne, mogę po kilku, może kilkunastu telefonach do wytypowanych przez siebie barów w śródmieściu, zorientować się, czy je tam serwują. Wtedy dowiem się, gdzie wtedy była Dominika.

Mój genialny plan przypomina co prawda szukanie igły w stogu siana, ale akurat w tym jestem całkiem niezła.

W drodze powrotnej do domu obmyślam dalsze szczegóły swoich działań. Stojąc na czerwonym świetle, robię screeny danych kontaktowych kolejnych barów, które pasują do wyznaczonego przeze mnie obszaru poszukiwań. Znalazłam już jedenaście takich miejsc, a to jeszcze nie koniec. Głośny klakson stojącego za mną kierowcy daje mi znać, że światło zmieniło kolor na zielony. Ruszam, wciąż pochłonięta myślami. Kilka minut później, przy prowadzącym do centrum zjeździe z ulicy Morskiej, mój wzrok przyciąga zaparkowany na chodniku samochód. Srebrna honda, dokładnie ten sam szpanerski sportowy model, który ma moja matka. Ale to nie jedyne podobieństwo. Samochód ma identyczny, połyskliwy odcień lakieru, wykonany na specjalnie zamówienie. Poruszam się ze zbyt dużą prędkością,

by przyjrzeć się jego numerom rejestracyjnym. Muszę mieć jednak pewność, że to pomyłka, że mojej matki od dawna już tutaj nie ma. Zamiast jechać dalej swoją zwykłą trasą, zawracam więc na najbliższych światłach. Kiedy jestem na wysokości hondy, zwalniam. W samochodzie nie ma kierowcy ani pasażerów. Poznańskie numery rejestracyjne i ułożona na tylnym siedzeniu walizka należąca do matki, ta sama, której zawartość wysypałam niedawno na chodnik, nie pozostawiają mi jednak złudzeń.

Co ona tu, do cholery, jeszcze robi?

Nie mam najmniejszej ochoty się z nią kontaktować, ale muszę się dowiedzieć, co jest grane. Zatrzymuję samochód przy pierwszej zatoczce trolejbusowej i wstukuję w telefon wiadomość.

*Dojechaliście do domu?*

Odpowiedź nadchodzi po dwóch minutach.

*Od kiedy się o mnie martwisz, córeczko?*

*Trochę późno pytasz, to było cztery dni temu.*

*Ale, tak, wszystko zgodnie z planem :\**

Emotka całusa przyprawia mnie o mdłości, nawet jeśli ma to być tylko wirtualny, a nie fizyczny wyraz czułości mojej matki. Taką samą ściemą jest treść jej wiadomości.

Jedynym sensownym powodem na obecność matki i ojczyma w Gdyni byłaby ich przymusowa wizyta na komisariacie, zainicjowana pewnie przez Sennego. Skoro tak, to dlaczego matka kłamie?

A czy w ogóle powinno to mnie jeszcze dziwić?

# Rozdział dwudziesty drugi

*25 października 2018  
wieczór*

Natura jest piękna, ale bywa też brutalna i bezlitosna. A przede wszystkim zwodnicza. To nie tylko szum morza, śpiew ptaków, pojawienie się na drzewach młodych pąków wiosną, ale i prawa, jakimi się rządzi. A niektóre z nich sprowadzają się do krótkiej puenty: wokół czai się mnóstwo drapieżców – zjadasz albo jesteś zjadany.

Te słowa zawsze atakują mój mózg, najczęściej w sytuacjach takich jak ta. Przedzieram się przez leśne chaszczki po zmroku. I brzmią wtedy wyjątkowo złowieszczo. Z oczywistych przyczyn ciemność jest jednym z czynników kryminogennych – przyciąga ludzi skażonych nienawiścią i złem. Kiedy ciemność się najeża, otwiera im pole do działania. Łatwiej jest im się w niej zagnieździć i zaatakować. W tym zestawieniu zabrzmiałoby to może dziwnie, ale zazwyczaj nocną porą i mnie nie brakowało weny. Bywało nawet, że to właśnie wtedy mój umysł pracował na najwyższych obrotach. Tylko że ja nigdy nie przypisywałam ciemności złych intencji: mnie zawsze koła cisza i widok gwiazd za oknem. To banalne, ale tak właśnie było. Czułam wtedy wyraźniej, że jestem częścią wszechświata, a nie tej całej trzeszczącej nieznośnie cywilizacji. Słowa powstawały wtedy z moich myśli z dużo większą łatwością, a potem układały się w głębszy sens. Słowa, które innym dawały siłę, a mnie samej przynosiły ukojenie. Lubiłam czuć je w sobie, bo roznosiły po moim wnętrzu przyjemne ciepło.

Te rozpierzchłe wspomnienia są teraz marną pociechą, bo mam przed sobą perspektywę pokonania kolejnej ledwo wydeptanej ścieżki prowadzącej w stronę centrum. Idę piechotą, bo posiałam gdzieś klucze do garażu, w którym stoi samochód. Czuję w sercu ukłucie strachu. Jeszcze tylko sto metrów i wyjdę z lasu na główną drogę.

Jasne, mogłam odłożyć wizytę w klubie do jutra, ale i tak nie usnęłabym, bo całą noc myślałabym o tym, co mnie czeka następnego poranka. To syndrom niespokojnego umysłu. Mogłam też zamówić taksówkę albo poprosić Nat o podwiezienie, ale to tylko kilkuminutowy spacer. Czuję się całkiem pewnie, w rękę zaciskam odbezpieczony flakonik z gazem pieprzowym. Tworzymy całkiem zgrany team.

Po chwili szybkiego, sprężystego marszu wypadam bezpiecznie na ulicę Warszawską i wchodzę do przejścia podziemnego, które łączy się z dworcem Gdynia Główna. Od klubu Kameleon dzieli mnie najwyżej pięćset metrów. Poza Kameleonem żaden z ośmiu pozostałych klubów w centrum nie miał *adios motherfucker* w swojej karcie. Tak na marginesie, po przeczytaniu listy składników chyba rozumiem, dlaczego nawet twardziel o wyjątkowo mocnej głowie jest skazany na konkretny lot. A potem zjazd.

Kiedy po kilku minutach wchodzę do baru, niebo jest ciężkie, nabrzmiałe od srebrzystego światła latarni i deszczu. Jest tutaj zupełnie inaczej, niż zakładałam. Klub nie jest może speluną, ale to miejsce drugiej kategorii, w którym pojawiają się przypadkowi ludzie, o anonimowych twarzach i raczej pustawym portfelu. Większość wyposażenia, włączając w to stoliki, krzesła, zasłony i automaty do gry, pamięta pewnie jeszcze początek lat dziewięćdziesiątych. Kameleon nie ma oczywiście tej klasy co nowoczesne drink bary, ale za to nikt tu się nikomu nie przygląda. Omiatam wzrokiem całe pomieszczenie raz jeszcze. Jest środek tygodnia, więc gości niewielu, a na parkiecie tańczy zaledwie kilka osób. Moją uwagę przyciąga jedna. Jest nią na oko pięćdziesięcioletnia kobieta z tlenionymi włosami upiętymi w niechlujny kucyk. Są przetłuszczzone albo poklejone jakimś mazidłem. To obleśne, ale wyobrażam sobie, że przez kilka ostatnich lat chomikowała w nich przeżute gumy. Ma na sobie kusy, neonowy top, a sadło na jej talii tańczy wraz z nią bez krzty gracji. Opięte na pośladkach legginsy z taniego skaju wiją się jak piskorz. Wygląda, jakby prosiła się o konkretne rżnięcie. W pewnej chwili łapie moje spojrzenie i piorunuje mnie wzrokiem.

Zostawiam ją, mijam kilku podtatusiałych koleśki grających w darty i podchodzę do baru. W przeciwieństwie do reszty wyposażenia jest lśniąco, czysty i nowoczesny. Za ladą stoi młoda dwudziestoparoletnia dziewczyna. Ma delikatne rysy i olbrzymie błękitne oczy, a na rękach kilka tatuaży, każdy z feniksem albo ze smokiem ziejącym ogniem. W uszach nosi dwa czarne

tunele, w wardze i nosie widzę kolejne piercingi. W ręku trzyma ścierkę i przeciera nią blat, raz po raz zerkając na zawieszony na ścianie telewizor. Nową cienką plazmę.

– Co podać? – odzywa się do mnie dziewczyna z miłym, przyjaznym uśmiechem.

Przebiegam wzrokiem po dziesiątkach lśniących buteleczek wypełnionych kolorowymi płynami ustawionych równo na półkach. Jeszcze niedawno wzięłabym byle co, byle się narąbać i stracić świadomość. Dziś widzę w nich truciznę, jaka już od dawna niszczyła mnie od środka.

– Gin z tonikiem raz.

I tak nie zamierzam go wypić.

Barmanka odwraca się w stronę butelek, bierze w rękę najpierw jedną, później sięga po drugą. Miesza oba płyny, a na końcu dekoruje drinka plastrem cytryny i listkiem mięty.

– Dwadzieścia złotych. – Nabija kwotę na kasę.

Wyciągam z portfela banknot i płacę. Niechętnie przyciągam drinka do siebie.

– Szukam kobiety, która jakiś czas temu przychodziła tutaj z mężczyzną. Może mi pani pomóc?

Z kieszeni kurtki wyciągam telefon, odblokowuję wyświetlacz i przybliżam twarz Dominiki.

Dziewczyna patrzy na mnie dziwnym, taksującym wzrokiem. Pewnie nieraz ktoś zadawał jej dokładnie to samo pytanie, gdy kogoś poszukiwał. Zatrokana żona – męża pijaczyny, oprych działający na zlecenie lichwiarza – kogoś, kto wisiał mu sporo forsy. Mimo wszystko Klara – bo to imię widzę na plakietce dziewczyny – pochyła się przez ladę i spogląda na zdjęcie.

– Kiedy tu przychodziła? – pyta.

– Dwa lata temu, być może później też. Chodzi mi bardziej o mężczyznę, z którym mogła tu bywać.

Klara potrząsa głową, jej czarne, natapirowane włosy drżą lekko jak potrząsana dziecięcą ręką wata cukrowa.

– Nie pomogę. Wtedy jeszcze tutaj nie pracowałam.

Wyciągam szyję, usiłując przyjrzeć się lepiej pogrążonemu w ciemności zapleczu.

– A jest tutaj ktoś, kto pracował?

Znowu potrząsa głową.

– Nie. W tygodniu jest mało klientów. Jestem tu sama.

Czuję, że na mojej twarzy widać rozczarowanie.

– Ale teraz to i tak trochę za późno chyba, co?

Czemu zapytała? Czyżby kojarzyła Dominikę z morderstwem sprzed dwóch lat i wie, że pytam o kogoś, kto już nie żyje?

Klara jakby czytała w moich myślach, bo odzywa się po chwili:

– To ta kobieta, którą niby kropnął seryjny morderca, ale jakimś cudem wróciła i teraz zabił ją ktoś inny. Gruba sprawa. No i cholerny niefart.

Skąd ona to wie? Policja nie ujawniła przecież jeszcze, czyje szczątki znaleziono na Polance Redłowskiej. W odpowiedzi Klara wskazuje na plazmę, jakbyśmy znów komunikowały się telepatycznie.

– Od rana o tym trąbią – dodaje tylko.

Na kanale TVN 24 nadawany jest program informacyjny. Nie słyszę, o czym mówi dziennikarz, ale przez żółty pasek, wyróżniona pogrubioną czcionką, biegnie informacja o policyjnym dochodzeniu i zidentyfikowaniu szczątków znalezionych w gdyńskim lesie. W tle pojawia się zdjęcie roześmianej Dominiki, a pod nim kolejny pasek z nieruchomości wpatrującym się we mnie napisem:

*Ofiara seryjnego mordercy znaleziona. Mistyfikacja?*

– To była dziwka – słyszę nad swoim uchem chrapliwy, przepalony i przepity głos. Przekręcam lekko głowę w lewą stronę. To kobieta, którą widziałam na parkiecie – napiera na moje ramię i zionie mi w twarz smrodem wypalonych papierosów. Jest tak nieznośny, jakby zbierała go w ustach od lat. Z tej odległości widzę, że jest grubo po pięćdziesiątce. Stoi w szerokim rozkroku, a ja zastanawiam się, czy i kiedy jej nogi zupełnie się rozjadą. Szlag by wziął tę moją wyobraźnię.

– Słucham? – odzywam się, karcąc się w myślach.

– Widziałam ją tu ze dwa, trzy razy, za każdym razem z innym.

Drineczka?

Może ta kobieta kłamie w żywe oczy, licząc na darmowe pijaństwo, a może coś jednak wie i w ten sposób będę mogła to tanio kupić.

– Co dla pani? – pytam, ukrywając swój niesmak.

– Trzy razy *wściekły niedźwiedź* z podwójnym tabasco.

Znam to. Taka kolejka raz-dwa wyżarłaby mi żołądek, a potem mózg.

Klara nalewa jej jednak drinka bez zająknięcia, a ja płacę, dając jej sowity napiwek.

– A ci jej faceci? Może mi pani powiedzieć o nich coś więcej?

Kobieta przeciąga się jak znudzony kot, spod jej topu wyłaniają się kolejne fałdy spoconego tłuszczu. Czuję nieprzyjemny, ostry zapach.

– A bo ja wiem? Nie pasowali tutaj. Wyelegantowani tacy, inni. Ci tutaj – rozgląda się po sali – nie śmierdzą groszem. Tamci byli forsiaści, ładne buty, drogie zegarki, gładkie bużki, takie tam. Nie przyglądałam się im. No to nie pamiętam też twarzy.

– Ale ją pani pamięta?

– Ją tak. Lafiryndy się pamięta. Oni, ci mężczyźni, byli przeciętni, wszyscy tacy sami, burzuje, ona stawiała im warunki, a oni na to lecieli, jakby, za przeproszeniem, chciała ich wychujać. Oskubać z kasy czy coś.

Kobieta wlewa w siebie trzy drinki z taką zwinnością i w takim tempie, jakby to były małe i słabe szoty. Jej ciało znów się napręża, a twarz nabiera rumieńców. Kiedy mruży powieki, niebieski cień osypuje się jej na policzki.

– Jeszcze jednego? – pyta.

– Może już pani nie powinna?

– Jeszcze jednego, Klarunia, ja płacę.

Dziewczyna kiwa niechętnie głową.

– Ile mogli mieć lat? Byli od niej starsi? – pytam.

– No właśnie nie. Byli mniej więcej w jej wieku.

– Widziała pani w jej rękach dyktafon?

Kolejny drink pojawił się na ladzie i po raz kolejny kobieta opróżnia kieliszek jednym szybkim haustem.

– Nie, nic takiego nie widziałam. Siedziała i zawsze miziała się z nimi. Takie sraty-pierdaty przed bzykankiem. Nie tańczyli, pili po drinku, raz-dwa, a potem się zmywali.

– Naprawdę nie pamięta pani niczego więcej? – pytam rozczarowana. – Samochodu, jakim przyjeżdżali, albo czegoś, co byłoby charakterystyczne?

Moja rozmówczyni potrząsa głową, a wtedy mam okazję lepiej przyjrzeć się jej włosom, wprawionym w ruch. Te mazidła to nie guma, ale po prostu sklezione brudem i od dawna nieczesane strąki.

Niesmak, który czułam dotychczas, przechodzi we współczucie. Czego trzeba, by doprowadzić się do takiego stanu? Jaka trauma to sprawiła? Poczucie przegranego życia? Brak wsparcia? Słaba wola? A może picie, które pozwala o wszystkim zapomnieć? Czy ja też byłam już blisko podobnego upadku?

Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

– Przestała przychodzić jakieś dwa lata temu – odpowiada. – Mnie się wydaje, że była taką luksusową dziwką – cedzi przez zęby, szerniałe od wieloletniego palenia. – O przepraszam, tak się nie mówi – zakrywa dłonią usta i rechocze. – Panią do towarzystwa. To chciałam powiedzieć.

Potem milknie i patrzy na mnie z wyrazem triumfu spod opadających ciężko powiek. Wzrok ma rozedrgany, na usta wpełza jej dziwny uśmiezek. A więc to już? Najwyraźniej drinki zaczynają działać.

– Jeszcze jeden? – patrzy porozumiewawczo na cztery puste kieliszki.

Wstaję z hokera i zasuвам go zdecydowanym ruchem.

– Chyba naprawdę już pani nie powinna. Może zamówić pani taksówkę? – Wiem, że te cztery drinki nie wpłyną na jej nałóg, ale i tak dopada mnie kac moralny. Nie powinnam przykładać do tego ręki.

Na moją propozycję kobieta parska śmiechem i zbywa mnie machnięciem ręki.

– Muszę już lecieć. Do widzenia – mówię.

W moich koszmarach, przelatuje mi przez myśl, ale siedzę cicho.

Przestało lać, już tylko siąpi, ale oberwanie chmury pozostawiło Gdynię w strugach jesiennego deszczu. Jest mokro, zimno i nieprzyjemnie. Mam



szczerą ochotę wrócić już do domu i poczuć, że dobrze jest mieć to, co mam. To własne pieprzone łóżko, pensjonat, tych kilkoro bliskich mi ludzi. Nawet cholerne ciastka w kredensie. Czasem nie doceniamy takich prostych rzeczy, a jeśli one nas nie cieszą, to w pewnym momencie już nic z tego nie będzie.

Zupełnie nie mam ochoty iść drogą przez las, ale spacer główną ulicą zajmie mi przynajmniej kwadrans więcej. Cała zmoknę. To tylko dwieście metrów, pocieszam się. Wchodzę na leśną dróżkę i przemierzam wzrokiem ciemność, ale ona nie chce ustąpić, nie cofa się nawet o milimetr. I tak znam trasę, więc sobie poradzę. By dodać sobie otuchy, nucę w myślach swoją ulubioną piosenkę, szkoda tylko, że to jakieś melancholijne smuty, które nieszczęśliwie nadają się na samotny spacer po lesie nocą. I właśnie wtedy słyszę ten dźwięk. Szelest trącanej o gałąź peleryny. A potem trzask łamanej gałązki. Serce przyspiesza mi w piersi, jakby chciało z niej wyskoczyć. Żołądek podchodzi mi do gardła. Zaciskam w rękę gaz, szykuję się, by go użyć. Oglądam się za siebie, ale dróżka, przynajmniej w zasięgu mojego wzroku, wciąż jest pusta. Jeszcze tylko sto metrów, nie więcej. Biegnę, a raczej pędzę co sił w nogach, nie oglądając się za siebie. Mam złe przeczucia, słyszę zbliżające się kroki. Są wyraźne i przerażające. Zza przerzedzających się na rozwidleniu dróg krzaków widzę swoją ulicę i znajomy kapelusz lekko przekrzywiony na siwiejącej głowie.

– Halo!!! – drę się w jego stronę.

Mężczyzna z psem, starszy, miły sąsiad spod osiemnastki, zatrzymuje się i przygląda mi z zatroskaną miną w momencie, kiedy wypadam zza krzaków. Jestem zziębnięta i chociaż się nie odzywam, wiem, że będzie mi się plątał język.

– Coś się stało? – pyta.

Dziwne odgłosy za moimi plecami ustają, a ja zdobywam się na to, by obejrzeć się za siebie.

– Nie wiem, zdawało mi się, że ktoś za mną idzie.

Starszy pan podchodzi bliżej wejścia do lasu, pozwala psu obwąchać teren, a ja wstrzymuję oddech.

– Nie ma tu nikogo. Ale nie powinna pani po nocy chodzić tędy sama.

– Wiem, wiem – odpowiadam, a po chwili jestem już po drugiej stronie

ulicy, przy furtce swojego domu. – Dobranoc.

– Dobranoc. – Sąsiad uchyla kapelusza i kłania mi się z bladym uśmiechem.

Otwieram furtkę i wbiegam pędem po schodach, otwieram drzwi i zaszywam się w ciemności holu. Staję przed podświetloną klawiaturą alarmu, ale drżące palce nie trafiają za pierwszym razem we właściwe klawisze. Alarm burzy się na moją niezdarność, głośnym pikaniem informując mnie o błędnym wprowadzeniu kodu. Uspokajam ręce i próbuję kolejny raz. Udaje mi się dopiero przy trzeciej próbie.

Ale jeszcze długo nie mogę dojść do siebie.

## Rozdział dwudziesty trzeci

*26 października 2018  
popołudnie*

Przedwczoraj zwróciłam się do dyrektora Zakładu Karnego w Gdańsku-Przeróbce o wydanie mi pozwolenia na widzenie. Jego zgoda nadeszła dziś rano. Skoro każdemu z osadzonych przysługują dwa widzenia w miesiącu, to najwidoczniej Rozpruwacz nie miewał zbyt wielu gości i nie wykorzystał jeszcze swojej puli odwiedzin. Mogłam poczekać do przyszłego tygodnia i lepiej się do tego spotkania przygotować, ale nakręcona adrenaliną, wytrącającą ze mnie poczucie strachu, postanowiłam nie zwlekać ani chwili dłużej. Głęboko wierzę, że moja obecność w tym wszystkim jest nieprzypadkowa, że jestem pasującym tutaj trybikiem, częścią sekwencji prowadzącej do czegoś ważnego. Tylko czy aby nie przeceniam swoich możliwości? Nie mam policyjnego doświadczenia, wiedzy z zakresu profilowania ani nawet odpowiednich środków, aby na tym etapie prowadzić działania na własną rękę. Takie echo zdrowego rozsądku słyszę właśnie wtedy, gdy do głosu dopuszczam trzeźwe myśli.

Może rozsądniej byłoby poczekać, bo wczorajsze medialne doniesienia dają nadzieję na to, że policja jest już na właściwym tropie. Podobno dzięki nagraniu z kamery jednego z banków, w którym Dominika wynajmowała skrytkę depozytową, śledczy znaleźli coś, co miało im przybliżyć tożsamość sprawcy. Nie ujawniono, ani co to jest, ani nawet na kogo ten przedmiot wskazuje. Upublicznienie tego newsa jest jednak całkiem odważnym posunięciem, bo może to pozwolić mordercy na lepszy kamuflaż albo nawet zniknięcie. Rozdmuchany przez media news może być niczym więcej, jak tylko wyolbrzymioną, dobrze klikającą się w internecie sensacją. To nie ma teraz znaczenia. I tak podjęłam decyzję.

Zanim jednak wybiorę się do Przeróbki, muszę sprawdzić jeszcze jeden

trop. Wczoraj kolejny raz przekopałam się przez instagramowy profil Sandry Łukasiewicz, nowej żony Adama. Na jednym ze starszych zdjęć, opublikowanym ponad trzy lata temu, przeżyło się pięć młodych atrakcyjnych kobiet. Rozpoznałam trzy spośród nich. Dominika, Marika i Sandra stoją obok siebie w triumfalnych pozach, roześmiane i przytulone, promieniają szczęściem. Znam selfiacze tego typu – i ten wygląda mi na sztuczną zażyłość, wykreowaną dla jednego dobrego ujęcia. Idę o zakład, że po odłożeniu telefonów i podrasowaniu zdjęcia filtrami uśmiech każdej z nich szybko zgasł i pozostawił po sobie pewien niesmak. Nie to jednak przykuło moją uwagę. Nie miałam pojęcia, że Sandra, zanim została nową żoną Adama, zdążyła poznać Dominikę. Zdjęcie pozbawione było kontekstu, ale tagi, którymi podpisała je Sandra, zdradzały o wiele więcej. Okazało się, że fotografię zrobiono pół roku przed zniknięciem Dominiki, w dniu, w którym obecna żona Adama ukończyła kurs wizażu w szkole prowadzonej wtedy jeszcze wspólnie przez Dominikę i Marikę. Wątpię, by ta sieć powiązań okazała się zupełnie przypadkowa. Zdążyłam się już zorientować, że Marika nie lubi tracić czasu na to, co nie podnosi jej pozycji towarzyskiej albo nie generuje zysków. Mimo to zamierzam wyciągnąć od niej coś więcej na ten temat. Właśnie teraz. Mam nadzieję złapać ją tuż po jedenastej – według aplikacji Booksy powinna mieć półgodzinną przerwę.

Przyglądam klapy turkusowej marynarki, pociągam usta bezbarwnym błyszczkiem, wyciskam na palec smugę gęstej brązowej pomady i wsmarowuję ją w brwi. Płuczę dłonie i przeglądam się w lustrze, przekonując siebie, że kobieta, którą mam teraz przed sobą, ukryta pod nałożoną maską, dobrze wie, na co się porywa. Wsuwam stopy w ulubione szpilki, zakładam torebkę na ramię i wychodzę z domu. Przez krótką chwilę, kiedy przekręcam kluczyk w zamku, czuję się jak reporterka na tropie grubej afery.

Gryzący lekko pył, wydobywający się z kilkunastu kominów, wwierca mi się w płuca i przypomina mi, że jesień na Działkach Leśnych pachnie głównie suchymi liśćmi, drewnem i paloną żywicą. Nawet lubię ten zapach. Stoję na chodniku, podciągam lewą stopę pod pośladek i opieram ją o murek, a plecami opieram się o płot. Czekam. Wyciągam telefon z kieszeni, pocieram palcem ekran, a przemieszczający się na mapce punkcik mówi mi, że mój uber jest już w drodze. Za cholerę nie pamiętam, co zrobiłam

z kluczami do garażu, i choć przetrząsnęłam dosłownie cały dom, one jakby rozplynęły się w powietrzu. Skorzystałam więc z ubera, bo nie mam czasu, by użerać się teraz z lukami w swojej pamięci. Mam tak zawsze, kiedy wytyczę sobie cel, a plan B nie wchodzi w grę.

Unoszę głowę znad ekranu telefonu, bo psy na podwórzu sąsiada wszczynają raban. Zatrzymuję wzrok w miejscu, z którego dochodzi hałas. Wtedy zauważam jego. Ma na sobie luźną bluzę, na głowę naciągnięty kaptur, a w rękach trzyma dwa wiaderka wypełnione po brzegi polanami. To Bartosz. Na sam jego widok targają mną sprzeczne emocje. Pierwszym, co we mnie wzbiera, to infantylnie głupie ciepło rozlewające się w środku. Najchętniej nie chciałabym się do niego przyznać. Ono jednak wciąż tam jest, silne i dziwnie błogie. Ale po nim przychodzi też skurcz, przybierający fizyczny kształt głęboko osadzonego we mnie strachu. Obawy, że tak naprawdę nie znam tego człowieka. I nie do końca mu ufam. Czuję na sobie jego wzrok. Wtedy zdaję sobie sprawę, że stojąc w tej pozycji, mogę wyglądać trochę prowokacyjnie; mam odgięte uniesione kolano, a spódniczka, która wspięła się zbyt wysoko, ledwie zasłania mi uda. Ściągam ją w dół. Bartosz odstawia wiadra z drwami i macha w moją stronę. Otwiera furtkę i wychodzi na ulicę. Ostatnio ignorowałam jego wiadomości, ale teraz mu się nie wywinę.

– Hej! Dlaczego mnie unikasz? – pyta, przechodząc przez ulicę. Staje obok mnie, ciągnąc za sobą zapach wilgotnej ziemi, a w jego przyspieszonym oddechu wyczuwam jakąś nerwowość.

– Miałam ostatnio urwanie głowy – kłamię, choć tylko częściowo.

– Daj spokój, co? O co chodzi? – zerka na mnie podejrzliwie spod naciągniętego na głowę kaptura.

Jego ręka nagle oplata mój nadgarstek. Uścisk jest silny, a szorstkie dłonie drażnią mi skórę, przez co czuję w tym miejscu rozpierające mnie od środka wrzenie. Ta jego fizyczność zadaje mi ból, a zarazem sprawia, że jest przyjemnie.

– Chodzi o album – wypalam.

– Album? Czy to ma związek z moją pracownią? Szukałaś tam czegoś.

– Wiem, nie powinnam grzebać w twoich rzeczach.

Na jego twarzy maluje się rozczarowanie. Wiem, że teraz autentycznie go zawiodłam. W tej samej chwili puszcza moją rękę.

– Ale to zrobiłaś. I...? – Patrzy na mnie wyczekująco i przerażająco pusto.

– Znalazłam album z waszymi zdjęciami – twoimi i twojej żony.

Bartosz nie spuszcza ze mnie wzroku, a mnie coraz trudniej znieść ciężar tego spojrzenia.

– Wiesz, że to cholernie słabe. Myszkować w czyichś rzeczach.

– Znalazłam tam też zdjęcie Dominiki Kality.

W moim głosie powinna brzmieć skrucha. Zamiast niej słyszę tylko oskarżycielską nutę.

– Kogo?

– Tej zamordowanej kobiety, która nocowała w moim pensjonacie. Przecież wiesz. Masz z tym coś wspólnego?

– Nie, nie wiem. Nie znam nikogo takiego – ton jego głosu jest szorstki i ostry. – O co tak naprawdę ci chodzi? Po to tylko przyszedłeś? Żeby grzebać w moich rzeczach, bo masz na punkcie tej kobiety jakąś obsesję?

Przyglądam mu się, ale Bartosz wydaje się autentycznie poruszony i zdezorientowany. Ale równie dobrze może przecież udawać. Mam przez to totalny mętlik w głowie, a wraz z nim poczucie narastającej winy. Sama nie wiem. Może niesłusznie go podejrzewam?

Przez chwilę oddziela nas naładowana wzajemnym rozczarowaniem cisza. Przerzywa ją dopiero tłusty bit wydobywający się przez uchyloną szybę samochodu, który właśnie zaparkował na chodniku tuż obok nas. Uśmiechnięty od ucha do ucha kierowca, młody chłopak o śniadej cerze, przygląda się nam jakoś głupkowato, jakby miał niezły ubaw, oglądając taką durną scenkę. Mam ochotę warknąć, żeby spieprzał, i kiedy otwieram usta, by go przegonić, dociera do mnie, że ten gość to przecież kierowca mojego ubera.

– Przepraszam, ale jestem umówiona. Możemy porozmawiać później?

Bartosz wzrusza ramionami.

– Okej – rzuca od niechcienia.

Wślizguję się na tylne siedzenie samochodu i zanurzam w miękkim

flauszowym obiciu, byle tylko głębiej, byle tylko dalej, byle tylko nie patrzeć mu w oczy, kiedy odjeżdżamy. Ale zachowanie obojętności zupełnie mi nie wychodzi. Kierowana jakimś niechcianym instynktem, odwracam głowę i widzę tę jego malejącą postać. Bartosz odprowadza mnie wzrokiem, dopóki wóz nie zniknie za zakrętem. Zupełnie jakby chciał zrobić mi na złość.

Na mój widok Marika wychodząca właśnie ze swojej pracowni odwraca głowę i pospiesznie przekręca klucz w drzwiach. Coś w zamku zgrzyta, ale nie chce wskoczyć na właściwe tryby, ona wciąż jeszcze zawzięcie próbuje. Bez skutku.

Ja natomiast nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jej dzisiejszy strój wszedł na kolejny poziom eksperymentów kolorystycznych, które są w cholernie złym guście. Turkusowa, dopasowana do ciała bluzka z głębokim dekoltem obnaża niedoskonałości jej sylwetki, a ścięta na bok czerwona mini odsłania więcej, niż powinna – czerwone koronkowe majtki, które raz po raz wystają zza zbyt głębokiego rozcięcia spódnicy. Najprawdopodobniej tak wygląda obrana przez nią strategia zwrócenia na siebie uwagi. I na koniec one, niebotycznie wysokie szpilki w kolorze neonowego różu. Są jak malinowa landrynka.

Naprawdę lubię awangardowy styl, ale ten zestaw przyprawia mnie o mdłości.

– Czego chcesz? – rzuca, kiedy wreszcie udaje jej się zamknąć drzwi.

– Pogadać.

Nie nawiązuje ze mną kontaktu wzrokowego. Powiedziałybym nawet, że ostentacyjnie mnie ignoruje. Z czubka głowy zsuwa okulary przeciwsłoneczne, mija mnie i odchodzi w stronę zaparkowanego na ulicy merca. Z torebki wyciąga pilota i otwiera nim auto.

– Zdaje się, że mamy to już za sobą. Spieszę się – rzuca od niechcienia.

Ubiegam ją i pierwsza dopadam do samochodu, i blokuję drzwi od strony kierowcy.

– Co ty robisz? – parska, wzburzona, kiedy orientuje się, że zastawiłam jej drogę.

– Sandra Łukasiewicz, obecna żona Adama. Chyba się znacie – mówię.

Mimo dzielącej nas odległości wyczuwam, że zionie do mnie nienawiścią. Przez chwilę jestem wręcz pewna, że zacznie mnie szarpać i odepchnie na bok. Ale ona splata ramiona na piersiach.

– No i co z tego?

– Sandra zapisała się tutaj – wskazuję na budynek za naszymi plecami – na kurs wizażu. Jakiś czas temu, kiedy współpracowałam jeszcze z Dominiką. Okazała się chyba bardzo pojętną uczennicą, skoro wskoczyła do łóżka Adama zaraz po tym, jak owdowiał. Zbieg okoliczności? Chciałam zapytać, co ty o tym myślisz.

Ku mojemu zaskoczeniu splot ramion Mariki poluzowuje się, a ona sama wydaje się moją sugestią rozbawiona.

– Ty nic nie rozumiesz... Ta mała już od dawna miała chętkę na nich oboje. Na Domi i na tego starego zboka.

Moja mina musi zdradzać, że owszem, nie mam zielonego pojęcia, o czym ona mówi.

– Zaczęło się od tego, że kiedy przyszła na kurs, złapała jakąś podjarkę na Domi. Dosłownie spijała słowa z jej ust. Przypuszczam, że to była zasługa charyzmy, wiedzy oraz władzy, którą Dominika miała nad ludźmi. Ta mała, nudna i wychuchana w domu lalunia łąziła za nią krok w krok. Jak jakiś zdesperowany szczeniak. W pewnym momencie pomyślałam nawet, że jest ostro szturchnięta.

– Dlaczego?

– Poza częścią praktyczną naszych zajęć kursanci mają też wykłady z teorii wizażu. Sandra pożyczyła kiedyś dziennik od Domi, w którym ta przechowywała swoje odręczne notatki – taki zestaw rad i tipów. Na następne zajęcia Sandra przyszła z zeszytem w podobnej do tamtego oprawie. Ale nie to było najdziwniejsze. Wyobraź sobie, że w środku, dokładnie w miejscach, w których Dominika bazgrała na kartkach jakieś chmurki, serduszka, ludziki i takie tam – Sandra narysowała identyczne obrazki. Jota w jotę, do cholery. To tak, jakby chciała wejść w jej skórę. Porąbane, nie?

Porąbane jak diabli, myślę. Dobrze wiem, do czego zdolni są ludzie, którzy za wszelką cenę uzurpują sobie prawo do pewnego rodzaju więzi. Bliskości i poufałości, której nie ma i nigdy nie będzie. Zachowuję jednak



spokój, udając, że mnie to nie rusza.

– Dominika zdawała sobie z tego sprawę? – pytam.

Marika kiwa głową.

– Sandra nawet się z tym nie kryła, a Domi nie widziała w tym nic złego. Chyba nawet bawiło ją to, że jest dla kogoś autorytetem. Była do tego przyzwyczajona. A poza tym Sandra i jej tatuś naprawdę potrafili sypnąć groszem. Zostali potem naszymi stałymi klientami. Jej stary miał wtyki w telewizji i załatwił nam parę grubych deali. Sama rozumiesz, że takich jak oni się nie zniechęca. Myślę, że między Sandrą i Adamem już wtedy było coś na rzeczy.

– I na to też Dominika nie zareagowała?

– Mówiłam już, ona i Adam żyli w otwartym związku. Adam pozwalał jej się wyszumieć, a i ona nie trzymała go na smyczy. Domi podpisała intercyzę, więc nie miała powodu, żeby udawać zatroskaną i kochającą żonkę. Nie ugrałaby niczego swoją zaborczością. Zresztą z tego, co wiem, nigdy nie przyłapała go na zdradzie.

– W takim razie skąd wiesz, że Adam miał kogoś na boku?

Marika ściąga okulary, wpatruje się we mnie bez cienia emocji. Twarz także ma pozbawioną wyrazu. Tak, jakby mówiła o czymś, co jest w jej pojęciu powszechne i ogólnie akceptowane.

– Adam wpadł tu kiedyś pod nieobecność Domi. Sandra też tu wtedy była. Zasypywał ją komplementami starego zboka, a ona się przed nim mizdrzyła. Wierz mi. Znam takich jak on. Znam też takie, które są nikim, a za wszelką ceną chcą się do kogoś przylepić, kiedy nie dają rady nigdzie same się wspiąć. To chyba oczywiste, że nie po to Adam wdawał się z nią w głupawe pogaduszki, żeby przepuścić okazję i potem jej porządnie nie przetrząść. Zresztą nie minęło nawet pół roku, odkąd zniknęła Domi, a Sandra już zajęła jej miejsce. Rozgościła się w jej sypialni, w jej garderobie, w jej ogrodzie. U boku Adama. Zaczęła bywać na tych samych wystawnych przyjęciach. Serio, muszę jeszcze jaśniej?!

Marika robi krok do przodu, naciera na mnie, a jej twarz niemal muska moją. Ale ja jeszcze nie ruszam się z miejsca.

– Czy Sandrze mogło zależeć na zajęciu miejsca Dominiki, do tego

stopnia, że... – zaczynam.

– ...ją kropnęła? – Marika wbija we mnie nienawistne spojrzenie, a w jej głosie wyczuwam narastające zniecierpliwienie. – Nie. Sandra to tylko salonowy piesek bez ambicji i planu na swoje życie. Bo żywot pasożyta trudno raczej nazwać wyrafinowanym celem. Byłaby na to zbyt głupia. A teraz zejdź mi z drogi. Naprawdę mam cię odepchnąć?

Robię krok do tyłu, myśląc o tym, co tak naprawdę łączyło Adama i Sandrę ze śmiercią Dominiki. Jak bardzo wyolbrzymione były słowa Mariki, która uruchamia teraz silnik i odjeżdża, pozostawiając mnie na chodniku w szarej chmurze spalin.

Ale to nie z tego powodu w ustach czuję gorzkawy posmak. To coś innego, czym już od dawna się brzydzę – powierzchowne związki między ludźmi. Nienawidzę relacji, w których nie ma miejsca ani na miłość, ani na człowieczeństwo. Na żaden rodzaj czułości i bliskości. W których najważniejsze są władza i chęć zaspokojenia własnych potrzeb. Czy to wystarczy, żeby zabić?

Nie wiem. Zupełnie nie potrafię się poruszać po tym obcym dla siebie terenie, na który wciągnęła mnie Marika.

## Rozdział dwudziesty czwarty

26 października 2018  
pół godziny później

Wsiadam do ubera. Przedemną teraz dość długa, przynajmniej półgodzinna trasa. Zaciągając się mdlącym zapachem cytrynowego odświeżacza powietrza, dołączam Sandrę (a może i jej ojca) do listy podejrzanych. Sięgam po telefon, byle tylko nie wdawać się w żadne pogaduszki z kierowcą, który pomrukuje coś pod nosem. Ze zdziwieniem stwierdzam, że mam jedno nieodebrane połączenie, a w poczcie głosowej czeka na mnie nowa wiadomość. Od razu rozpoznaję numer.

Nie rozmawialiśmy niemal od roku, odkąd oznajmiłam jej, że przeprowadzam się do Gdyni i odkąd obiecałam, że znajdę tutaj inną terapeutkę. Ela. Powinno mi odnosić się do niej per „moja terapeutka z tych najgorszych czasów” albo po prostu Elżbieta Niżyńska, ale nawiązała się między nami autentyczna nić sympatii. Domyślałam się, po co dzwoni. Nie mam tylko zielonego pojęcia, w jaki sposób zdołała się o mojej niesubordynacji dowiedzieć. Ciekawość bierze górę nad świadomością, że zostanę zrugana, pewnie zaraz mnie to czeka. Przykładam słuchawkę do ucha. Tym razem głos Eli nie jest ani kojący, ani krzepiący. Wiedziałałam, że tak będzie.

*Nika, co ty najlepszego wyrabiasz?! Dlaczego już od dwóch miesięcy nie pojawiaasz się na terapii u swojej nowej psychoterapeutki? Obiecałaś mi to, do cholery, dziewczyno!! Chcesz, żeby było jak ostatnio? Wiesz, że same tabletki nie załatwią sprawy. Oddzwon, proszę. Pogadajmy. Naprawdę chcę ci pomóc. Wiesz przecież.*

Wiem. Oddzwonię. Jej nie wolno mi zlekceważyć.

Zrobię to, bo jej ufam.

Tylko jeszcze nie teraz.

Tak, to prawda, przyznaję sama przed sobą. Od prawie dwóch miesięcy zażywam tabletki bez jakichkolwiek konsultacji z terapeutką. Nie martwiło mnie to, dopóki miałam zapas pigułek pod ręką.

Myślę o tym, ile prawdy jest w teorii, że nie jestem w stanie normalnie funkcjonować bez stałego nadzoru ciepłych głosów psychologów. „Granica między właściwym postrzeganiem rzeczywistości a poczuciem odrealnienia będzie się zacierać, jeśli nie przyjmie pani pomocy, pani Niko”. Tym mnie straszono. Nie powinnam tego ostrzeżenia lekceważyć ani tym bardziej na własną rękę przerywać terapii. Zgadzam się. Ale w obliczu szaleństwa, jakie wkroczyło do mojego życia, wola walki, którą czuję teraz, jest silna jak nigdy dotąd, a ja czuję się wyjątkowo świadoma i trzeźwa. Mimo wcześniejszych regularnych wizyt u nowej terapeutki i jej zapewnień, że ujarzmi moją psychikę i dostosuje ją do swoich wyobrażeń, czułam, że wciąż miotam się sama ze sobą i funkcjonuję w jakiejś chmurze otępienia. Ostatnio każdy bezkształtny i pozbawiony celu dzień przeistoczył się w walkę o przetrwanie i dotarcie do prawdy, a równolegle po części w konfrontację z projekcją moich własnych lęków i wspomnień. A to w pewien sposób nadało nowy bieg mojemu życiu. Pograżona w tych myślach, pozwałam sobie na moment odpłynąć.

Kiedy pół godziny później zjeżdżamy z obwodnicy, kierując się na północ, widoki za oknem robią się ponure. Jedziemy drogą wijącą się wśród łąk w jesiennych kolorach, po drodze mijamy cherlawe sosny, brzozy i topole. Od czasu do czasu na horyzoncie pojawia się stary opuszczony magazyn albo jakiś dom przeznaczony do rozbiórki. Wcale się nie dziwię, że niemal wszystkich mieszkańców wywiało z tego pustkowia. I mnie przyprawia ono o gęsią skórę, bo jest tu trochę tak, jakby to sam diabeł siał wokół tego miejsca zło, a ono wrastało w krajobraz.

Wzdrygam się na myśl o czekającym mnie spotkaniu z Henrykiem Z. Ten człowiek, seryjny morderca, jest złem w najczystszej postaci. Pewnie to świadomość, że każdy kolejny kilometr przybliżył mnie do niego, powoduje, że obrzeża tego miasta tak bardzo mnie odstręczają. Mijają kolejne minuty, a asfaltowa droga przechodzi w wertepy, po których koła białego merca

telepią się powoli, zgrzytając wściekle na żwirze. Kierowca znów biadoli coś pod nosem, zupełnie jakby to on, a nie podwozie jego wozu obrywało od każdej następnej koleiny. Tłuczemy się tak jeszcze przez chwilę po bezdrożach, dopóki przed naszymi oczami nie pojawi się masywne ogrodzenie ozdobione na szczycie spiralami drutu kolczastego.

Wielokrotni mordercy, dusiciele, gwałciciele, sprawcy porwań i uwięzień. To głównie tacy osadzeni znajdują się po drugiej stronie. Nie muszą się nawet specjalnie wysilać, by ich usłyszeć. Odgłosy dobiegające zza ogrodzenia i rzucone przy tym przekleństwa nie pozostawiają wątpliwości, że ktoś właśnie spuszcza komuś konkretny wpierdol. Kiedy wysiadam i zamykam za sobą drzwi, auto zawraca i szybko się oddala. Niebo, jak na zawołanie, robi się niespokojne i nabiera sinawej barwy. Mijam szeroką połąć spękaną i nierówną ziemi, nieprzyjazną tak samo, jak całe to miejsce, po czym wchodzę do szarego budynku zakładu karnego. Już od progu czuję, jak w kieszeni wibruje mi telefon. Chcę zignorować to połączenie, ale ten, kogo widzę na wyświetlaczu, nie pozwala mi siebie zlekceważyć. Przesuwam palcem po ekranie, a ze słuchawki natychmiast dobiega ochryply głos detektywa Sennego. Słowa wypadają z jego ust szybko i chaotycznie. Do tej pory nie słyszałam go w takim wydaniu.

– Co pani najlepszego wyrabia?

Jest wkurwiony. Potężnie wkurwiony.

– Nie rozumiem.

– Po co przyjechała pani do Przeróbki?

Jego pytanie zupełnie zbija mnie z tropu.

– Skąd pan wie, gdzie jestem?

– Darujmy sobie szczegóły. Rozpruwacz to ślepy trop. Proszę się stamtąd natychmiast zabierać i wracać do domu. Dobrze pani radzę. Chcę jak najszybciej z panią porozmawiać.

– Chodzi o przełom w śledztwie?

W tle słyszę syk pocieranego o metal kciuka. Kolejny dźwięk jest stłumiony i niewyraźny, ale idę o zakład, że Senny zaciąga się właśnie papierosowym dymem.

– Prasa myśli, że coś wie, bo podłapali ochłap informacji, który przekręcili

potem na własną modłę – kolejny głęboki mach – ale gówno wiedzą. Będę za dwie godziny. Proszę na mnie czekać u siebie i się stamtąd nie ruszać.

– Dobrze – odpowiadam i pytam szybko, nim Senny się rozłączy: – Czy moja matka i ojczym zostali już przesłuchani?

– Tak, wczoraj. Na czas ataku na pani przyjaciółkę mają niepodważalne alibi. Mówiąc niepodważalne, dokładnie to mam na myśli. Podkreślam to, w razie gdyby znów przyszło pani na myśl, by grzebać tam, gdzie nie trzeba.

Wypuszczam powietrze z płuc. Ta wiadomość przynosi mi niewyobrażalną ulgę. A więc matka i Adam byli wczoraj w Gdyni w tym konkretnym celu. Co nie zmienia faktu, że matka mnie przecież okłamała, zapewne ze wstydu. A może tamto kłamstwo było preludium do nowego ciągu jej manipulacji? Jej życie w dużej mierze z tego się składa. Nie wiem i nie chcę już nic więcej o niej wiedzieć.

Klik. Głos detektywa tak po prostu gdzieś odpływa. Przyciskam słuchawkę mocniej i powtarzam kilka razy „halo” jak wariatka, bo w głuchym sygnale rozbrzmiewającym w słuchawce głosu Sennego dawno już nie ma.

Okazji do spotkań z tym gliną nie miałam zbyt wiele, ale z zebranych przeze mnie materiałów na jego temat zdążyłam się zorientować, że nie jest typem człowieka, którego łatwo wytrącić z równowagi. Jego zachowanie świadczy o tym, że coś musiało się wydarzyć.

O czymkolwiek Senny chce mi powiedzieć bądź cokolwiek chce ze mnie wyciągnąć, jego zamiary zabrzmiały dość złowieszczo. Ale dwie godziny to spory zapas czasu i możliwości, a ja nie zamierzam zmarnować szansy, po którą tu przyjechałam. Zastanawia mnie tylko, skąd Senny wie, że jestem w Przeróbce. Obserwuje mnie? Przyglądam się też nieufnie torebce, przesuwam dłońmi po ubraniu w poszukiwaniu nadajnika albo pluskwy, którą mógł mi tam podrzucić ostatnim razem on sam albo ktoś z jego podwładnych, ale niczego nie znajduję.

Załatwiam formalności w punkcie przyjęć i przechodzę przez bramkę ochrony, starając się jak najszybciej zejść z drogi nabzdyczonej strażnicze o twarzy smętnej i wyblakłej jak rybie podbrzusze. Korytarz, wzdłuż którego idę, ma niewyraźny, szary kolor, a na jego końcu znajduje się sala widzeń. Wyobrażam sobie siedzących w niej w równym rzędzie morderców: ich

mózgi kipiące od dysfunkcji, sadyzm wypisany na twarzy, czyste ręce, z których, mimo szorowania i litrów detergentów, i tak nigdy nie zmyli śladów krwi swoich ofiar.

Ale kiedy zbliżam się do przejścia, ich postaci rozplývają się w powietrzu. Na ścianie znajduje się kolorowy streetartowy mural z realistyczną postacią Nelsona Mandeli otaczający słowa: *In my country we go to prison first and then become President*. Szczerze wątpię, żeby ta motywacyjna gadka sprawdziła się w odniesieniu do któregoś z tu osadzonych.

Jednak zamiast siedzących w jednym rzędzie zwyrodnialców przy zwyczajnym stole siedzi tylko jeden z nich. Jest nim Henryk Z. Na zdjęciach z internetowych artykułów wydawał się zdrowszy i mniej żylasty. Zakładam, że to czas i odsiadka wypłukały z niego dawny koloryt. Na głowę ma naciągniętą wełnianą czapkę, o wiele za małą. Płaska twarz, jaka spod niej wystaje, naznaczona bruzdami, pozbawiona jest wyrazu. Kiedy wchodzę do środka i on mnie zauważa, jego oczy wpatrują się we mnie bez cienia emocji. Przypomina mi stracha na wróble albo niegroźny eksponat, ale dobrze wiem, że to tylko pozory. Siadam naprzeciwko, na plastikowym krześle, mam wrażenie, że wciąż ciepłym i trochę lepkiem. Świadomość, że ktoś inny dosłownie przed chwilą sadzał tu swój tyłek, wydaje mi się ohydnie intymna i napawa mnie okropnym obrzydzeniem. Kiedy mój wzrok znajduje się na linii oczu Rozpruwacza, zauważam, że jego rozszerzone źrenice przesłoniły mu prawie całe tęczęwki. Nie wygląda jak człowiek. Nasze twarze dzieli tylko bariera wąskiego blatu. Na tej ciasnej przestrzeni woń jego oddechu unosi się w powietrzu niczym kwaśna mgła. Z tym też nie czuję się komfortowo.

– Dlaczego wzięłeś odpowiedzialność za coś, czego nie zrobiłeś? – pytam tak po prostu.

On unosi brwi, uśmiecha się cierpko i diabolicznie. Nie wiem, czy jest bardziej zniesmaczony tym, że się do niego odezwałam, czy tym, że zwróciłam się do niego na ty.

– Mówi pani o tych znalezionych w lesie szczątkach, jak mniemam. Skąd pewność, że to nie ja? To, że pozbył się ich ktoś inny, nie wyklucza mojego udziału. To chyba oczywiste.

– Bzdura. Wiem, że jeszcze kilka tygodni temu ta kobieta żyła. Zginęła, kiedy ty siedziałeś tutaj. Dlaczego bierzesz to na siebie?

Zapada cisza, jakby w myślach nie szukał prawdy, a jedynie czegoś, co dobrze zabrzmiał.

– Bo mogłem. Bo chciałem – mówi po chwili, chętnie przeciągając sylaby, po czym odgina się na krześle i wypina chęlną pierś. Wygląda jak wychudły, trawiony przez chorobę wyleniały kocur po krótkiej i niespokojnej drzemce.

Kiedy bębni palcami o krawędź stołu, mój wzrok przyciągają jego wypielęgnowane dłonie – starannie opilowane paznokcie, wycięte z precyzją skórki, jasnoróżowe kostki palców. Mimo że zapadł się i skurczył przez ostatnie lata, Henryk Z. zachował te same dłonie skrupulatnego księgowego. Z pewnością kiedyś w innych czasach w jakimś przyjaznym otoczeniu prowadził je nad arkuszami kalkulacyjnymi i schludnymi kartami w kratkę, unikając przypadkowych skreśleń i zamazań. Tymi samymi rękoma, po godzinach, w skutym mrozem lesie mordował kobiety i okaleczał je w bestialski sposób. Ale Dominika Kalita nie była jedną z nich. Nigdy w to nie uwierzę.

Sprowokować go – ta myśl kielkuje teraz w mojej głowie.

– Tylko idiota przyznałby się do czegoś, czego nie zrobił. Idiota albo ktoś, komu się to opłacało. Ktoś, kto i tak zgniłby w więzieniu, więc zrobił to dla hajsu albo obietnicy lepszych warunków odsiadki. Tu też można przecież wkupić się w czyjeś łaski. Mylę się?

Henryk Z. nie odpowiada. Oblizuje tylko górną wargę i w szyderczym uśmiechu obnaża zadbane zęby. Przez chwilę taksuje mnie wzrokiem, jakbym była dla niego zagadką, kolejnym księgowym problemem do rozgryzienia. Nie wiem, co mu o mnie powiedziano, ale raczej nie domyśla się, kim jestem.

– Minęła się pani z powołaniem. – Pochyla się do przodu, dzieli nas teraz najwyżej dziesięć centymetrów. Zbyt mało, bym mogła złapać oddech. Jego szorstka, spopielała twarz prawie ociera się o mój policzek. – Trzeba było zostać detektywem – szepce mi do ucha. – Radzę, tak po dobroci, nie trącać śmierdzącego gówna, bo dopiero wtedy wszystko się w pani życiu spieprzy. – To powiedziawszy, gwałtownie się cofa.



Budzi się we mnie gniew. I strach. Dociera do mnie, że to bez sensu. Senny miał rację. Nie wyciągnę z niego niczego. Nie jestem w stanie ani chwili dłużej być w pobliżu tego gada. Wstaję i, nie patrząc mu w oczy, zasuwam za sobą krzesło, po czym kieruję się w stronę wyjścia. Coś w pewnym momencie każe mi się zatrzymać.

– Dlaczego mordowałeś te kobiety, sukinsynu?

Na te słowa Henryk Z. ożywia się, jakby na to tylko czekał. Jakbym po tej niefortunnej rundzie wreszcie zadała mu pytanie, na które lubi odpowiadać. Jakby podniecało go bycie mordercą.

– Ludzie lubią trwać w sielance – mówi chełpliwym tonem. – Chcą, żeby istniała zawsze. A jak coś zaczyna się psuć, brakuje im motywacji, żeby stawić temu czoła. Dopiero, gdy wydarzy się coś parszywego, nieodwracalnego, widzą to wszystko czarno na białym. Pomagam im zrozumieć, co było w życiu ważne. Tylko wtedy jest już za późno... – Z jego ust wydobywa się zduszony chichot.

Przez moment nie mogę się ruszyć, jakby jakaś tajemnicza siła trzymała mnie za kostki i nie chciała puścić.

– A więc mordowałeś, żeby umoralniać społeczeństwo?

– Częściowo. A w pewnym stopniu również dlatego, że selekcja musi się dokonać, bo niektórych należy spuścić w kiblu jak kawałek gówna.

Na dźwięk jego głosu, metalicznego i opanowanego, żołądek podchodzi mi do gardła. Odrywam się od podłogi i wypadam na korytarz, gdzie uderza mnie zapach więziennego obiadu i śmierdzącej chlorem podłogi. Wydostać się na zewnątrz, na świeże powietrze – tylko taki mam cel.

Atakują mnie natrętne myśli. W ludziach takich jak on, bezwzględnych psychopatach, najniższe instynkty dochodzą do głosu bez ostrzeżenia i bez konkretnego powodu. Powinnam była to wiedzieć. Kiedy organiczną potrzebą jest zło, trudno doszukiwać się jakiegokolwiek sensu. Czytałam kiedyś, że mózg psychopaty funkcjonuje inaczej niż zdrowego człowieka. Ubytki w strukturze nerwowej mózgu, a dokładnie w płacie czołowym, gdzie zachodzą procesy odpowiedzialne za decyzje moralne, nie pozwalają im na przetwarzanie emocji i odczuwanie empatii. Czasem przyczyną tego defektu jest brak dotyku i miłości w dzieciństwie, czasem wypadek, guz mózgu albo jeszcze coś innego. To jednak niczego w najmniejszym stopniu nie

usprawiedliwia.

Kiedy pokonuję ostatni zakręt korytarza i wybiegam na zewnątrz, niebo zdążyło już całkiem ściemnieć. Tylko na horyzoncie jaśniejje cieniutka srebrzysta smuga. Do domu, tak bardzo chcę do domu, nawet jeśli to nie koniec trudnych konfrontacji na dziś. Spoglądam na ekran telefonu. Do spotkania z Sennym została jeszcze ponad godzina. Odpalam aplikację Ubera, ale jak na złość żadnego wozu nie ma w okolicy. Byłabym skłonna iść w stronę miasta nawet pieszo, byle dalej stąd, ale mam chyba szczęście. Na pobliski przystanek, rozbebeszoną wiatę, podjeżdża niemal pusty autobus. Dostanę się nim do centrum, a stamtąd złapię już taksówkę. Jadę oczywiście na gapę, ale nie spodziewam się, by na tym przedpieklu chciało się komuś sprawdzać bilety. Siadam w fotelu i przyciskam policzek do chłodnej szyby, wilgotnej i przyjemnie kojącej, odpędzając od siebie niecierpliwe myśli.

Kusi mnie, by oddzwonić do Sennego i zapytać go, dlaczego tak pilno mu się ze mną spotkać. I dlaczego chce to zrobić u mnie w domu, a nie na komisariacie. Rezygnuję, bo wiem, że to nie będzie rozmowa na telefon. Zamiast tego raz jeszcze skrupulatnie przeszukuję torebkę i swoje ciuchy, ale nie znajduję w nich niczego, co mógł mi podrzucić śledczy. Żadnej pluskwy, żadnego lokalizatora. Dosłownie niczego. No to skąd wiedział? Czy naprawdę mógł tam być i mnie obserwował? To wciąż nie daje mi spokoju. Autobus terkocze wesoło na wyboistej drodze jak moja prywatna rozklekotana kapsuła bezpieczeństwa w tym nieprzyjaznym terenie – kilkoro pasażerów, kolorowe reklamy, dźwięki radia dobiegające z kabiny kierowcy, świadomość normalnie toczącego się życia.

Po dwudziestu minutach dojeżdżamy w okolice Podwała Grodzkiego. Jest już po osiemnastej, ale ciemność rozjaśniają latarnie rzucające na drogę i chodnik łuny jasnego światła. Chcę przejść na drugą stronę ulicy, by usiąść i zamówić na spokojnie takse, ale najpierw zatrzymuję się przy krawężniku, na czerwonym świetle. Przeszuję z nogi na nogę, bo czuję, że dosłownie zamarzam, kiedy podmuchy wiatru zwiastującego nadchodzącą na morzu cofkę wdzierają mi się pod marynarkę. Sznur samochodów sunie jeden za drugim na obu pasach w równym pędzie. Z jednym wyjątkiem. Grafitowa terenówka hamuje przed przejściem z piskiem opon, mimo że przecież zielone światło nakazuje jej jechać. Zatrzymuje się tuż przy mnie, najwyżej metr, może dwa od moich stóp, a we mnie budzi się instynkt ostrzegawczy.

Przyciemniana przednia szyba nie pozwala mi jednak zobaczyć twarzy kierowcy. Auto podjeżdża jeszcze bliżej, a elektryczna szyba od strony pasażera opada w dół. Ktoś, wciąż nie wiem kto, wyciąga rękę przez okno i macha nią w moją stronę. Chwilę później pojawia się tam znajoma twarz.

– Hej, Nika, zgarnąć cię? Wracam do Gdyni.

Na jego widok kamień spada mi z serca.

– Boże, ale mnie przestraszyłeś. Spadłeś mi chyba z nieba – uśmiecham się i, nie czekając na zachętę, otwieram drzwi, po czym wsiadam.

## Rozdział dwudziesty piąty

26 października 2018  
wieczór

Choć właściwie krótko stałam na dworze, przemarzałam do szpiku kości. Komfort zanurzenia się w ciepłym i wygodnym wnętrzu samochodu sprawia, że jest mi błogo. Na tę krótką chwilę nie przejmuję się nadchodzącą rozmową z Sennym ani niczym innym. W moim mózgu nie gnieźdzą się żadne koszmary, flashbacki ani okrutni ludzie.

– Możesz podkręcić ogrzewanie? – zwracam się do Daniela, przekrzykując histeryczny męski głos, który wydobywa się z radia.

– Jasne – odpowiada i grzebie przy pokrętłach, a w wozie od razu robi się cieplej. – Słuchaj, muszę jeszcze tylko podjechać po Nat na uczelnię i zaraz odwiozę was do domu.

Kiwam głową z aprobatą.

– A ty co tutaj robisz? – pytam, chuchając w skostniałe z zimna dłonie.

Daniel odwraca głowę i czubkiem brody wskazuje na zaciemnione miejsce na tylnym siedzeniu. Wyteżam wzrok i widzę zawieszony tam na haczyku uniform z małą naszywką granatowego Eskulapa.

– Pracuję w szpitalu na Zaspie. Jestem fizjoterapeutą. Wracam właśnie z roboty.

– Nie wiedziałam, że pracujesz też na drugim etacie.

Daniel płynnym ruchem zmienia pas i wślizguje się w niewielką przestrzeń pomiędzy dwa inne wozy.

– Inaczej trudno byłoby mi wydolić – mówi, a w jego głosie słyszę zmęczenie, może też pewien rodzaj wypalenia. – Tym bardziej że treningi w Rivierze prowadzę tylko trzy dni w tygodniu. A ty? – pyta, nie odwracając

oczu od drogi. – Co tu robisz?

– Wracam z więzienia. Wizyta u Rozpruwacza nie należała do najprzyjemniejszych, ale pętla zarzucona na szyję mordercy chyba powoli się zacieśnia.

– Czyli to jednak on? – Daniel obraca twarz w moją stronę, a w świetle mijanych przez nas lamp wygląda jak maska, jest pełna wgłębień i wybrzuszeń.

– Więc nie słyszałeś?

Ścisza radio, wydaje się teraz autentycznie zaciekawiony i przejęty.

– Nie słyszałem? O czym?

– Wiem niewiele więcej ponad to, co donoszą w mediach. Ale policja podłapała moim zdaniem jakiś konkretny trop. Mam się teraz spotkać z Sennym u siebie w domu. To podobno pilne.

– Teraz? – powtarza, przygryzając dolną wargę.

– Za pół godziny.

Wzmagający się wciąż wiatr świszcze za oknem, a jego podmuchy bujają samochodem z wielką siłą. Mimo to nie zwalniamy, wręcz przeciwnie, wyprzedzamy kolejny wóz.

– Skoro fatyguje się o tej porze, to faktycznie musi mieć jakiś konkret – mówi Daniel.

– Całe szczęście – wzdycham, opatulając się szczelniej marynarką, bo nadal mi zimno. – Może wreszcie to wszystko się skończy.

Odpowiedź Daniela pochłania melodia wydobywająca się z jego smartfona wetkniętego w uchwyt na desce rozdzielczej. W zupełnych ciemnościach ekran telefonu rozbłyska jasnym światłem. Pojawiają się na nim dwa słowa – Kizia-Mizia. Wyglądają jakoś upiornie znajomo.

Daniel przesuwając palcem po wyświetlaczu, a mój mózg zaczyna działać na wysokich obrotach. Zmuszam go, żeby przeszukał wszystkie szufladki jedną po drugiej i wydobył stamtąd coś, co pozwoli mi zlokalizować zapisane w pamięci słowa. Jestem pewna, że słyszałam je jakoś niedawno. Chwilę później, kiedy to się faktycznie dzieje, a na mnie spływa coś w rodzaju olśnienia i grozy jednocześnie, kabinę samochodu wypełnia zniecierpliwiony

głos Nat, z całą pewnością żującą gumę.

– Zamarzam, bejbe. Gdzie ty się podziewasz?

– Jedziemy po ciebie. Jesteśmy za minutę, maks dwie.

– Jedziecie? Kogo tam jeszcze masz? – irytacja Nat przechodzi w zupełnie inny, nieco kokieteryjny ton.

– Zgarnąłem po drodze Nikę.

– Super, ale niech nie myśli, że wykuka mnie z przedniego siedzenia. Tyły są dla frajerów. – W telefonie rozbrzmiewa chichot mojej przyjaciółki. – Pospieszcie się, stoję na przystanku, tam gdzie zwykle.

W tej chwili trudno mi nawet rejestrować słowa Nat, bo w myślach odtwarzam nagranie z dyktafonu Dominiki Kality. To ten punkt odniesienia był mi potrzebny. Ona też była czyjąś Kizią-Mizią. Czy faceci często zwracają się w ten sposób do swoich kobiet? Nie wydaje mi się. A może mam po prostu paranoję? Hamujemy, a siła pędzącego auta niemal rzuca mnie na deskę rozdzielczą, karząc za lekkomyślność, jaką było niezapięcie pasów. Sekundę później tylne drzwi otwierają się z hukiem i do środka wparowuje Nat. Ciągnie za sobą zmęczenie, zapach truskawkowej gumy balonowej i jej ulubionych kwiatowych perfum.

– Boszzzzz. Mózg mi eksploduje – pociera palcami skronie, psując staranne upięcie. – Czuję się, jakbym była nieźle upalona albo jeszcze gorzej.

– Co jest, mała? – Daniel odwraca się w jej stronę, a między naszymi siedzeniami wyłaniają się zaraz smukłe ręce Nat, którymi czule i zachłannie oplata jego szyję. Po chwili pojawia się też jej głowa, a kiedy ich twarze są już naprawdę blisko, usta Nat lądują na jego wargach.

– Sekcja zwłok potrąconego psa – odpowiada moja przyjaciółka, kiedy odrywa się od swojego chłopaka. Rozpromieniony i rozogniony wciąż Daniel rusza z piskiem opon. – Serio, nie nadaję się do tego. Niewiele brakowało, a puściłabym im tam pawia. Hej! – Głowa Nat wciąż znajduje się pomiędzy naszymi siedzeniami, kiedy odwraca ją w moją stronę. – Wyglądasz, jakbyś ty też zaliczyła właśnie zjazd. Wszystko okej?

Kiwam przekonująco głową. Nie jestem pewna, czy Nat kupiła moje kłamstwo.

– Po prostu zamarzałam, czekając na przystanku i w dodatku trochę mnie

trzęsie.

Nat mierzy mnie wzrokiem.

– No ta, odstrzeliłaś się w ten ziąb w samą marynarkę, to co się dziwisz. Co ty tu w ogóle robiłaś? Byłaś wreszcie na jakiejś randce, he? – szturcha mnie w ramię.

– Trudno to chyba nazwać randką. Nika była w więzieniu u tego psychopaty – wyręcza mnie Daniel.

– Serio? No i...? Wyciągnęłaś coś z niego?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie Nat, wiercę się w fotelu, trzymając się za brzuch. Nic mi nie jest, ale muszę się upewnić, że moje podejrzenia nie są słuszne. Od razu.

– Naprawdę muszę do toalety na moment. Możesz zjechać na stację benzynową? – Wskazuję palcem na zbliżającą się do nas prostokątną bryłę budynku, rozświetloną żółtymi neonami.

Natalia i Daniel obrzucają mnie zdziwionym spojrzeniem.

– Za dwadzieścia minut będziemy w domu. Nie wytrzymasz?

– Nie, do cholery! – Potrząsam desperacko głową. – Jest mi niedobrze.

Nasz samochód nie zwalnia i kiedy myślę już, że kierowca zignoruje moją prośbę, okazuje się, że się mylę. Daniel skręca w zjazd prowadzący do stacji benzynowej, mija dystrybutory z paliwem, potem główne wejście i parkuje pod bocznymi drzwiami oznaczonymi przekrzywioną tabliczką z kółkiem i trójkątem. Poza przestraszonym naszą obecnością kotem wokół nie ma żywej duszy. Na pobliskiej latarni przymocowana jest kamera z migającym pod nią czerwonym punkcikiem i tylko ona mnie trochę uspokaja.

– Nie chcesz skoczyć ze mną? – Naciskam na klamkę, rzucając Nat błagalne spojrzenie. Zwykle rozumiemy się bez słów, ale tym razem nie ma w jej oczach zrozumienia. Widzę tam tylko zmęczenie i senność.

– Naprawdę padam i nikt mnie stąd wołami nie wyciągnie – mówi, zrzucą buty ze stóp, wzdycha i zwija się na siedzeniu w kłębek jak senny kociak.

Nie naciskam, tym bardziej że tak naprawdę nie mam jeszcze żadnej pewności, czy Daniel był faktycznie kochankiem Dominiki. Przywołuję za to do porządku trzeźwe myśli i zebrane przez siebie informacje – zarówno te,

które alarmowały mnie od samego początku, jak i te, które brałam za zupełnie nieistotne. Jedna z nich wyłania się na pierwszy plan. Jest nią rozmowa ze sprzedawcą poroża, a interesujący mnie szczegół tkwi w opisie samochodu mordercy, jaki podał mi ten człowiek. Miała to być terenówka i choć w tej chwili nie mogę przypomnieć sobie opisanego przez niego koloru, inny detal pamiętam za to bardzo wyraźnie. Uszkodzony prawy reflektor. Muszę go sprawdzić.

Z tłukącym się w piersi sercem wychodzę na pogrążoną w mroku uliczkę, wiedząc, że zaraz albo odetchnę z ulgą, albo będę zmuszona obmyślić plan B – plan zaalarmowania Sennego. Deszcz, który chwilę wcześniej lunął z nieba, jakoś niespodziewanie wydobył zapach betonu, ziemi i nawozu. Wciągam ten zapach do płuc, przedostając się przed maskę wozu, ale czeka mnie tam rozczarowanie. Oba reflektory są wyłączone – wgapiają się we mnie pusto jak oczy ślepeca. Nieco wyżej, na wysokości przedniej szyby, mam przed sobą rozmytą przez strugi deszczu twarz Daniela i jego oczy, nagle zwężone i chłodne.

*Fuck. Fuck. Fuck.*

A więc nadal tkwię w matni. Dalsze sterczenie przed samochodem byłoby podejrzane, ruszam więc przed siebie i kiedy mam już zniknąć za drewnianymi drzwiami prowadzącymi do toalety, zawracam. Podchodzę do terenówki Daniela i bębnię palcami w jej tylną, częściowo opuszczoną szybę. Po jej drugiej stronie siedzi przysypiająca na zgiętym łokciu Nat. Na dźwięk natarczywego stukotu zrywa się z fotela. Kiedy rozbudza się na tyle, by zorientować się, że to moja sprawka, w jej oczach zaczyna płonąć wściekłość.

– Co jest dzisiaj z tobą?!

– Zapnij pasy...

– Że co?!

– Nie możesz tak jechać dalej.

– Sratatata. A nie bolał cię czasem brzuch? – Nat układa się na powrót w fotelu i odprowadza mnie zaspanym wzrokiem w stronę toalety.

– Nie ruszę się stąd, dopóki tego nie zrobisz – oznajmiam i wciąż stoję w miejscu.



– Ty tak na serio?

Nie odpowiadam, palcem wskazuję na odpięty pas.

– Jezus Maria!!! – Natalia przewraca oczami, ale przeciąga pas przez siedzenie i wpina go w klamrę. – Zadowolona?

Biorę głęboki oddech i, czując na sobie baczny wzrok Daniela, kieruję się w stronę toalety, która okazuje się niewielka, ale czysta. Jestem pod presją czasu, mam gonitwę myśli, wybieram numer kogoś, kto może mi pomóc. Marika Dąbrowska odbiera za piątym sygnałem.

– Słucham? – w telefonie dźwięczy jej przymilny, zbyt entuzjastyczny głos.

– Tu Nika Werner. Rozmawialiśmy dzisiaj – wyrzucam z siebie jednym tchem.

– A, to ty... – entuzjazm w jej głosie nagle gaśnie.

– Chodzi o jednego faceta – od razu przechodzę do rzeczy – to naprawdę pilne. Muszę się dowiedzieć, czy kiedykolwiek kręcił się wokół Dominiki.

– Słuchaj, zadzwoń za dwie godziny – odpowiada ze znużeniem. – Jestem w drodze na masaż.

– Prześlę ci zdjęcie. Rzuć tylko okiem. Naprawdę jest mi to teraz potrzebne.

Ze słuchawki przez dłuższą chwilę nie wydobywa się żaden dźwięk. Wydaje mi się, że mija cała wieczność.

– Halo? – odzywam się.

– Dobra, ale masz tylko dwie minuty. Zaraz wchodzę do gabinetu.

Znalezienie zdjęcia uśmiechniętego Daniela w galerii pracowników siłowni gdyńskiej Rivieri zajmuje mi tylko chwilę. Robię screena i przesyłam go Marice ememesem. Mija zaledwie minuta, ale i tak zaczynam się już niecierpliwić, bo jej odpowiedź wciąż nie nadchodzi. Kiedy mam wybrać jej numer ponownie, telefon brzęczy mi w rękę, a ja oddycham z ulgą. Chwilowy spokój odpływa ze mnie natychmiast po przeczytaniu wiadomości.

*Kojarzę typa. Widzieliśmy się z nim tylko raz, przy okazji jakiejś*

*śniadaniówki. To było chyba na planie „Pytania na śniadanie”. Był jednym z gości, mówił coś o nowych technikach rehabilitacji, o ile dobrze pamiętam. Ciacho z niego. Ale to tyle. Nie sądzę, by Domi z nim kręciła. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.*

To mi wystarczy. Wystarczy, żebym w mgnieniu oka rozsypała się na milion maleńkich kawałeczków i równie szybko pozbierała na nowo, napędzana instynktem przetrwania. Nie ma czasu na błąd ani tym bardziej na dramatyzowanie. Pora działać. Drżącymi palcami wybieram numer Sennego, ale kilkakrotny sygnał wolnej linii przechodzi w głos automatycznej sekretarki. Próbuję dodzwonić się jeszcze raz, potem kolejny, ale za każdym razem czeka mnie nowe rozczarowanie. Kończę nagrywać się na jego pocztę głosową, kiedy, wciąż zwrócona plecami do drzwi, wyczuwam czyjąś obecność.

Podmuchy chłodnego wiatru, wślizgującego się przez uchylone drzwi, dostają się pod moją marynarkę, na cierpnącą z zimna i ze strachu skórę. Odwracam się. Przy umywalce, najwyżej metr ode mnie, stoi Daniel i przygląda mi się z dłońmi na biodrach. Ma wybrzuszoną, wypchaną jakimś przedmiotem kieszeń wiatrówki, a w sobie niebezpieczną energię i napięcie. Nie wiem, czy podsłuchiwał moje rozmowy ani co ewentualnie usłyszał. Patrzymy na siebie, a żarówka nad nami syczy i migocze, rzucając upiorne światło. Czuję się, jakbym utknęła w jednej ze scen z własnego koszmaru.

– I jak? Już lepiej się czujesz?

W jego głosie nie ma troski, ocieka lodowatym sarkazmem.

Jakbym płynęła pod wodą i nie mogła wyskoczyć na powierzchnię. Tak właśnie teraz się czuję, ale nie daję mu odczuć, że cholernie się boję. Czas na podjęcie decyzji, sekunda, może dwie, przepływa mi przez palce. To on wykorzystuje moment mojego zawahania, jednym krokiem dopada do mnie i wytrąca mi telefon z ręki. Szybka smartfona roztrzaskuje się o wyszczerbione kafelki na posadzce. Telefon nadal jednak działa, świadczy o tym cichy brzdęk nadchodzącego esemesa. Nie spuszczać ze mnie wzroku, Daniel podnosi komórkę z podłogi i ciska nią o ścianę, po czym wsuwa do kieszeni spodni to, co zostało z mojego telefonu.

– To też już nie będzie potrzebne – mówi, stając za moimi plecami

i zrywając mi z ramienia torebkę. Jest szybki, silny i krzepki, a ja zbyt niezdecydowana i oszołomiona. – Niech, kurwa, nie przychodzi ci do głowy nic głupiego – mówi i między zebra wpycha mi twardy, chłodny przedmiot. Wydaje mi się zbyt szeroki jak na lufę pistoletu, ale i tak wychodzę potulnie na zewnątrz. Już nie pada, tylko siąpi, ale podmuchy wiatru wciąż wzbierają na sile. Pozbawiając mnie jedynej rzeczy, którą miałam w zasięgu ręki i służyła mi do obrony, Daniel właśnie udowodnił, że jestem frajerką. Atomizer z gazem pieprzowym leży na dnie torebki, którą wepchnął sobie pod pachę. Rozglądam się w poszukiwaniu czegoś innego, czym mogłabym go obezwładnić. Dookoła walają się tylko plastikowe butelki, sterta papierów i kilka zrzuconych przez wiatr gałęzi. Nic, czym mogłabym pokonać umięśnionego faceta ważącego dwukrotnie więcej niż ja. Mój wzrok spoczywa na Nat, która leży wyciągnięta na tylnym siedzeniu, z plecakiem pod głową. Chyba wszystko z nią w porządku. Oddycha miarowo, oczy ma zamknięte.

W tej samej chwili potworny ból eksploduje z miejsca, w którym ląduje pięść Daniela, wspomagana przez tamten metalowy przedmiot. To on rani mi biodro. Czuję jego rękę jak łuk ognia wchodzący w mój prawy bok. Oblewa mnie fala gorąca i nieznośnego, narastającego bólu. Chcę krzyknąć, ale zagryzam tylko wargi.

Jednym ruchem Daniel wpycha mnie na przednie siedzenie. Nie spuszczając ze mnie wzroku, przechodzi przed maską, opróżnia zawartość torebki do kosza i ciska ją w krzaki. Otwiera drzwi po stronie kierowcy i wślizguje się za kierownicę. Przedmiot, którym mnie uderzył, wsuwa do kieszeni po wewnętrznej stronie swojej kurtki.

Nasza terenówka rusza z piskiem opon i zbyt gwałtownie włącza się do ruchu. Jadąca na prawym pasie ciężarówka trąbi, ganiąc brawurę Daniela i mijając nas z taką prędkością, że całe auto aż się trzęsie. Moje najgorsze przypuszczenia potwierdzają się, kiedy wciąż nabierając prędkości, mijamy skręt w kierunku do centrum. Ten, który prowadzi do mojego domu.

– Nat, kotku! – woła Daniel delikatnym głosem, przyglądając się w lusterku wyciągniętej na siedzeniu dziewczynie. Ale ona nie reaguje, chyba śpi. A przynajmniej taką mam nadzieję. Nie mam odwagi podnosić teraz rabanu, by nie narazić Nat na większe niebezpieczeństwo.

– W zasadzie w pewien sposób jestem ci nawet wdzięczny – szeptem zwraca się do mnie Daniel.

Przez chwilę wymownie spogląda na wybrzuszoną kieszeń swojej rozpiętej kurtki, co mam pewnie traktować jak kolejne ostrzeżenie. Potem podnosi głowę i rzuca mi przelotne spojrzenie. Patrzy na mnie wtedy zupełnie inny człowiek. Jego spojrzenie jest zimne, jak skute lodem jezioro. Jakby kilka minut temu, przy stacji benzynowej, z jego twarzy odpadła maska przyjaznego chłopaka, odsłaniając prawdziwe oblicze. To, którego nie znałam ani ja, ani Nat. Ani zapewne nikt inny.

– Powrót Domi do mojego życia zawdzięczam tobie – mówi i po raz kolejny dociska pedał gazu. Pędzimy teraz po estakadzie Kwiatkowskiego. Pod sobą mamy terminal kontenerowy, port i rozświetloną odbijającymi się w niej światłami, spokojną tafłę wody. Ten spokój ma się nijak do wzbierającego we mnie strachu. – Gdyby Dominika nie zarezerwowała pokoju w pensjonacie, nie miałbym szansy rozpoznać jej w tej nijakiej kobiecie. Mysie zaniedbane włosy, okulary przeciwsłoneczne, ziemista cera. Niezły kamuflaż. A poza tym zrobiła chyba też coś z ustami i nosem. Plan cwanej wizażystki. Czuję, że wróciła po zawartość skrytki. Naszej skrytki – podkreśla. – Pewnie i ja dałbym się znów nabrać na tę charakteryzację. Tyle że trudno jej było kontrolować się stale, szczególnie przed kimś, kto znał ją na wylot. Przed kimś takim jak ja. Ręce Domi zawsze były gadatliwe, ta nadekspresja prawej ręki. Jej dłoń na górze skierowana wewnętrzną stroną ku dołowi. Mocny uścisk na znak dominacji. Ze wszystkimi witała się w ten charakterystyczny sposób, nawet wtedy z tobą przy furtce. To mnie zaciekało. Może nawet nie zwróciłbym na was uwagi, gdyby nie Nat, którą odwoziłem tamtego dnia do domu. Po drodze mijaliśmy twój dom, a ona wskazała na ciebie, paplając coś o tym, że jesteś jej przyjaciółką i że wreszcie musi nas ze sobą poznać. Wtedy zupełnie już jej nie słuchałem. Patrzyłem na stojącą obok ciebie kobietę z walizką, przypuszczalnie nowego gościa. Nie byłem wtedy jeszcze niczego pewien. Nieraz w ciągu ostatnich dwóch lat wyobrażałem sobie Domi materializującą się w ciele obcych kobiet. Zawsze okazywało się potem, że to tylko moja wyobraźnia, która chciała ją odnaleźć i ukarać. Ale tamtego dnia było inaczej. Coś jeszcze przykuło moją uwagę. Czarna rękawiczka na drugiej ręce, tej, w której trzymała walizkę. Październik, wciąż niemalże letnia pogoda i ta rękawiczka. Dziwne, co?

Chyba że, tak jak Domi, na wierzchu dłoni ta kobieta miała widoczny ślad poparzenia, który chciała ukryć. Wtedy nie byłem jeszcze pewien, ale następnej nocy, kiedy dostałem się do jej pokoju, wiedziałem już wszystko.

– Po co mi o tym mówisz?

Daniel przygląda mi się z odrazą, jakbym była ohydną kłamczuchą.

– Przestań udawać naiwniaczkę. Czy nie po to musiałaś iść tak pilnie do kibla? Żeby zapełnić brakujące luki w twojej układance i zaalarmować gliny? Wiedziałaś już wtedy o mnie i Domi.

Przeniknąć jego chorą głowę i zająć ją czymś, a jednocześnie obmyślić swój własny plan działania. Tylko to zaprzęta teraz moje myśli. Żyłam przez wiele lat pod wspólnym dachem z toksyczną matką, więc powinnam była wypracować sobie odpowiednie strategie działania w sytuacjach takich jak ta.

Ale teraz to jak strategia przy grze w ruletkę. Pełna przypadkowość i zdanie się na ślepy los. Nie ma mowy o świadomym działaniu, o rzeczowej argumentacji i rozmowie. Nie z kimś, kto nie ma nic do stracenia i nie myśli racjonalnie. Postanawiam jednak odwołać się do resztek jego człowieczeństwa, jeśli nadal istnieją.

– Nie tyle, ile myślisz, że wiedziałam. Odwieź Natalię do domu, proszę. Ona nie ma z tym nic wspólnego – reaguję spokojnie, w głosie mam zrozumienie i opanowanie.

Ale on tego nie kupuje, śmieje mi się w twarz.

– Karma wraca. Tak mówią. Powinnaś o tym dobrze wiedzieć.

– To nie była karma. To ty zdecydowałeś za Domi.

– Za kłamliwą sukę. To chciałaś powiedzieć.

Kiedy zjeżdżamy z mostu, Daniel nieco zwalnia. Wciąż poruszamy się jednak ze zbyt dużą prędkością, bym mogła porwać się na próbę zatrzymania auta, odebrania Danielowi kierownicy albo chociaż zwrócenia na nas uwagi kogoś w samochodzie obok.

– Ona była właśnie taka, wściekła suka – wypluwa każde ze słów z niesmakiem. – Dla niej wszystko było instrumentalne, nie grała według żadnych zasad. Dla funu i kasy sprzedała parę brudnych sekretów gwiazd, a potem weszła na kolejny poziom swojej gry. I przegięła.

– Bo nagrała i ciebie – kończę za niego.

Wyraz zdziwienia na jego twarzy dowodzi, że nie miał pojęcia, że przechwyciłam taśmę z nagraniem. Dociera do mnie, że nie pozostawiłam mu wyboru, jeśli w ogóle jakiś miał. Będzie musiał mnie uciszyć. Tym większa jest teraz moja determinacja, by zrobić swoje.

– Ale mimo to dałeś jej drugą szansę, pod warunkiem że zrobicie gruby przekręt, na okrągłą bańkę. Kradzież monet. To był jej pomysł czy twój? – pytam, spoglądając na fotel Daniela, w miejsce wpięcia metalowej klamry jego pasa. Przesuwam w jej stronę swoją dłoń.

– Ten stary sam się o to prosił – odpowiada bez zastanowienia. – Traktował każdą ze swoich żon, jakby była śmieciem. Nadszedł dla niego czas zapłaty, to tyle. Wkrótce okazało się, że Domi wydymała nie tylko jego. Na dwa dni przed planowanym terminem naszego wyjazdu, bo tak, mieliśmy stąd wypierdalać, ona ginie z ręki seryjnego mordercy... Straszny niefart, można by pomyśleć. Albo raczej bzdura. Jeden zero dla niej. Ale ja też dostałem mały bonus – dzięki wglądowi w rejestr skrytek depozytowych wiedziałem, że nie zabrała ze sobą monet i że kiedyś po nie wróci.

Chcę go spytać, skąd miał pewność, że Dominika faktycznie sfingowała swoją śmierć, ale muszę być teraz przede wszystkim czujna, więc odpuszczam.

Najpierw mijamy ostatnie senne osiedle, potem teren wojskowy, a wraz z nim kilka jasnych punkcików w oknach, które powoli gasną w ciemności. Jedziemy wciąż tą samą drogą, skręcającą na tym odcinku raz w prawo, raz w lewo. Znam dobrze te zakręty, jeździłam tędy nieraz. Dzięki temu pamiętam, że droga kończy się za pół kilometra zjazdem na parking przy plaży w Babich Dołach. Kolejne zakręty zmuszają Daniela, by zwolnić, co jest mi na rękę. Dwa szybkie ruchy – powtarzam je w myślach, a następnie wykonuję, kiedy strzałka prędkościomierza zatrzymuje się na czterdziestce. Odpinam pas Daniela, chwytam za kierownicę i gwałtownie nią skręcam, wprost na betonowe ogrodzenie. A potem dzieje się to, co przewidziałam, ale tylko częściowo. Huk gniecionej blachy i deszcz odprysków szkła, w który zamienia się przednia szyba. Potem wokół mnie zalega całkowita ciemność.

Ból głowy wybucha w moim mózgu jak błysk flesza. Dotykam dłonią

czoła w miejscu, z którego się zaczyna, i natrafiam na rozcięcie. Jest dość płytkie, ale pod palcem czuję krew. Nie mogłam stracić przytomności na długo, bo Daniel objawia się u mojego boku, całkiem przytomny i rozjuszony, z zaciśniętymi na mojej szyi rękoma. A to oznacza, że coś w moim planie poszło cholernie nie tak. Krztusząc się, pcham ręce na oślep przed siebie, aż pusta przestrzeń przybiera kształt jego twarzy, spiętej i rozedrganej. Zostawiam na niej małe palące zadrapania paznokciami. Ale to nie pomaga. Dopiero kiedy udaje mi się wycełować ostrą krawędzią paznokcia w jego oko, Daniel poluzowuje swój uścisk.

– Pierdolona suko! – wydobywa się z jego ust.

Wykorzystuję tę krótką chwilę, by się mu wyrwać. Wciąż obolała i wyczerpana, otwieram drzwi. Trąc plecami o beton, wpełzam z samochodu, wierzgając nogami. Błyska mi w głowie myśl, że gdyby faktycznie miał pistolet, użyłby go zamiast rąk. To daje mi nadzieję i działa na moje ciało jak zastrzyk adrenaliny. Druga myśl jest jednak jak ostry, drażniący przebłysk: Nat! Kiedy podnoszę się z ziemi, kątem oka widzę ją na tylnym siedzeniu. Leży na boku, z przekrzywioną głową, wciąż przypięta pasem. Mam nadzieję, że oddycha, ale nie mogę być tego pewna. Nie porusza się i nie odzywa, kiedy wołam ją po imieniu.

Daniel musi zająć się mną, tą, która wie więcej. Jeśli tylko moja przyjaciółka żyje, jest tu na razie bezpieczna.

Myśl, do cholery! Myśl!

Zdaję się na swój instynkt. Drzwi od strony kierowcy są zablokowane ścianą, w którą uderzyliśmy. Dzięki temu mam nad Danielem kilka sekund przewagi. Niestety on przedostaje się sprawnie ze swojego siedzenia na moje.

Mam tylko jedno wyjście – uciekać, biec do bazy wojskowej oddalonej o jakieś pół kilometra i tam szukać pomocy. Najkrótsza droga prowadzi przez częściowo ogrodzony teren. Znajduje się tam opuszczony magazyn mundurów i guzików.

Gnam w tamtą stronę, im bardziej przyspieszam, tym mocniej okolice biodra paraliżuje tępy, rozlewający się po całym ciele ból. Wydaje mi się, że jestem w obcym ciele, że moje nogi przymocowane są do korpusu tył na przód. Mimo to nie zwalniam, nie oglądam się za siebie. Tak właśnie działa adrenalina. To ona mnie napędza, ona i ślepa furia.

Nie myśl, działaj! – rozkazuję sobie.

Szkielet opuszczonego budynku wyłania się z mroku, ze środka rzednącego lasu. Jest jak kolejny drogowskaz i znak tego, że połowę trasy mam już za sobą. Mijam magazyn i kieruję się w dobrze znane miejsce. To pusta polana na skraju parceli, gdzie musi być przejście przez podziurawioną siatkę. Odkryłam je ponad pół roku temu, kiedy ostatni raz byłam tutaj.

Ale dzisiaj stoi tu nowy metalowy płot. Przesuwam się wzdłuż ogrodzenia, liczę, że może się pomyliłam, że w ciemności nie trafiłam na właściwe miejsce, ale z każdym kolejnym krokiem dociera do mnie, że jestem w pułapce. Co dalej? Nie mogę zawrócić, pozostało mi już tylko jedno rozwiązanie – muszę się ukryć w pustym budynku.

Na moment tracę czujność, a przez to z mojego radaru znika mi Daniel. Jego kroki ucichły, ucichł szelest trącanych kurtką gałęzi.

Wokół panuje absolutna ciemność, mimo to znajduję wejście do magazynu, pamiętam rozkład pomieszczeń, więc sprawnie przemieszczam się dalej. Po lewej mam antresolę i prowadzące do niej schody bez poręczy. Po prawej stertę zerwanej z dachu papy. Mijam ją ostrożnie. Z parteru przechodzę na półpiętro. Kolejne dwa rzędy zaśmieconych schodów i jestem na miejscu, przy wyłupanej w ścianie dziurze. Kiedyś była panoramicznym oknem, teraz z połamanej ramy sterczą fragmenty potłuczonej szyby. Schyliłam się, by móc się przez nie prześlizgnąć na płaski daszek, który równie dobrze mógłby uchodzić za taras widokowy. Zauważam błysk światła latarki wzdłuż płotu, dokładnie tam, skąd przed chwilą przyszłam. Tropiciel i żywa przynęta.

Czekam skulona pod wnęką w ścianie, ale on się na razie nie zjawia.

Jeśli Daniel mnie tutaj znajdzie, nie mam nic do obrony. Co gorsza, jeśli będzie zbyt długo krążył wokół magazynu, może wrócić do Nat. Nie zaryzykuję jej życia, a to oznacza, że muszę jak najszybciej przejąć inicjatywę.

W tej chwili jeszcze bardziej dociera do mnie, jak bardzo wkurwia mnie śmierć. Jej stała obecność w moim dzieciństwie i w dorosłym życiu. Na nią i na kierowcę tira, którym posłużyła się, by odebrać mi ojca. Na nią i na gorącą wodę w wannie, którą wysłała tamtego popołudnia, w moje urodziny, by wydrzeć mi z ramion Hanię. Na nią i Człowieka Bez Twarzy, któremu



pozwoiliła przeciać zycie moje i mojego dziecka. Na nią i tę nieszczęsną Dominikę Kalitę, której kazała umrzeć w moim pensjonacie. Na to, że teraz znów czai się w mroku. To kurewsko niesprawiedliwe, a ona nie liczy się z tym, czego ja chcę i że zamiast niej ja już dawno wybrałam zycie.

Czołgając się po daszku, napędzana wściekłością, badam po omacku teren. Trafiam na jakieś dwie luźne cegły, pordzewiałe puszki, resztki tynku, aż ze sterty rupieci pod moimi palcami czuję coś, czego szukałam! Trzymam w dłoni długi masywny pręt zakończony ostrą szeroką blachą. To prawdopodobnie fragment pokrycia dachu.

Trzymam go i czuję się jak nastoletnia ja z szablą w ręku, w sportowej hali piętnaście lat temu, kiedy w swojej przeciwniczce widziałam skumulowane całe zło, którego doświadczałam od matki.

Teraz czuję wstępującą w moje ciało ze zdwojoną siłą tę cichą furję. To scenariusz walki o przetrwanie. Moje i Nat.

Wiem, że jeśli mam unieruchomić Daniela, muszę trafić w mięsień czworogłowy. Mam niezłą znajomość anatomii, bo potrzebna mi była, by w pełni świadomie zrozumieć szermierkę, a łatwość przyswajania takiej wiedzy miałam po matce. To jedyna dobra cecha, którą jej zawdzięczam.

Dzięki temu doskonale wiem, że uszkodzenie tego mięśnia w okolicach uda nie pozwoli mu na prostowanie kolana, a tym samym na poruszanie się. To jednak tylko teoria. W praktyce mam do dyspozycji swoją drżącą rękę, strach i desperację. Teraz muszą mi wystarczyć.

Przez dłuższą chwilę na dole nic się nie dzieje. Dopiero po kilku minutach na parterze błyska światło latarki, pewnie z telefonu. Biorę je za sygnał startu. Z podłogi podnoszę cegłę i zrzucam ją z piętra, by zwrócić uwagę Daniela.

Snop bladego światła drży i rozprasza się we wszystkich kierunkach, a potem krąży po parterze, jak wściekła, pobudzona podeszwą buta mrówka. Złapał tę przynętę. Wejście na górę i znalezienie mnie to już tylko kwestia czasu...

Kiedy ta chwila wreszcie nadchodzi, nie widzę jego twarzy, jest tylko szarym cieniem nacierającym na mnie. Słyszę jego sprężyste kroki i widzę czubki jego sportowych butów w świetle latarki. Ukryta we wnęce, zajmuję

pozycję i w sposób wypracowany na treningach szermierki wyprowadzam cios, precyzyjny i szybki. Trafiam. Blacha wchodzi w niego głęboko, a chrzęst kości sprawia, że jest mi niedobrze. Upuszczam pręt na podłogę i zakrywam dłonią usta.

Ciemność wokół nas tężeje w głęboką czerń, jest stalowa, nieprzepuszczalna i duszna. Pochłania każdy dźwięk, także łomot upadającego ciała. Daniel, osuwając się na ziemię, żelaznym chwytem wczepia palce w moje ramię, jakby usiłował ściągnąć mnie ze sobą na dół. Trwa to tylko chwilę, potem poluzowuje i puszcza. Spodziewam się, że będzie próbował mnie zaatakować, a przynajmniej wstać, ale nic takiego się nie dzieje. Leży, wpatrując się w swoje prawe udo, które krwawi obficie.

# Epilog

*osiem tygodni później*

Tamta noc zmieniła wszystko. Mnie dała szansę na nowe życie, a Danielowi je odebrała. Nie powinnam właściwie za to, co się stało, obarczać winą ani nocy, ani splotu nieszczęśliwych zdarzeń, ani niczego innego – to z moich rąk zginął ten człowiek.

Kilkanaście minut po tym, jak dotarłam do jednostki wojskowej, zaalarmowani przeze mnie ratownicy i funkcjonariusze znaleźli jego ciało. Daniel leżał w tym samym miejscu, w którym go zostawiłam, w kałuży krwi wypływającej z przeciętej tętnicy udowej. Miał zaciśniętą wokół uda bluzkę, którą z siebie ściągnęłam, by zatamować krwotok. Wiedziałam, że to i tak na nic.

W oczach ludzi to on jest potrójnym mordercą, w ich krzepiących komentarzach na mój temat wyczuwam współczucie. Ma to pewnie umniejszyć moją winę. Ale to, co zrobił, nie upoważniało mnie do odebrania mu życia. Morderca. Na dźwięk tego słowa przechodzi mnie zimny dreszcz. Czy i ja jestem morderczynią? Wobec prawa pozostaję tylko ofiarą, która działała w obronie koniecznej, walcząc o życie.

W obliczu własnych wyrzutów sumienia ponoszę odpowiedzialność za śmierć człowieka, i z tą świadomością będę musiała żyć. Nie tylko to ciąży mi i odbiera spokój mojemu sumieniu. Od ponad dwudziestu kilku lat wlokę ze sobą bagaż niełatwych doświadczeń i traum.

Kręta droga, przez którą przeszłam, wzmogła mój głód życia. Każdego dnia budzę się ze świadomością, że rany z mojej przeszłości długo jeszcze będą się zablizniać.

Psychoterapia prowadzona w ośrodku leczenia uzależnień i regularne wizyty u poleconej mi przez Elę psychoterapeutki są moim wsparciem.

Wytyczają mi ostatnio stały rytm, którego trzymam się kurczowo, by nie zawieść i nie odpuścić. Jest dobrze, ale nie wolno mi stracić czujności.

Na jednej z ostatnich sesji zrobiłam kolejny krok naprzód – poddałam swoje życie trzeźwej retrospekcji. Uświadomiłam sobie, że praktycznie od dzieciństwa, od chwili, w której straciłam dwie najbliższe mi osoby, trauma zdominowała całe moje życie. Nasiąkało szarością i sączącą się stale z ust matki trucizną, której głos, nawet wtedy, gdy wyrwałam się z jej szponów, wciąż słyszałam.

To było coś w rodzaju psychodelicznego tripa – ja odrealniona i nieobecna. Ztracałam się w obłądnie. Zaczęło się to dawno temu i całkiem niewinnie – od powołania do życia wyimaginowanych przyjaciół.

Mój niezaleczony stan pogłębiały z biegiem czasu kolejne ciosy, które na mnie spadały. Zdrady Marcina, prześladowanie stalkera, utrata córeczki, szpital, próba samobójcza, wreszcie odsunięcie się ode mnie tych, których uznałam za swoich przyjaciół. Alkohol, prochy, ucieczka. I wstyd, bo w pewnym momencie uwierzyłam, że jestem przypadkiem beznadziejnym i nie można mi pomóc.

Kolejna dramatyczna sytuacja – zabójstwo Dominiki – nie załamała mnie, tylko pozwoliła mi odbić się od dna i uruchomiła we mnie instynkt przetrwania. A wraz z nim walkę o prawdę, okupioną jednak śmiercią Daniela. Mimo tego, co zrobił, trudno jest mi się z jego śmiercią pogodzić.

Najgorsze nawet bitwy, które przyjdzie nam stoczyć, łatwiej jest znieść wtedy, kiedy ma się przy swoim boku kilka bliskich osób, którym naprawdę na nas zależy. Jedną z nich jest Natalia. Wtedy, kiedy spowodowałam wypadek, straciła przytomność, uderzając głową o twardą krawędź zagłówka. Na szczęście nie odniosła żadnych poważnych obrażeń.

Gdyby nie to, co zdarzyło się tamtej nocy, Daniel trafiłby za kratki. Podobno od dłuższego czasu był na policyjnym celowniku, między innymi dzięki pogrążającym go billingom telefonicznym. Porównanie DNA Daniela z tym znalezionym na muszli łodzika, którą sprawca zaatakował Nat w pensjonacie, dało pozytywny wynik. Zebrane w jego mieszkaniu dowody i wyniki ekspertyzy sądowej dodatkowo go obciążały. Trafiłby za kratki na długie lata. Ciężyło na nim kilkanaście zarzutów: to śmiertelne potrącenie i nieudzielenie pomocy dziewczynie, dwa zabójstwa pierwszego stopnia oraz

podwójna próba morderstwa. Ciągle zastanawiam się, co kierowało nim tamtej nocy w moim pensjonacie, kiedy mordował swoją kochankę. Nie jestem przekonana, czy chodziło tylko o uciszenie Dominiki, bo poznała jego sekret i mogłaby go wydać. Wydaje mi się, że obudziła się w nim nagromadzona od dawna frustracja, której dał upust w ten najohydniejszy z możliwych sposobów.

Dowiedziałam się później, że mały Daniel był wychowankiem domu dziecka, jako krnąbrny nastolatek zmieniał wielokrotnie rodziny zastępcze. Nikt nigdy za nim nie tęsknił, nikt nie chciał dać mu szansy, nikt nie miał dla niego zrozumienia. Być może zabicie Dominiki było jego prywatną zemstą za odrzucenie, bo znów zawiódł go ktoś bliski, komu nie mógł wybaczyć podwójnej zdrady i tego, że po raz kolejny został sam, bo nie okazał się wystarczająco dobry. Myślę, że to ten kompleks najbardziej oddziaływał na jego chore poczucie sprawiedliwości.

Dlaczego jego ofiarą padł Adam? Nad tym też się zastanawiam. Skłaniam się ku praktycznym powodom – forsie, którą Daniel mógł uzyskać ze sprzedaży skradzionych monet odebranych Dominice, zanim ją zabił. Kolekcja starożytnych złotych monet i polskich dukatów z okresu powstania listopadowego to rarytas na rynku numizmatycznym i gdyby któregoś dnia pojawiła się na aukcji, na pewno nie umknęłoby to uwadze Adama. Daniel nie mógłby więc numizmatów spieniężyć.

Dlaczego Dominika sfingowała swoją śmierć? To pytanie też do mnie często powraca. Po aferze z nagraniami była spalona zawodowo na całej linii. Przyzwyczajona do życia w luksusie, potrzebowała w tamtym okresie finansowego zabezpieczenia. Jej małżeństwo z Adamem było fikcją. Nie ona w tym związku rozdawała karty. Gdyby wystąpiła o rozwód, nie wyciągnęłaby od swojego męża ani grosza. Kochanek, którego sekret poznała, był kolejną przeszkodą. Zakładam, że Dominika bała się, że któregoś dnia i on straci do niej zaufanie, a wtedy pozbędzie się jej bez żadnych skrupułów. Upozorowanie śmierci dało Dominice wolność, a z czasem miało także umożliwić dostęp do skradzionych Adamowi monet. Z początku wszystko szło po jej myśli, sprzyjały jej również liczne błędy policjantów prowadzących śledztwo. Jednym z poważniejszych niedopatrzeń było nieprzebadanie znalezionych na miejscu zbrodni próbek krwi pod kątem zawartości środka konserwującego. Gdyby takie badanie zlecono, okazałoby

się, że podrzucona przez Dominikę krew była przez nią zbierana i przechowywana przez przynajmniej dwa miesiące.

Natalia szybko pozbierała się po wydarzeniach tamtej nocy, ale, jak sama stwierdziła, jest na chwilowym detoksie od testosteronu. Wkrótce wcieli się w rolę aktywistki. W przyszłym miesiącu wyrusza w podróż do Nowej Zelandii, gdzie między innymi weźmie udział w wiecu dotyczącym nowelizacji ustawy o dobrostanie zwierząt. Walczy o to, by zwierzęta zyskały status istot czujących. Tak jak ludzie.

Tylko czy aby na pewno wszyscy ludzie to istoty czujące?

W odpowiedzi na to pytanie przed oczyma staje mi moja matka, co ma także związek z aferą, jaka wybuchła w jej klinice. W zeszłym tygodniu do prokuratury wpłynęło doniesienie o popełnieniu przestępstwa. Oskarżoną o mobbing jest moja matka, poszkodowanymi dwoje jej byłych pracowników. Sprawa odbiła się szerokim echem w lokalnych mediach, dzieląc ludzi i opinie na dwa skrajne obozy. Akurat ja wiem najlepiej, do czego jest zdolna i jak motywująco działa na nią zamknięte środowisko i jego hierarchiczna struktura, a przede wszystkim władza, której kurczowo się trzyma. Powtarzające się akty przemocy psychicznej, uporczywe poniżanie, bierna agresja, szykanowanie – wszystko to mogłaby z łatwością przenieść do swojego życia zawodowego. Domyślam się, że w jej przypadku to także pewnego rodzaju uzależnienie. Teraz, jak nigdy, wraca do mnie pytanie, czy i ja powinnam zeznawać przeciwko niej. Z jednej strony mam obowiązek stanąć po stronie prawdy i raz na zawsze rozliczyć się z koszmarem swojego dzieciństwa, z drugiej naprawdę chcę wreszcie zapomnieć o wszystkim, co było złe. Teraz nie ma na to miejsca w moim życiu.

Tę lukę wypełnił ktoś inny. Czuły, seksowny, nieokrzesany i chyba już trochę mój. Zawsze bałam się zapeszać, kiedy czegoś bardzo pragnęłam, ale tutaj mogę się przyznać. Kiedy tuż po moim powrocie ze szpitala usiedliśmy razem nad tym nieszczęsnym albumem, o który podniosłam taki raban, okazało się, że kobieta ze zdjęcia w studiu, którą wzięłam wcześniej za Dominikę, nawet jej nie przypomina. To niesamowite, jak bardzo pracujący w warunkach ekstremalnego stresu umysł może fałszować rzeczywistość. Minęło zbyt mało czasu, bym mogła powiedzieć, że Bartosza i mnie łączy coś więcej niż zauroczenie i dobry seks. Tym bardziej nie chciałabym, by naszym spoiwem były tylko demony z przeszłości i podobne cierpienie,

jakiego doświadczyliśmy.

Ale wiem już, że tak nie jest. Poza cierpieniem i samotnością jest jeszcze głód życia, jakiś rodzaj wzajemnej fascynacji i chęć rozpoczęcia czegoś zupełnie od nowa. To nas do siebie przyciąga.

A dziś połączyło nas coś jeszcze. Z pomocą Bartosza nad ranem wtaszczyłam do samochodu cztery kartony ubranek swojej córeczki. Nie zajrzałam do żadnego z nich. Po prostu wszystkie wylądowały w bagażniku, tak jak tamtego poranka, kiedy podjęłam nieudaną próbę zawiezienia ich do domu dziecka. Tylko że teraz było inaczej, jakoś łatwiej. Chyba dlatego, że nie byłam sama. Zaparkowałam wóz w tym samym miejscu, co poprzednio, Bartosz wyniósł z niego ubranka Hani, a ja zapakowaną w pokrowiec suknię i szpilki należące do jego żony. Powiedzmy sobie szczerze, takie podtrzymywanie pamięci o bliskich jest chore. Świat martwych i żywych nie powinien się przenikać. Na pewno nie w ten sposób. Nie oznacza to wcale, że pozbywamy się ich z naszych serc i pamięci. Zawsze będą mieli tam swoje miejsce, ale zostawiają nam przestrzeń na to, co ma się wydarzyć.

Dokąd nas to zaprowadzi? Tego jeszcze nie wiem.

Czy w przyszłym sezonie ktokolwiek zarezerwuje pokój w moim pensjonacie? Czy ja kiedyś znowu zdołam to miejsce pokochać?

Czas pokaże.

Jedno wiem na pewno. Moja tablica korkowa znów zaczęła się zapełniać pomysłami na nową książkę. Są na niej te same koślawe przekreślenia naniesione drżącą z ekscytacji ręką, ślady kolorowych mazaków, piktogramy i dziesiątki powbijanych w karteczki pinezek.

Jest jeszcze coś. Kolejna zmiana. Nie boję się już wślizgiwać wieczorem do łóżka w obawie, że zastanę tam tylko zimne prześcieradło. Zasypiam wtulona w Bartosza. Moich snów nie nawiedzają już koszmary, nie pozwalają im się panoszyć ani podrywać z łóżka i prowadzić w stronę barku, który zresztą już od dawna jest pusty.

# Podziękowania

„Logika zaprowadzi cię z punktu A do punktu B. Wyobraźnia zaprowadzi cię wszędzie”. Autorem mojego ulubionego aforyzmu, który towarzyszył mi przy pisaniu tej powieści, jest genialny naukowiec Albert Einstein. Na początkowym etapie logika pozwalała mi porządkować myśli i wszechobecny chaos, który się w nie wkładał. Wyobraźnia działała równoległe, na jednakowo wysokich obrotach, systematycznie budząc we mnie do życia Nikę. Pozwalałam jej chwycić mnie za rękę i prowadzić po bolesnym, grząskim i nieznanym mi terenie. Zanurzenie się w świecie mojej głównej bohaterki przypominało trudną emocjonalnie wyprawę, ale dotarcie do celu było czymś więcej niż wyzwaniem. Przyniosło mi spełnienie i dało ważną lekcję pokory. Czuję, że dzięki Nice dojrzałam jako człowiek i autorka.

Również dzięki nieocenionemu wsparciu bliskich mi osób moja opowieść zyskała formę, a ja zyskałam wiarę w siebie. Bez Was celebrowanie chwil radości nie smakowałoby tak samo – nie mogłabym wymarzyć sobie lepszego grona sprzymierzeńców.

Dziękuję:

Tobie, Mamusiu, za Twoją bezgraniczną miłość, wyrozumiałość, dobre serce i najlepsze rady. Za ciągle dodawanie mi skrzydeł. Za anielską cierpliwość, którą dla mnie miałaś, szczególnie wtedy, kiedy pisanie pochłaniało mnie bez reszty i traciłam kontakt z rzeczywistością. Za to, że sprowadzałaś mnie wtedy na ziemię i za to, że rozumiałaś również wtedy, kiedy musiałam zaserwować sobie kolejną ucieczkę do mojego równoległego świata.

Tobie, Martusiu, za naszą przyjaźń, odwagę, siłę i nieustanną wiarę we mnie. Za to, że po raz kolejny udowadniasz mi, że niemożliwe nie istnieje i że warto, a nawet trzeba iść pod prąd. Bo to na końcu wyboistej ścieżki



dzieją się najlepsze rzeczy, na które warto długo czekać. Za nasze wspólne artystyczne „bodźcowanie” i twórcze rozkminy. Za słowa konstruktywnej krytyki. Za Twoją muzykę, przede wszystkim za *Modlitwę*, która stała się ważnym drogowskazem dla wyborów Niki. <3

Tobie, Weroniko, za wiarę we mnie, za wysłuchiwanie moich szalonych, opowieści i teorii, które wkładałam Ci do głowy, pisząc tę historię.

Tobie, Asiu, za nieustanne dodawanie mi otuchy, i za to, że nie szczędziłaś mi życzliwych słów w ważnych chwilach.

Tobie, Mateuszu, za odciążanie mojej głowy od problemów związanych z moim drugim zajęciem. Za Twoją lojalność, fachowość i życzliwość.

Tobie, Pawle, za wsparcie, wiarę we mnie, życzliwość, za wiele wspólnych twórczych przepływów myśli. :)

Tobie, Marcinie, za odwagę, życzliwość, optymizm i siłę.

Podziękowania kieruję również pod adresem życzliwych mi osób – za nieocenioną merytoryczną pomoc.

Dziękuję:

Pani Beacie Ujazdowskiej, za profesjonalizm i wiele konsultacji dotyczących terapii poznawczo-behawioralnej. Za wprowadzenie mnie w tajniki tego, co dzieje się w psychice osoby zranionej wielokrotną traumą.

Tomkowi Sianowskiemu, za wtajemniczenie mnie w niuanse działań operacyjnych policji.

Agnieszce Bukowczan-Rzeszut, za dobre rady i stylistyczne wygładzenie moich myśli.

Ekipie Grandy: Magdzie, Agacie, Maricie, Paulinie i Gosi, za coroczne grandzenie, za pasję i miłość do literatury, a także za wsparcie i wiarę w moją wyobraźnię i pióro, kiedy stawiałam u Was swoje pierwsze kroki.

Mojemu Wydawcy, za zaufanie i szereg wspólnych kreatywnych działań. Wspaniale jest być częścią Waszej Rodziny.

A także Tobie, Czytelniku, za Twój czas i ogromne wsparcie – dzięki Tobie mogę robić to, co najbardziej kocham, czyli tworzyć.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz